

Tusk wyznacza granice ■ Wojna oczami Palestyńczyków ■ MMA: chcemy się bić
Co nam mówi Popiełuszko ■ On stworzył Trumpa ■ Tajemnice Wyspy Wielkanocnej

Kraków 23 – 29 października 2024 nr 43 (3929)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Jak Elon Musk urządza nam świat

ISSN 1004-4808 NR INDEKSU 379,425



Międzynarodowe

TARGI KSIĄŻKI[®]

w Krakowie

27.

24-27
października
2024

Zrzućcie maski!
Zwykłymi stańcie się ludźmi!

Witold Gombrowicz

Kraków, ul. Galicyjska 9

Targi
w Krakowie

EXPO
KRAKOW

ksiazka.krakow.pl



bilety

KS. ADAM

Boniecki: Prawda ma konsekwencje

RÓŻNIŁ ICH WIEK, PEŁNIONY URZĄD i OCZY-
wiście kraj pochodzenia. Arcybiskup
Óscar Romero urodził się 15 sierpnia 1917 r.,
zginął zamordowany 24 marca 1980 r.
w San Salvador; ks. Jerzy Popiełuszko uro-
dził się 14 września w 1947 r. i został za-
mordowany 19 października 1984 r. we
Włocławku. Działalność, tło wydarzeń...
– wszystko zdaje się tak różne, że trudno
porównywać tych obu ludzi wyniesionych
na ołtarze. Nawet czas, jaki upłynął od śmierci arcybiskupa
Romero do wyniesienia go na ołtarz, był dłuższy niż u księ-
dza Popiełuszki. A przecież jest coś wspólnego, co łączy ich
obu. Odważyli się mówić.

Abp Romero jakby nie zdawał sobie sprawy z sytuacji, a może
sądził, że mówienie nic nie da. Do czasu. Po zamordowaniu
ojca Rutilio Grande – wielkiego obrońcy praw człowieka –
uznał, że nie może dłużej, nawet milcząco, popierać rządu
Salwadoru, który sankcjonuje terror i zabójstwa przeciwni-
ków politycznych. Znalazł się wśród zdecydowanych wro-
gów reżimu.

Ksiądz Jerzy Popiełuszko zginął, choć jego wystąpienia były
łagodniejsze od kazań arcybiskupa Romero. Przynajmniej
formalnie. Na jego mszach za ojczyznę gromadziły się tłumy.
Jerzy Urban nazwał te kazania „seansami nienawiści”, choć
nienawiści w nich absolutnie nie było. Były słowa prawdy,
którą wszyscy znali, nikt jednak (może prawie nikt) nie
ośmielał się ich głośno i jednoznacznie wypowiadać. Ksiądz
Jerzy się odważył.

Abp Romero i ks. Popiełuszko nie byli jedynymi męczenni-
kami prawdy. Historia ma długą listę ludzi, którzy za słowa
prawdy zapłacili życiem. Zdumiewające, że reżimy oparte na
niesprawiedliwości i kłamstwie zawsze, prędzej czy później,
upadają. Wtedy świadkowie prawdy stają się czczonymi bo-
haterami, choć za życia nie było przy nich nikogo. Ksiądz Je-
rzy miał przyjaciół, słuchały go tłumy ciągnące z całej Polski,



ale na co dzień nie miał wsparcia – także od
biskupów. Od Romera odwrócili się wszyscy
biskupi, z wyjątkiem jednego.

Ci świadkowie prawdy byli wyrzutem sumie-
nia dla nas, którzy znajdowaliśmy sto powo-
dów, żeby milczeć. Owszem, niekoniecznie
by zgadzać się z tym, czego akceptować nie
można, ale milczeliśmy, żeby się nie narażać.

Myśląc o ludziach takich jak abp Romero,
ks. Popiełuszko i wielu innych, zadajemy sobie pytanie:
może należało się narażać? Czy gdyby kaznodziejów takich
jak ksiądz Jerzy było więcej, to złość władzy na niego nie by-
łaby tak wielka? I rozkładając się na wielu, nie doprowadzi-
łaby do okrutnego zabójstwa?

Ofiary w Salwadorze za czasów abp. Romero były bardzo
liczne. Lecz pytanie pozostaje to samo: czy gdyby inni bi-
skupi, mimo zrozumiałego lęku, okazali się odważni, reżim
by się zawahał przed popełnieniem tak wielu zbrodni? Odpo-
wiedź bynajmniej nie jest pewna.

A co, kiedy nie grozi widmo zabójstwa, ale grożą inne sank-
cje: niepopularność, dezaprobatą ludzi aktualnie przy władzy,
niezgoda części wiernych... Wierność zasadom, głos podno-
szony w ich obronie, zajmowanie mało popularnych stano-
wisk wymagają odwagi. Chrześcijaństwa nie da się zmienić,
nawet głosem większości. Przyjęcie nauki Chrystusa musi
pociągnąć konsekwencje. Tak, to może być kłopot. Czasem
nawet nie wiemy, czy to na pewno są jej konsekwencje.

Do takich postaci, jak ks. Jerzy Popiełuszko, jak arcybiskup
Romero, jak wielu innych, wracamy, by zobaczyć siebie.
W świetle prawdy. ©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz,
jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

RYŚ. ZUZA KARDYŚ // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK
POWSZECHNY

JESIEŃ Z TYGODNIKIEM

Odpoczynek wypełniony sensem. Cała jesień za pół ceny.

Kup na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup

Nasi przyjaciele z Platformy, nasi koledzy z PiS... Kto pamięta te historyczne już zbitki, frazeologiczne sieroty po projekcie PO–PiS? „Nasi przyjaciele dyktują warunki, które nie mają nic wspólnego z wcześniejszymi ustaleniami” – to jedno ze zdań, jakie złożyły się jesienią 2005 r. na parodiujący ówczesne partyjne pertraktacje tekst **JERZEGO PILCHA**, wieloletniego felietonisty „TP”. Zaczynało się niewinnie: „Frustracja naszych przyjaciół jest po ludzku zrozumiała, ale tu idzie o Polskę...”. Kończyło zaś złowrogo: „Jeśli naszym przyjaciółom nie przeszkadza wicemarszałek Lepper, to wszystko jasne” (cytaty za zbiorem „Pociąg do życia wiecznego”, pierwodruk w tygodniku „Polityka”).

„Nasi przyjaciele” rządzą nami na zmianę od 19 lat, a mnie tamten tekst Pilcha zrymował się z kilkoma zamieszczonymi w tym numerze. Na przykład z analizą **PIOTRA ŚMIŁOWICZA**, który pokazuje, jak rządząca obecnie PO przygniata do prawej ściany PiS. Śmiłowicz pisze, że antyimigrancka retoryka premiera Tuska to jego „typowy ruch taktyczny, do jakich nas w przeszłości przyzwyczaił, umiejętnie wyczuwając nastroje społeczne – choćby wtedy, gdy domagał się chemicznej kastracji pedofilów albo ograniczał z dnia na dzień rynek hazardu”.

Z felietonem **TOMASZA STAWISZYŃSKIEGO**, który ogłasza – tylko ironicznie – koniec polskiej polaryzacji. „Gołym okiem już przecież widać – pisze Stawiszyński – że te afektowane okrzyki o zdrajcach z jednej oraz faszystach z drugiej strony, zaprzańcach z jednej oraz bezwzględnych monstrach z drugiej, to tylko pragmatycznie aplikowana propaganda”, która służy mobilizacji elektoratów.

Z felietonem **STANISŁAWA MANCEWICZA**: ukoi nerwy tych z Państwa, którzy końca polaryzacji się boją. Nie zginie ona, póki łączyć nas będzie – poza grzybobraniami – pragnienie zamknięcia politycznego wroga w areszcie (wroga wyprowadzanego „najlepiej o zmroku, ze swej willi (...) Fajnie, gdy ma także skute nogi, bo wtedy bardzo pocieszenie kica. »Będziesz siedział!« – brzmi najłatwiej przechodzące przez gardło zdanie w polszczyźnie”).

W ogóle czytajcie „Tygodnikowych” felietonistów, dawnych i obecnych – w piśmie, którego historia to też korowód gigantów tego gatunku, ich lektura jest jak obowiązek. I daję satysfakcję – większą niż „nasi przyjaciele” za kratami. ©P

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP” piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło”.



20 Ten trzeci PIOTR ŚMIŁOWICZ

Słowa Donalda Tuska o zaostrzeniu polityki migracyjnej są nie tylko wyrazem doraźnej taktyki, ale też elementem szerszej strategii. Jej najważniejszym skutkiem może być rezygnacja z wystawienia Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich.



52 Wojna cuchnie

ROZMOWA Z ANNE NIVAT, REPORTERKĄ WOJENNĄ:
Wojna obala wszystkie ludzkie wartości i relacje. Nie możesz już posłać dzieci do szkoły, nie masz domu ani poczucia bezpieczeństwa.



62 Wybrańcy PIOTR TARCZYŃSKI

Czy film może zdecydować o wyniku wyborów prezydenckich? Tego nie wiemy na pewno, ale czemu by nie spróbować?

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Tworzymy potwora
MAREK RABIJ,
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Ten trzeci
PIOTR ŚMIŁOWICZ

23 Przepis na potop
MAREK RABIJ: Powtórka powodziowego
scenariusza, jaki ziścił się w Stroniu
Śląskim, jest prawdopodobna

26 Wyobcowani
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
o problemach z integracją ukraińskich
dzieci w polskich szkołach

■ ■ Z ODDECHEM

30 Klatki na oczach
MICHAŁ WALKIEWICZ:
Związek przemocy i sławy stanowi
centrum popularności freak fightów

■ ■ WIARA

34 Żywoty równoległe
IGNACY DUDKIEWICZ: Popiełuszko
i Romero: obaj bronili ubogich i zapłacili
za to cenę. Pora odkryć ich na nowo

38 Niewolnice Opus Dei
DOMA MATEJKO o wykorzystywaniu
kobiet przez ultraprawicową
organizację w Argentynie

40 Rachunek z miłości
ROZMOWA Z KS. JAMESEM MARTINEM,
JEZUITĄ o katolikach LGBT+

■ ■ ŚWIAT

44 Ptaszki w niewoli
STASIA BUDZISZ:
Tamuna i Maiko mają po 31 lat
i wierzą, że ich kraj, Gruzja, należy do
Zachodu. Jednak ostatnio coraz częściej
czują się jak kolorowe ptaki w klatce

TEMAT TYGODNIKA

ALEX BRANDON / AP / EAST NEWS



12 Świat to ja

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Elon Musk, najbogatszy człowiek globu,
przez lata pozował na wizjonera,
który działa dla dobra ludzkości.
Dziś z przytupem wchodzi do polityki.
Co może z tego wynikać
– dla Ameryki i dla nas?

■ STRONY SPECJALNE ■

**76 MIĘDZYNARODOWA NAGRODA
IM. WITOLDA PIŁECKIEGO**

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK **57** ELIZA KĄCKA
74 OLGA DRENDA **75** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ELON MUSK, WRZESIEŃ 2024 R.
FOT.: MIKE CEGAR / REUTERS / FORUM
// STOCK.ADOBE.COM // MONTAŻ TP-ONLINE

48 Oczami Palestyńczyków

AGNIESZKA PIKULICKA-
-WILCZEWSKA o palestyńskich
uchodźcach w Libanie

51 Żywe tarcze

PATRYCJA BUKALSKA: Uczestnictwo
Irlandczyków w libańskiej misji ONZ
budzi na Zielonej Wyspie emocje

52 Wojna cuchnie

ROZMOWA Z ANNE NIVAT,
REPORTERKĄ WOJENNĄ

■ ■ HISTORIA

54 Honwedzi w Goszczy

KRZYSZTOF PIĘCIAK: W lasach i górach
dawnej Galicji i Kongresówki wciąż
odkrywane są ofiary I wojny światowej

■ ■ NAUKA

58 Ekobójstwa nie było

KAMIL KOPIJ: Upada mit o upadku
Wyspy Wielkanocnej

61 Instytucje, które działają

STEFAN SĘKOWSKI o noblach z ekonomii

■ ■ KULTURA

62 Wybrańcy

PIOTR TARCZYŃSKI

66 Bardziej widmo

PIOTR PAZIŃSKI o niemieckim pisarzu
W.G. Sebaldzie

70 Przeczytane, nierozliczone

MONIKA OCHĘDOWSKA: Legimi nie
płaci za sprzedawane i wypożyczone
książki – twierdzą wydawcy

72 Powrót króla

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Dahomej” w reżyserii Mati Diop

73 Duchy z Czech

LEKTOR o książce „Opowieści
niesamowite z języka czeskiego”

■ ■ ZMYŚŁ

78 Zmiany przesądów

POŻEGNALNY WYWIAD Z LESZKIEM
SZARUGĄ: Chciałbym odwlec koniec
nie dlatego, że się boję, tylko żeby
pozamykać to, co zacząłem. Moja mama
mówiła, że trzeba pozawijywać za
sobą wszystkie kokardki. Bardzo mi się
to podobało

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ...

... NA STRONIE

56



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podcastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

TWORZYMYPOTWORA

Po odpakowaniu dzisiejszej Polski z pozłotki nowych autostrad i dalekosiężnych planów na miarę CPK, dostajemy kraj, w którym już co drugi mieszkaniec żyje poniżej minimum socjalnego.

**MAREK RABIJ,
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI**

POWYŻEJ:
Na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi.
Marzec 2024 r.

O „DRASTYCZNYM WZROŚCIE” WSPOMINA się w dokumencie kilkanaście razy. Mowa też o tym, że owe wzrosty „powinny wstrząsnąć społeczeństwem i politykami”. Musiało się zdarzyć coś wyjątkowego, skoro takie sformułowania znajdują się nie w tabloidowych nagłówkach, a w eksperckim opracowaniu.

Mowa o Poverty Watch 2024, czyli monitoringu ubóstwa w Polsce, dokumencie opracowanym przez znanego badacza zjawiska biedy, dr. hab. Ryszarda Szarfenberga. „Drastyczne wzrosty” raport odnotowuje w każdym kluczowym wskaźniku biedy. Skala skrajnego ubóstwa wzrosła (z 4,6 proc. do 6,6 proc. polskiego społeczeństwa) i dotyczy dzisiaj dwóch i pół miliona Polaków. W sferze niedostatku – a zatem poniżej granicy tzw. minimum socjalnego – znajduje się z kolei ponad 17 milionów osób, czyli niemal co drugi z nas (wzrost z 41,1 proc. do 46 proc. społeczeństwa).

Zatrzymajmy się przy tych pojęciach, próbując przełożyć je na życie codzienne. „Pani Maria po śmierci męża została sama z kredytem. Gdy z powodu inflacji raty drastycznie podskoczyły, okazało się, że z 1681 zł skromnej emerytury pani Marii zostaje na życie tylko 80 zł. To 2,60 zł dziennie, by coś zjeść, kupić leki, mydło czy pastę do zębów” – to obrazek z innego głośnego raportu, czyli ubiegłorocznego opracowania Szlachetnej Paczki. Nawet jeśli kreśli ono sytuację skrajną („Kupuję chleb i go mrozę. Wyciągam skibkę, gdy jestem naprawdę głodna” – mówi pani Maria), to niewiele się ona różni od położenia 2,5 miliona Polaków, którzy muszą przeżyć za mniej niż 913 złotych miesięcznie (to próg dla gospodarstwa jednoosobowego) i za niecałe 700 zł na osobę w gospodarstwach rodzinnych. „Życie w takiej sytuacji dłużej niż 2 miesiące zagraża zdrowiu fizycznemu” – przypomina

w raporcie prof. Szarfenberg, a raport SP przekonuje, że takie funkcjonowanie „to powolne umieranie ducha i ciała”.

MINIMA EGZYSTENCJI | Poverty Watch powinni sobie przyswoić ci, którzy będą odruchowo łączyć ze społecznym „marginesem”. Życie poniżej minimum socjalnego – przypomnijmy: dotyczące już niemal połowy społeczeństwa – nie oznacza co prawda głodu i chłodu, ale także pozbawia ważnych dóbr. To egzystencja za mniej niż 1711 zł w gospodarstwie jednoosobowym, i za poniżej 1155 zł na głowę w rodzinie czteroosobowej. Na podstawowe produkty raczej nie zabraknie, ale na kino i książki dla dziecka, wakacje dla rodziny i prywatny język obcy już na pewno (w rzeczywistości, w której słabość publicznej oświaty napędza rynek korepetycji, wzrost biedy oznacza też wzrost nierówności edukacyjnych).

CZAS NA WSTRZĄS | Bieda dotyka grup, które państwo powinno chronić najbardziej. Przekonanie, że Program 500+ (dziś w wersji 800+) nadal zmniejsza ubóstwo dzieci, możemy już włożyć między bajki. W skrajnej biedzie żyje dzisiaj ponad pół miliona dzieci, a w niedostatku – po raz pierwszy od wielu lat! – funkcjonuje ponad połowa z nich. Wzrosło też skrajne ubóstwo osób starszych (z 3,9 proc. w 2022 r. do 5,7 proc. rok później) i niepełnosprawnych (w gospodarstwach z co najmniej jedną taką osobą z 6,7 do 9 proc.). Dopiero te wskaźniki wyjaśnia nam słusność postulatów prof. Szarfenberga, by skala polskiej biedy „wstrząsnęła politykami”. Choć teraz siłą rzeczy postulat ten odnosi się do obecnie rządzących, do serca powinna go sobie wziąć także poprzednia ekipa, odpowiedzialna przecież za uchwycony w raporcie obraz sytuacji z 2023 r. To przecież PiS niósł na sztandarach walkę z biedą i latami chlubił się ograniczeniem ubóstwa dzieci – raport Poverty Watch boleśnie tę walkę formacji Kaczyńskiego puentuje.

BEZ PROGRESJI | Owszem, druga połowa rządów PiS przypadła na trudny czas. Pandemia, kryzys kosztów życia spowodowany eksplozją inflacji (którą, nawiasem mówiąc, poprzednia ekipa długo lekceważyła), a na koniec wojna w Ukrainie. To nie najłatwiejszy moment na stabilizowanie polityki społecznej, ale też nie starcza za wytłumaczenie, dlaczego jest, jak jest. PiS obiecywał zwiększenie progresywności podatków osobistych, ale z pierwszego projektu Polskiego Ładu wycofał się rządkiem, choć słabością tej reformy było wykonanie, nie założenia. Zamiast zachęcać seniorów do zwiększonej aktywności zawodowej, obniżono ponownie wiek emerytalny. Progi dochodowe uprawniające do wielu – jeśli nie większości – świadczeń społecznych uległy z kolei zamrożeniu albo wzrosły nieadekwatnie do podwyżki zarobków. Realna siła naszych pensji też ma się kiepsko. Pod koniec 2023 r. za przeciętną można było kupić tyle samo, ile w 2021 r., choć w tym czasie nominalne polskie wynagrodzenia wzrosły aż o 24 proc.

OBYWATEL DOPŁACI | Rząd Tuska przejął większość programów PiS, dodał nawet swoje, ale nie przestawił polityki społecznej z torów, na które wprowadzili ją poprzednicy. Socjal po polsku nadal bazuje na transferach gotówki, za które obywatele mają dokupić sobie to, czego nie dostarcza im państwo. Efektem ubocznym takiej strategii jest jednak zawsze zwiększone ryzyko inflacji. Gdy np. zamiast bezpłatnych miejsc w żłobkach państwo serwuje 1,5 tys. zł „babciowego”, na rynek płynie komunikat, że można podnosić ceny, bo tysiącom rodzin rośnie siła nabywcza.

Polską rzeczywistość coraz częściej opisujemy właśnie za pomocą słowa „siła”. Budujemy „najsilniejszą armię lądową Europy”. Jesteśmy szóstą „najsilniejszą gospodarką” Unii. Do bilansu siły i sprawczości najwyższy czas włączyć skuteczność, z jaką pomagamy najsłabszym członkom wspólnoty. ©P



Ważenie wartości

WOJCIECH PIĘCIAK

PONAD OSIEM I PÓŁ TYSIĄCA: TYLE PRZYPADKÓW zgwałcenia lub innej poważnej napaści seksualnej, których sprawcami byli imigranci przybyli na mocy przepisów azylowych, odnotowano w Niemczech między rokiem 2015 a 2022; ponad 90 proc. ofiar stanowiły kobiety. To przypadki oficjalnie zgłoszone – kryminolodzy przyjmują, że tylko kilkanaście procent zgwałconych kobiet zgłaszało się na policję. Inny fakt: choć w 2022 r. imigranci przybyli na mocy przepisów azylowych stanowili w Niemczech mniej niż 2,5 proc. ludności, byli sprawcami ok. 10 proc. gwałtów. Także w przypadku innych przestępstw z użyciem przemocy imigranci ci byli nadreprezentowani. Dominowali zaś wśród nich młodzi mężczyźni z krajów muzułmańskich.

Powyższe stwierdzenia to nie stygmatyzująca opinia – to statystyka. Albo raczej: wycinek statystyki, która pokazuje, jaką cenę płać społeczeństwa europejskie za kryzys migracyjno-azylowy, ten zapoczątkowany w 2015 r. Gdy mówimy o imigracji, dla której prawną „furtką” są przepisy azylowe, warto mieć na uwadze i ten aspekt: że prawa człowieka mają nie tylko ludzie, którzy przybywają do Europy i chcą tu zostać, wypowiadają słowo „azyl”, lecz także jej mieszkańcy. A to statystyka pokazuje, że masowa i niekontrolowana imigracja azylowa prowadzi do kumulacji zjawisk, które finalnie naruszają prawa ludności, nazwijmy to, tubylczej, w tym prawa kobiet.

Komentując szczyt Unii Europejskiej, na którym w minionym tygodniu przywódcy unijni i szefowa Komisji dyskutowali o tym, jak zapanować nad kryzysem migracyjnym (w tym jego odsłoną na granicy polskiej i fińskiej), niektórzy pisali potem, że Unia przesuwą się „na prawo”. Trafniejsze wydaje się stwierdzenie, że unijni przywódcy wreszcie próbują stawić czoło rzeczywistości – takiej, jaka wyłania się ze statystyk. Dotyczy to zgodnie polityków prawicowych, centrowych czy lewicowych.

Autorem jednej z najbardziej konsekwentnych polityk azylowych w Unii jest lewica: duńscy socjaldemokraci.

Z kolei o możliwości zawieszenia prawa do azylu – w reakcji na użycie przez Rosję migrantów jako narzędzia wojny hybrydowej – zdecydowała w Finlandii kolicja od prawa do lewa.

Także na strategię migracyjną polskiego rządu, której projekt właśnie zaprezentowano, można spojrzeć jak na próbę wyważenia wartości. Bo wartością jest nie tylko pomaganie ludziom w lesie. Jest nią także staranie o bezpieczeństwo – i państwa, i jego poszczególnych obywateli i obywateli. ©P



Trzecia kadencja Dudy

PIOTR ŚMIŁOWICZ

SEJMOWE ORĘDZIE PREZYDENTA z okazji pierwszej rocznicy wyborów z 15 października 2023 r. było jedyne w swoim rodzaju. Andrzej Duda wystąpił w nim jako zdecydowany krytyk rządu, pozytywnie oceniając jedynie dorobek szefa MON Władysława Kosiniaka-Kamysza. Można było odnieść wrażenie, że prezydent chce się ubiegać o trzecią kadencję i właśnie rozpoczął kampanię wyborczą.

Na pewno jego przemówienie miało pomóc kandydatowi PiS, z wyborem którego partia ma pewien problem, choć obiecała elektoratowi przedstawić go jeszcze przed 11 listopada.

Ostatnio pojawił się pomysł, by reprezentant PiS został wyłoniony w partyjnych prawyborach; można też zrozumieć, dlaczego Jarosław Kaczyński jest skłonny na takie rozwiązanie się zgodzić. W przypadku nietrafionej selekcji można będzie odpowiedzialność zwalić na partyjne *vox populi*. Politycy PiS już w nieformalnych rozmowach zaczęli utyskiwać, że gdyby rzeczywiście do prawyborów doszło, zapewne wygrałby popularny w środowisku Przemysław Czarnek. On jednak w drugiej turze nie miałby raczej szans z kandydatem drugiej strony, z uwagi na duży negatywny elektorat. Cały czas jest więc

możliwe, że prawyborów jednak nie będzie, a partia zdecyduje się na spokojniejszego nominata, w rodzaju Tobiasza Bocheńskiego czy Marcina Przydacza, próbując powtórzyć manewr z lat 2014-15, gdy postawiono na z pozoru mało wyrazistego Dudę, który okazał się czarnym koniem wyborów.

W swoim orędziu prezydent kpił z tych, którzy odliczają czas do sierpnia przyszłego roku, kiedy to upłynąć ma jego kadencja, choć nie wygrali jeszcze wyborów. Wcale nie jest powiedziane, że nie ma racji. Jeżeli wybory w USA wygra Donald Trump, nie można wykluczyć, że udzieli on jednoznacznego poparcia kandydatowi PiS. Na przykład oświadczając, że w przypadku innego prezydenta nie będzie wspierał Polski militarnie. Niektórzy uznają to za nieuprawnioną ingerencję, ale będzie wielu takich, którzy dla dobra państwa i wobec perspektywy zwycięstwa Rosji w wojnie z Ukrainą ulegną szantażowi. W takiej sytuacji zwycięstwo kandydata PiS może się okazać bardzo prawdopodobne.

Może więc to, kto będzie kandydatem PiS, okaże się dla wszystkich dużo ważniejsze niż to, w jaki sposób zostanie on wyłoniony. ©



Święto niezgody

MAREK KĘSKRAWIEC

DWA KOLEJNE SĄDY ODRZUCIŁY ZAŻALENIE STOWARZYSZENIA Marsz Niepodległości na decyzję warszawskiego Ratusza, który nie udzielił zgody na coroczne demonstracje 11 listopada. Ktoś powie, że w starciu Rafał Trzaskowski vs. narodowcy mamy 3:0, ale sprawa jest bardziej skomplikowana i – jak co roku – wszyscy są w niej przegrani, choć każdemu się wydaje, że odniósł przynajmniej moralne zwycięstwo.

Trudno zrozumieć, dlaczego organizatorzy marszu złożyli w magistracie aż sześć wniosków dotyczących tej samej manifestacji, różniących się jedynie czasem trwania jej części „stacjonarnej” (od półtorej doby do dwóch tygodni). Pewnie gdzieś tkwi ukryty sens tej operacji, niemniej do głównego nurtu medialnego się nie przebił, choć akurat na kwestie czytelności komunikacyjnej organizatorzy wielkich zgromadzeń powinni być wyczuleni.

Sprawa nie jest zamknięta i wiele wskazuje na to, że w końcu któryś z wniosków nie będzie przypominał rebusu i Trzaskowski go zatwierdzi.

Jego stosunek do narodowców jest, co prawda, znany, ale podejrzewam, że prezydent woli mieć ich na wytyczonej trasie i pod jakąś kontrolą, niż sprawić, że policja ganiać będzie za nimi po całym centrum Warszawy.

Problem z marszem jest systemowy. Trzaskowskiego boli to, że skrajne środowiska właściwie zmonopolizowały najważniejsze święto wspólnoty polskiej, a przekazy medialne, które co roku płyną przy tej okazji, raczej przeczą słowu „wspólnota”. Prezydent stolicy to samo mówi zresztą o miesięcznicach smoleńskich i ma rację, bo w katastrofie w 2010 r. zginęli przecież nie tylko politycy związani z prawicą. Co ciekawe, sam PiS też – choć dysponował przez 8 lat wszystkimi narzędziami, łącznie z telewizją i radiem na rozkaz – nie dał rady zapanować nad marszem 11 listopada. Umizgiwał się, sypał banknotami, próbował „subtelnie” dzielić środowisko narodowe – to ostatnie nawet mu się do pewnego stopnia udało – ale bez żadnych korzyści własnych.

Jarosław Kaczyński sądzi, że przy okazji zamieszania z pozwoleniem na demonstrację i w ogólnie napiętej atmosferze politycznej zyska parę punktów, rezygnując z tradycyjnego spędzania tego dnia w Krakowie i pojawiając się na marszu w Warszawie. Na dodatek ręką w rękę z zatwierdzonym dzień wcześniej kandydatem PiS w przyszłorocznych wyborach na prezydenta. Prezes uwielbia intrygi, więc byłby zapewne szczęśliwy, gdyby domniemany nominat KO w tym samym wyścigu, Rafał Trzaskowski, wysłał na swą konkurencję służby porządkowe.

Tylko co to wszystko ma wspólnego ze świętowaniem Dnia Niepodległości? ©



Prezydent Andrzej Duda przed wygłoszeniem orędzia w Sejmie. Warszawa, 16 października 2024 r.

NA PUNKTY

RAKIETA

Tenisistka Iga Świątek znów ma trenera: Tomasza Wiktorowskiego zastąpił współpracujący dawniej z Kim Clijsters i Naomi Osaką Wim Fissette.

KASK

Posłanka Joanna Kluzik-Rostkowska znów ma kask do jazdy konnej: kiedy wydawało się jej, że go straciła, zamieściła w mediach społecznościowych wulgarny wpis, zapowiadając „dorwanie” złodzieja. Gdy zguba się znalazła, wpis zniknął.

PROJEKT

Rząd w końcu ma projekt ustawy o związkach partnerskich, zakładający ich rejestrowanie w USC, dający dostęp do informacji medycznej, prawo decyzji o pochówku i podziale majątku. W związku z wątpliwościami PSL nie da się wykluczyć, że dokument może spotkać los wpisu Kluzik-Rostkowskiej.

DOM

Prokuratura wszczęła postępowanie sprawdzające w związku z oświadczeniem majątkowym innej posłanki KO, Kingi Gajewskiej, która o ponad rok spóźniła się z wpisaniem tam domu podarowanego przez rodziców. Z majątkiem, jak widać, lepiej uważać. ©P



ARTUR SPORNIAK

Ks. Olszewski jest prześladowany?

Z PUNKTU WIDZENIA OBSERWATORA niewtajemniczonego w szczegóły działania prokuratury, sytuacja nie wygląda dobrze. W areszcie od siedmiu miesięcy siedzi ksiądz, a śledztwo dotyczy przyjęcia z Funduszu Sprawiedliwości 66 milionów zł. Otrzymanych pieniędzy ks. Michał Olszewski (na zdj.), prezes Fundacji Profeto, „nie roztrwonil z nierządnicami”, tylko postawił za nie budynek, który miał służyć ofiarom przestępstw – zgodnie z celem Funduszu. Jak wynika ze śledztw dziennikarskich, konkurs najprawdopodobniej był ustawiony. Zeznania od osób w nią uwikłanych prokuratura dawno zebrała, oprócz głównego beneficjenta do aresztu trafiły także urzędniczek uczestniczące w przekazywaniu pieniędzy. Tymczasem na wolności wciąż jest główny podejrzany, którego prokuraturze nie udało się nawet przesłuchać. Istnieją po temu obiektywne powody (immunitet poselski Zbigniewa Ziobry i jego choroba), co jednak nie zmienia wrażenia, że mamy tu do czynienia z me-

chanizmem kozła ofiarnego: do aresztu idą ci, których jest łatwo tam wsadzić.

Co więcej, z aresztu docierają niepokojące sygnały – podczas aresztowania ks. Olszewski miał być poniżany, odmawiano mu wody i dostępu do toalety – czemu Ministerstwo Sprawiedliwości zaprzeczyło, powołując się na wewnętrzny audyt. 18 paździer-

nika Sąd Rejonowy dla

Warszawy-Mokotowa ostatecznie odrzucił zażalenie obrońców na zatrzymanie księdza.

Wciąż jednak nie wiadomo, dlaczego przez tak długi czas stosowany jest tak surowy środek. Adwokat duchownego poinformował, że skieruje sprawę do Międzynarodowego Trybunału Praw Człowieka.

Jeśli Trybunał wydałby niekorzystny dla Polski wyrok, byłaby to poważna kompromitacja rządu.

Nie dość na tym. Szykuje się nam nowy „męczennik”. Ks. Olszewski właśnie otrzymał Nagrodę Społeczną bł. ks. Jerzego Popiełuszki w kategorii „Wolność”. Konkurs organizują środowiska prawicowe, ale laureata wybierają internauci. ©P



Fundusz Kościelny na razie zostaje

MACIEJ MÜLLER

RZĄD PRZEDSTAWIŁ BISKUPOM „propozycje zastąpienia Funduszu Kościelnego innymi rozwiązaniami”, a biskupi zapewnili o „woli ich przedyskutowania”. Tyle wiadomo o posiedzeniu (od dawna niezwoływanej) Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu. Likwidacja Funduszu należała do „stu konkretnych” ogłoszonych w kampanii wyborczej, a zamiar ten potwierdził potem, już jako premier, Donald Tusk. Szefem zajmującego się

tym zespołu rządowego został jednak Władysław Kosiniak-Kamysz, co właściwie gwarantowało, że sprawy nie ruszą z miejsca.

I nie ruszyły: z zapowiedzi likwidacji Funduszu w 2025 r. nico, żadnego projektu ustawy nie ma, podobnie jak gwarancji współpracy ze strony prezydenta Andrzeja Dudy. O czym więc dyskutowali rządzący z biskupami? Na stół wróciło rozwiązanie promowane już ponad dekadę temu,

za poprzedniego rządu Tuska. Efekty tamtych prac trafiły do kosza: powstający projekt miał być poddany konsultacjom społecznym, ale nigdy do tego nie doszło. Chodzi o dobrowolny odpis podatkowy, podobny do 1,5 proc. na OPP. Rozpatrywane są różne jego wysokości, ale nawet ta najniższa – 0,5 proc. – oznaczałaby według szacunków sumę znacznie większą niż obecne wpłaty z Funduszu (w 2024 r. to 257 mln zł).

Zmiana modelu mogłaby zapewnić – na wzór włoski – większą przejrzystość finansową i zapewnienie państwu możliwości sprawdzenia, na co zostały wydane pieniądze z odpisu. A Kościołowi – większą niezależność od woli politycznej aktualnie rządzących. Wywołałaby też z pewnością pytania o sensowność mszalnej tacy i opłat „co łaska” w kancelarii parafialnej. Wygląda jednak na to, że temat finansowania Kościołów należy do tej samej kategorii spraw nie do załatwienia przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi, co liberalizacja aborcji czy zapewnienie dostępu do antykoncepcji awaryjnej. ©P

Polski eksport po raz pierwszy przegonił rosyjski

GOSPODARKA ■ Polska sprzedała w zeszłym roku za granicę towary i usługi warte łącznie aż 469 mld dolarów, o 35,3 mld więcej niż rok wcześniej – podał właśnie Bank Światowy. W tej wiadomości od samej dynamiki eksportu ważniejsze jest jednak to, że po raz pierwszy w najnowszych dziejach Polska wyprzedziła Rosję na liście największych eksporterów globu, awansując w ten sposób do czołowej dwudziestki. W ub. roku Rosji udało się znaleźć nabywców na towary i usługi warte jedynie 466,56 mld dolarów.

Rzecz jasna, na spadek eksportu z Rosji w znacznej mierze wpłynęły sankcje nałożone na nią po napaści na Ukrainę oraz osłabienie rubla. Nie bez znaczenia był też fakt, że poza gazem i ropą Moskwa nie ma wiele do zaoferowania na rynkach zagranicznych. Na liście jej eksportowych hitów była do niedawna broń, ale problemy, jakie uzbrojenie z Rosji piętrzy przed jej własną armią w Ukrainie oraz wydłużony czas dostaw sprawiły, że część nabywców zrezygnowała z zakupów. Kreml najbardziej zabolalo obcięcie lukratywnych zamówień z Indii, które już otwarcie deklarują odejście od rosyjskiej broni.

Załamanie rosyjskiego eksportu, widoczne w zeszłorocznych statystykach, w pewnej mierze jest efektem bazy. Na początku 2022 r., spodziewając się sankcji, wiele krajów gwałtownie

nie zwiększyło import z Rosji. Sam wybuch wojny również przełożył się na skokowy wzrost cen węgla, ropy i gazu ziemnego na rynkach międzynarodowych. Podrożało także zboże. W efekcie (zanim ceny surowców spadły) bilans rosyjskiego eksportu w 2022 r. sięgnął rekordowych 640,9 mld dolarów. Dla polskiego eksportu wojna również nie pozostała obojętna, napędziły go dostawy na Ukrainę.

Rosyjskie problemy pokazują jednak, jak niebezpieczne bywa oparcie gospodarki na eksporcie i brak jego dywersyfikacji. Pod tym względem Polskę niewiele różni od jej kłopotliwego sąsiada ze wschodu. Udział eksportu w PKB naszego kraju, sięgający 50 proc., jest o blisko 30 punktów procentowych wyższy niż w przypadku Rosji. W dodatku dużą część produkcji sprzedawanej za granicę stanowią nadal półprodukty, np. części samochodowe, które potem niejako odkupujemy z powrotem, importując zagraniczne auta czy elektronikę.

Nasz eksport stoi też, tak jak rosyjski, na kilku kategoriach produktowych, głównie motoryzacji i AGD. Stosunkowo łatwo go zatem przewrócić. Na szczęście od kilku już lat (choć także wskutek inflacji) rośnie nam konsumpcja wewnętrzna, czyli drugi, nie mniej istotny filar każdej stabilnej gospodarki.

Pomimo wszystkich problemów i zagrożeń, jakie niesie ze sobą gospodarka oparta na eksporcie, trzeba o niego dbać. Tylko w zeszłym roku polscy eksporterzy sprzedali za granicę towary i usługi o równowartości dwóch tegorocznych budżetów naszego państwa.

© MAREK RABIJ

Synod: przesilenie i próba sił

WATYKAN ■ W długodystansowym biegu, do jakiego porównać można czterotygodniowy synod, kryzysowy moment przychodzi zwykle na trzech czwartych wyścigu – emocje pierwszego etapu dawno opadły, a coraz większe zmęczenie grozi znużeniem i zniechęceniem. Kto je przetrwa, zwycięży.

Tak jest i tym razem. Trzeci tydzień obrad przyniósł dwa krytyczne, ale kluczowe wydarzenia.

We wtorek, 15 października, tematem synodalnej dyskusji była „doktrynalna decentralizacja” Kościoła. Papież Franciszek nieraz wspominał, że dobrze byłoby oddać część władzy nauczycielskiej krajowym konferencjom episkopatów (nawet jeśli jego decyzje temu przeczyły). Jednak propozycja, zawarta w dokumencie roboczym, wzbudziła sprzeciw sporej części delegatów, którzy widzą w niej zagrożenie dla jedności Kościoła i relatywizowanie katolickiej doktryny. Opór był tak duży, że sekretariat generalny poprosił teologicznych ekspertów, by na specjalnym spotkaniu rozwiali obawy synodu. Czy po tym nastąpi przesilenie – okaże się podczas głosowań nad dokumentem końcowym.

Z kolei w piątkowy wieczór doszło do niespodziewanej próby sił pomiędzy synodem a Dykasterią Nauki Wiary. Na ten dzień zaplanowano spotkanie z szefami grup studyjnych, którym papież powierzył zbadanie najtrudniejszych kwestii. Ze szczególną uwagą czekano na konfrontację z kard. Victorem Manuelem Fernándezem, prefektem dykasterii, w ramach której powstała grupa do spraw diakonatu kobiet. Ale zamiast kardynała, w synodalnej auli pojawiło się dwóch urzędników dykasterii, niskich rangą i niebiorących udziału w pracach grupy, którzy nie byli w stanie udzielić żadnych informacji, nawet na temat składu zespołu (to jedyny przypadek utajnienia przed synodem nazwisk ekspertów), i rozdali zebranym kartki z prośbą o pytania do prefekta. Ponad stu delegatów, w tym wielu kardynałów, nie kryło irytacji i oburzenia. Domagali się osobistego spotkania z kard. Fernándezem, który następnego dnia przeprosił za „nieporozumienie” (już wcześniej zapowiadał swą nieobecność, a zastępujący go sekretarz nagle zachorował) i zaproponował przeniesienie rozmowy na najbliższy czwartek.

Na ostatniej prostej synod – dotąd ospały i monotony – odzyskuje energię. Delegaci uwierzyli w sens zmagania, zobaczyli ich cel, a postawa prefekta podrażniła ich ambicje. Finisz zapowiada się emocjonująco.

© EDWARD AUGUSTYN z Rzymu



Otwarcie nowej linii produkcyjnej w fabryce silników Opla w Tychach, 2019 r.

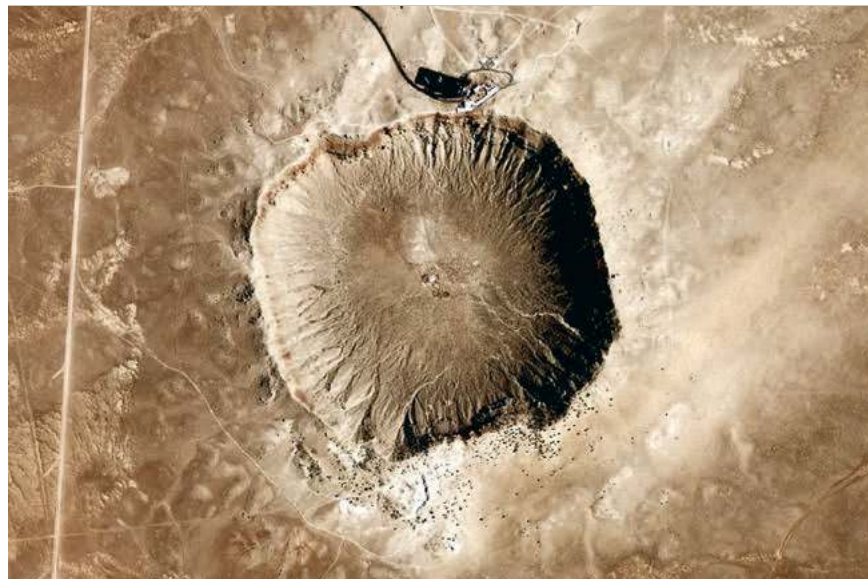
TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

Meteoryty zawdzięczamy tylko kilku asteroidom

KOSMOS ■ Ziemia jest nieustannie bombardowana przez kosmiczny materiał. Większość to drobiny mniejsze niż ziarnka piasku, które spalają się w atmosferze. Ale kilkanaście razy do roku planetoida o rozmiarach kilkunasu metrów wchodzi w naszą atmosferę i rozpada się na kawałki. Jej resztki są zbierane przez ludzi, badane w laboratoriach i wysyłane do muzeów. Ok. 6 proc. meteorytów to kawałki Księżyca, Marsa i planetoidy Westy. Skąd się bierze reszta? Naukowcy od dawna podejrzewali, że z zaledwie kilku kosmicznych kolizji w rejonie pasa asteroid. Skąd się brały te podejrzenia?

Po pierwsze, skład przeciętnego meteorytu docierającego na Ziemię jest niepodobny do składu chemicznego przeciętnego ciała z pasa asteroid. Większość meteorytów to tzw. zwyczajne chondryty typu H i L (zawierające kuleczki-chondry powstałe u zarania Układu Słonecznego, o wysokim bądź niskim poziomie metalicznego żelazo-niklu).

Po drugie, wiemy, że nasilenie kosmicznego bombardowania zmieniało się w czasie – były okresy, gdy szanse na oberwanie kawałkiem kosmicznej skały rosły. To wskazuje na jakiegoś pojedynczego wydarzenia będące



Krater Barringer na płaskowyżu Kolorado powstały po upadku meteorytu 50 tys. lat temu

źródłem meteorytów. Dzięki mierzeniu, jak długo dany meteoryt był nasświetlany promieniami kosmicznymi, możemy też określić moment, w którym nastąpiło podzielenie większego ciała na wiele mniejszych.

Miroslav Brož i współpracownicy potwierdzili właśnie te domysły, identyfikując pochodzenie 70 proc. meteorytów. W artykule opublikowanym w „Nature” pokazali bezpośredni związek między chondrytami zwyczajnymi a rodzinami asteroid Koronis i Massalia. Udało się to zrobić dzięki połączeniu danych geologicznych – datowania momentu powstania danego typu meteorytów – z modelowaniem numerycznym ruchu planetoid. Badacze zidentyfikowali

zespoły niewielkich ciał niebieskich, które poruszają się po orbitach wskazujących, że tworzyły jedną, większą, ponad 30-kilometrową planetoidę dokładnie w tych okresach (ok. 5,8, 7,6 oraz 40 mln lat temu), kiedy chondryty zwyczajne H i L zaczęły być nasświetlane promieniami kosmicznymi.

Katastrofalne zderzenia sporych planetoid sprzed milionów lat wytworzyły dużą ilość niewielkich, metrowych ciał, które nadal są wysyłane w naszym kierunku przez zaburzenia grawitacyjne Jowisza i Saturna. Pokazuje to, jak dynamicznym miejscem jest pas asteroid i że zdecydowanie powinniśmy mieć go cały czas na oku.

© ANNA ŁOSIAK

Na co stać NFZ

ZDROWIE ■ W NFZ nie ma pieniędzy na finansowanie wszystkich nowoczesnych terapii onkologicznych, kardiologicznych i neurologicznych – mówi w telewizji publicznej ministra zdrowia Izabela Leszczyna, uspokajając jednocześnie, że w Funduszu nie ma dziury budżetowej, a pacjenci mogą czuć się bezpiecznie, bo będą leczeni. To jaskrawy przykład „ministerializmu dialektycznego”, którego celem jest wyjaśnienie sytuacji, do której dochodzi w ostatnich tygodniach coraz częściej. Pacjenci odbijają się od szpitali i poradni

specjalistycznych i słyszą, że wyczerpały się tegoroczne limity. Mogą szukać szansy na zdrowie w innych ośrodkach lub zgłosić się w pierwszych tygodniach 2025 r. Kiedy limity się odnowią, może będą mieć szczęście.

W minionym tygodniu sytuację pacjentów neurologicznych, w tym chorych ze stwardnieniem rozsianym i rzeniowym zanikiem mięśni (SMA), zdecydowało się naogłosić Polskie Towarzystwo Neurologiczne, które zaalarmowało, że w wielu ośrodkach skończyły się limity w programach lekowych, w związku z tym nowo zdiagnozowani pacjenci nie mają szans na szybkie rozpoczęcie leczenia,

co w ich przypadkach oznacza wysokie prawdopodobieństwo pogorszenia stanu zdrowia. Dla Ministerstwa Zdrowia zwłaszcza problemy z programem SMA oznaczają poważny kłopot, bo to największy sukces polityki lekowej rządów PiS i jego załamanie w pierwszym roku rządów koalicji mogłoby zostać wykorzystane jako oręż polityczny.

To dlatego MZ przesunęło pół miliarda złotych do budżetu NFZ, by zapewnić ciągłość terapii w tych obszarach i by Fundusz mógł zapłacić ośrodkom prowadzącym programy lekowe za wszystkich leczonych pacjentów. Jednocześnie Leszczyna mówi wprost, że na wszystko nas nie stać.

Podczas Forum Rynku Zdrowia, największej jesiennej konferencji branżowej, ministra przyznała, że pieniądze, którymi dysponuje publiczny system, są więcej niż ograniczone, jeśli porównać je choćby z Czechami, gdzie wydatki publiczne na zdrowie przekraczają już 8 proc. PKB (Polska – 5,2 proc.). Trudno oczekiwać, że Fundusz zapłaci za wszystkie nowoczesne terapie. A jeśli już będzie trzeba podejmować decyzje, na sfinansowanie terapii raczej będą mogli liczyć np. pacjenci onkologiczni. „Zabiegi wszczepiania endoprotez będą musiały poczekać” – mówiła szefowa resortu zdrowia.

© MAŁGORZATA SOLECKA

ŚWIAT TO JA

Elon Musk, najbogatszy człowiek globu,
przez lata pozował na wizjonera, który działa dla dobra ludzkości.

Dzisiaj z przytupem wchodzi do polityki.
Co może z tego wynikać – dla Ameryki i dla nas?

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ELMUSK NIE PRZEBIERAŁ W SŁOWACH. „Jeśli Donald Trump przegra wybory, mam przerąbane” – tak amerykański miliarder podsumował swoją sytuację podczas jednego z wywiadów. Uczynił to z szerokim uśmiechem. Potem jednak dodał poważniej: „Jak długi dostanę wyrok? Czy jeszcze zobaczę swoje dzieci? Nie wiem”.

Była to typowa dlań kombinacja autoironii, uzalania się nad sobą i paranoi. Musk, który finansowo, propagandowo i logistycznie wspiera kampanię kandydata Republikanów, nie musi obawiać się zwycięstwa Kamali Harris. Bez względu na to, kto 5 listopada zostanie nowym gospodarzem Białego Domu, tak czy inaczej będzie musiał się z nim liczyć.

Musk, najbogatszy człowiek świata (z majątkiem wycenianym aktualnie na ponad 247 mld dolarów), od dwóch dekad inwestuje zwłaszcza w infrastrukturę internetu oraz w transport – kluczowe branże dla gospodarki USA. Dziś jego firmy są jeśli nie monopolistami, to na pewno kluczowymi graczami w tych sektorach.

Żołęźiel portalu LinkedIn Reid Hoffman, który w latach 90. XX w. razem z Muskiem zakładał serwis PayPal, w rozmowie z magazynem „The New Yorker” stwierdził: „Podejście Elona przypomina tę króla Ludwika XIV: *L'état, c'est moi*. Państwo to ja”.

„Ze względu na jego wpływ”

Późnym latem 2022 r. armia ukraińska przygotowywała się do zadania ciosu rosyjskiej Flocie Czarnomorskiej, stacjonującej w Sewa-

stopolu. Ukraińcy planowali, że kluczowym elementem uderzenia będą morskie drony. Do sterowania nimi zamierzali wykorzystać mobilne zestawy Starlink: łącząc się z satelitami, niemal od początku rosyjskiej inwazji zapewniają one łączność na froncie. Jednak pojawił się problem – należąca do Elona Muska firma SpaceX, która jest właścicielem Starlinków, odmówiła Ukraińcom dostępu do sieci na obszarze Krymu. To zniweczyło plan ataku.

SpaceX tłumaczyła, że jedynie zastosowała się do nałożonych przez USA sankcji, które zakazują jej prowadzenia działalności nad terytorium Federacji Rosyjskiej i także na okupowanym półwyspie. Sam Musk oświadczył natomiast, że Ukraina chciała, by jego firma „odegrała rolę w istotnym akcie wojny”, i że gdyby „dostał prezydencką dyrektywę, aby włączyć system, zrobiłby to”.

Słowa te wywołały złość w Kijowie, ale też ostrą krytykę w USA. Senatorka Elizabeth Warren wzywała nawet do wszczęcia śledztwa, by ustalić, „czy to rząd w Waszyngtonie prowadzi politykę zagraniczną, czy może jeden miliarder”.

Niedługo potem ukraińscy żołnierze odkryli, że gdy tylko udawało im się wyprzeć Rosjan z zajętego przez nich terenu, i gdy przekraczali dotychczasową linię frontu, zestawy Starlink już tam nie działały. Gdy informacje o tym dotarły do Pentagonu,

*Elon Musk na wiecu wyborczym
Donalda Trumpa w Butler Farm Show.
Pensylwania, 5 października 2024 r.*



ALEX BRANDON / AP / EAST NEWS



do Muska z prośbą o interwencję zadzwonił Colin Kahl, podsekretarz stanu w Departamencie Obrony. „Choć Musk formalnie nie jest dyplomatą ani mężem stanu, uważałem za ważne, by traktować go jako takiego ze względu na jego wpływy” – powiedział później Kahl „New Yorkerowi”.

„Elon łykał wszystko”

Gdy nie wiadomo, o co chodzi, zwykle chodzi o pieniądze. W pewnym momencie Musk zagroził, że całkowicie odetnie Ukraincom dostęp do swojej sieci satelitarnej, jeśli Waszyngton nie zacznie mu płacić za jej udostępnianie 400 mln dolarów rocznie. Podczas negocjacji, w których ostatecznie ustąpił, powiedział jednak coś, co wprawiło jego rozmówców z Pentagonu w osłupienie. „Odbyłem świetną rozmowę z Putinem” – stwierdził. „Wszyscy pomyśleliśmy: o rany, niedobrze” – opowiadał Kahl.

Później miliarder zaprzeczył, by rozmawiał z rosyjskim przywódcą o Ukrainie. Ale, jak wspomina Reid Hoffman, w tym samym roku, podczas poświęconej bezpieczeństwu konferencji w Aspen, to właśnie Musk apelował o rozpoczęcie negocjacji z Kremlem. Przekonywał, że „Putin chce pokoju”. Mniej więcej w tym czasie Musk opublikował też na Twitterze własny „plan pokojowy”, który zakładał oddanie Krymu Rosji i referenda, które miałyby zdecydować o przyszłych granicach Ukrainy. „Elon łykał wszystko, co mu mówił Putin” – twierdzi Hoffman.

Później Musk ogłosił także swój plan dla Tajwanu: zakładał przekształcenie wyspy w „specjalną strefę administracyjną”, czyli *de facto* wchłonięcie jej przez Chiny. Z pewnością nie bez związku jest tu fakt, iż połowę wszystkich wytwarzanych na świecie tesli, elektrycznych samochodów firmy Muska, produkuje jego fabryka w Szanghaju.

Polityczne przebudzenie

Elon Musk, rocznik 1971, przez lata budował swój wizerunek genialnego wizjonera. Kogoś, kto dla dobra ➔

→ ludzkości popularyzuje elektryczne samochody, zabiega o stworzenie bezpiecznej sztucznej inteligencji i buduje kosmiczne rakiety, które zabiorą nas na Marsa.

Politycznie był przy tym w zasadzie nijaki. Jeszcze dekadę temu twierdził, że jest „pół-Demokratą, pół-Republikaninem”, a jego poglądy są „społecznie liberalne, ale fiskalnie konserwatywne”. Jak większość bogaczy z kalifornijskiej Doliny Krzemowej – zagłębia technologicznego USA – dawał przy tym do zrozumienia, że głosuje na Demokratów: w roku 2008 i 2012 na Baracka Obamę, w 2016 r. na Hillary Clinton, a w 2020 r. na Joeego Bidena. Jednocześnie finansowo wspierał obie główne partie w USA niemal po równo.

Powiedzieć więc, że ostatnio Musk się zmienił, to nic nie powiedzieć. Nie chodzi tylko o to, że wpompował w kampanię Trumpa 75 mln dolarów – co sprawia, że inni darczyńcy, uważani dotąd za hojnych, a przekazujący zwykle w okolicy miliona, wypadają przy nim blade.

W istocie pomoc, jakiej Musk udziela Trumpowi, jest znacznie większa. Do Muska należy platforma X (dawniej Twitter). Na własnym profilu ma on tutaj 200 mln obserwujących, których regularnie bombarduje propagandą na rzecz Trumpa. Charlie Warzel, komentator magazynu „The Atlantic”, twierdzi, że Musk i jego X stali się „najbardziej znaczącym węzłem w systemie informacyjnym Partii Republikańskiej”. Warzel ocenia, że są dla wyborców Republikanów tym, czym Rupert Murdoch i Fox News byli podczas poprzednich kampanii: „cynicznymi manipulatorami, których maszyny propagandowe pompują kłamstwa do amerykańskiego politycznego krwiobiegu”.

Granica dopuszczalności

Chodzi nie tylko o to, że Musk publikuje na platformie X jakieś sfałszowane wideo czy zdjęcia, które mają kompromitować Kamalę Harris (skrytykowany, tłumaczy później, że to tylko „satyra”). Chodzi o to, że w ten sposób praktyka taka powszedniejsza, staje się czymś zwyczajnym. W efekcie to, co jeszcze kilka miesięcy temu w wykonaniu Muska wywoływało oburzenie, dziś powoduje zwykle wzruszenie ramion. Granica tego, co w dyskursie publicznym dopuszczalne, przesuwa się – powoli, ale systematycznie.

Przykład? Niedawno Musk twierdził, że tylko „mężczyźni alfa” o wysokim sta-

Dolina Krzemowa długo
była bastionem liberalizmu.

Dziś nastroje się zmieniają:
wprawdzie wciąż
dominują tam sympatie
dla Demokratów, ale
coraz więcej prominentów
popiera Trumpa.

tusie społecznym są zdolni do właściwego podejmowania samodzielnych decyzji i z tego powodu tylko oni powinni być dopuszczeni do głosowania w wyborach. Również niedawno, tuż po drugiej, wrześniowej próbie zamachu na Trumpa, we wpisie na X pytał, ponoć żartem, dlaczego nikt nie próbuje zabić Bidena albo Harris.

Dla amerykańskiej demokracji niebezpieczne jest też rozpowszechnianie przez Muska teorii spiskowych. Bez względu na to, czego dotyczą – w mniej bądź bardziej zawołowany sposób podważają zaufanie obywateli do państwa.

I tak, w ostatnich miesiącach Musk wielokrotnie dawał do zrozumienia, że wierzy w „wielką wymianę”, czyli że „elity” zamierzają zastąpić białych mieszkańców Zachodu imigrantami. Powtarzał też kłamstwa, że Demokraci sprowadzają do USA nielegalnych migrantów, aby ci zapewnili im zwycięstwo w wyborach.

Zapalniki dla przemiany

Zakładając, że Musk wierzy w to, co wypisuje, można się zastanawiać: jak wizjoner-biznesmen, ten „pół-Demokrata, a pół-Republikanin”, znalazł się w tym właśnie miejscu?

Walter Isaacson, autor biografii Muska, twierdzi, że zapalnikami do przemiany Muska mogły być dwa wydarzenia: jedno globalne, drugie bardzo osobiste.

Pierwsze – to pandemia. 6 marca 2020 r., gdy covid rozlewał się już poza Chiny, Musk napisał na ówczesnym Twitterze: „Panika koronawirusowa jest głupia”. Potem podawał w wątpliwość takie działania jak dystansowanie społeczne. Twierdził, że dzieci są odporne na wirusa. 19 marca prorokował, że do końca kwietnia liczba

zgonów na covid spadnie w USA do zera (tymczasem do końca 2020 r. zmarło ponad 300 tys. Amerykanów).

Jedną z przyczyn, dla których głosił te brednie, mógł być jego własny interes: zapewne nie chciał, aby zatrzymano pracę w fabrykach Tesli, które mogły się przez to znaleźć w poważnych tarapatach finansowych.

Drugim wydarzeniem, które mogło go zmienić, miała być tranzycja jego dziecka. Od kwietnia 2022 r., czyli od dnia 18. urodzin, Xavier Musk nazywa się Vivian Jenna Wilson. „Nie chcę mieć już żadnych związków z moim biologicznym ojcem” – oświadczyła w sądzie Wilson.

„Zniszczę wirusa wokeizmu”

Claire Boucher – piosenkarka posługująca się pseudonimem artystycznym Grimes, która była wówczas partnerką Muska – powiedziała Isaacsonowi, że „nigdy wcześniej nie widziała, by cokolwiek tak zламаło mu serce”.

W lipcu 2024 r., w wywiadzie z kanadyjskim psychologiem i prawicowym komentatorem Jordanem Petersonem, sam Musk oświadczył: „W zasadzie... mój syn nie żyje, zabił go ideologiczny wirus wokeizmu, więc ja poprzysięgłem zniszczyć tego wirusa. I robimy w tym pewne postępy” (Musk użył tu słów *woke mind virus*, co można też swobodnie przełożyć: wirus postępowej wojny kulturowej).

Odpowiadając Muskowi, Wilson napisała serię postów na Threads (to serwis konkurencyjny dla Twittera/X), w której wytykała mu, że był złym ojcem. „On nie wie, jaka byłem jako dziecko, ponieważ po prostu go ze mną nie było, a w tych krótkich okresach, gdy się pojawiał, byłem bezlitośnie nękana za moją kobiecość i queerowość” – napisała.

Grimes, która w międzyczasie rozstała się z Muskiem i walczy z nim w sądzie o prawa rodzicielskie do ich trojga dzieci, jednoznacznie poparła Wilson.

Próżność ukoronowana

„Podczas koronacji Napoleon Bonaparte wyjął koronę z rąk papieża i sam ją sobie włożył na głowę, co miało symbolizować, że nie uznaje władzy ponad swoją własną. Elon Musk zrobił to samo, choć jego próżność sprawiła, że Napoleon wygląda przy nim jak skromny żołnierz z Korsyki” – tak Musk scharakteryzowała Hellen Lewis na łamach „The Atlantic”.

Jej analiza dotyczyła tego, jak Musk, oskarżając tradycyjne media o manipulację faktami w sprawie lipcowego zamachu na Trumpa, sam trzyma się z daleka nie tylko od prawdy, lecz także od zdrowego rozsądku. Przy okazji ogłupiając wszystkich, którzy czytają jego wpisy.

Koroną, którą założył sobie na skroń samowolny „absolutysta wolności słowa”, był Twitter. Musk kupił go w 2022 r. za pożyczone 44 mld dolarów. Utrzymywał przy tym, że poprzedni właściciele platformy cenzurowali prawdę. W związku z tym wśród jego pierwszych decyzji było przywrócenie zawieszonych wcześniej kont, w tym Donalda Trumpa, brytyjskiego radykała Tommy’ego Robinsona czy influencera Andrew Tate’a (oskarżanego o gwałty i handel ludźmi).

Gdy reklamodawcy zaczęli się wycofywać z serwisu, Musk najpierw ich pozwał, a później polecił im, żeby poszli się – ujmując to innym słowem – samozadolić.

Samoradykalizacja

Już wcześniej Musk był jednym z najpopularniejszych i wyjątkowo aktywnych użytkowników Twittera. O ile jednak w 2022 r. publikował średnio 29 postów dziennie, to teraz pojawia się ich prawie trzy razy tyle, a są dni, gdy publikuje ponad 150 razy na dobę.

„Lajkuje, odpowiada i wzmacnia treści o niskiej jakości, co sprawia, że dostaje więcej rekomendacji podobnych treści, co umacnia go w jego poglądach i opiniach. W skrócie: stworzył sobie komorę echową” – pisał w „Independent” prof. Sander van der Linden, psycholog społeczny z Uniwersytetu Cambridge. I dodawał: „Wygląda na to, że Musk nie zdaje sobie sprawy z tego, że radykalizuje sam siebie na własnej platformie”.

Na ostatniej prostej amerykańskiej kampanii, 5 października, Elon Musk pojawił się na wiecu wyborczym Trumpa w miejscowości Butler, w Pensylwanii – jednym z kilku „wahających się” stanów, gdzie mogą rozstrzygnąć się wybory. W tym samym miejscu, gdzie w lipcu zamachowiec postrzelił byłego prezydenta w ucho. Przemawiając do zebranych, Musk przekonywał, że jeśli Harris wygra, „będą to ostatnie wolne wybory w Ameryce”.



Już wcześniej Musk
był aktywnym
użytkownikiem Twittera.
Dziś są dni,
gdy publikuje nawet
po 150 postów na dobę.
Radykalizuje sam siebie
na własnej platformie.

ALEX BRANDON / AP / EAST NEWS

Nie tylko Musk

Kalifornijska Dolina Krzemowa była dotąd nie tylko oazą innowacji, ale też bastionem liberalizmu. Gdy w 2016 r. Trump wygrał wybory, Sam Altman, współzałożyciel OpenAI, napisał na Twitterze, iż wydaje się to „najgorszą rzeczą”, jaka przytrafiła mu się w życiu. Shervin Pishevar, jeden z twórców Ubera i Airbnb, wynik ten nazwał horrorem.

Ale dziś nastroje się zmieniają. Wprawdzie – jak zauważa w komentarzu dla „Le Monde” Kara Swisher, która obserwuje trendy w Dolinie – sympatie dla Demokratów wciąż dominują (OpenSecrets, organizacja śledząca przepływy finansowe w polityce, ustaliła, że 80 proc. datków ze start-upów Doliny Krzemowej trafiło w tym roku do sztabów Harris). Przybywa jednak zwolenników kolejnej prezydentury Trumpa. Jest wśród nich wspomniany Pishevar. Jest Keith Rabois, jeden z pierwszych dyrektorów w PayPal i LinkedIn (w 2016 r. nazwał Trumpa „socjopatą” – dziś obiecał milion na jego kampanię). Są Marc Andreessen i Ben Horowitz, pionierzy internetu: na rzecz kampanii Trumpa przekazali po 2,5 mln dolarów i zapowiadają dalsze datki.

Dlaczego zmienili poglądy? „Biden jest najgorszym prezydentem mojego życia” – twierdzi miliarder Vinod Khosla, jeden z najbardziej wpływowych inwestorów *venture capital* (to inwestycje w początkujące firmy). Biden zapowiada, że do końca kadencji opodatkuje zyski kapitałowe stawką 25 proc. dla osób, których majątek przekracza 100 mln dolarów. Jego administracja walczy też z praktykami monopolistycznymi firm technologicznych (w toku są procesy m.in. Amazona, Mety, Google i Apple’a) i chce ściślej kontroli rynku kryptowalut – gdy np. Horowitz zainwestował w tym sektorze 8 mld dolarów.

Tymczasem Trump zapowiada, że jeśli wygra, obniży podatki i ograniczy regulacje.

Guru nowych „trumpistów”

Dla tych, którzy „nawrócili” się na poparcie dla Trumpa, swego rodzaju guru jest Peter Thiel. Ten 57-letni dziś absolwent filozofii Uniwersytetu Stanforda i miłośnik „Władcy pierścieni”, wbrew ostracyzmowi Doliny Krzemowej popierał Trumpa już w 2016 r.

Posiadając majątek wart 10 mld dolarów, Thiel zajmuje dopiero 212. miejsce w rankingu najbogatszych ludzi świata. Ale w przypadku wygranej Trumpa będzie mieć wpływy nie mniejsze niż Musk. Historia jego powiązań i jego rosnącego wpływu na Republikanów może być poruszająca, także gdy idzie o przyszłość Musk, tę już polityczną.

20 lat temu Thiel i Musk wspólnie zbudowali serwis PayPal, który zrewolucjonizował płatności online. Jednak fortunę Thiel zrobił dopiero na Facebooku: w 2004 r. kupił 10 proc. jego akcji za 500 tys. dolarów, aby po ośmiu latach sprzedać je za miliard. Inwestował też w Airbnb, LinkedIn czy Spotify, a ostatnio w kryptowaluty. W 2004 r. stworzył też Palantir Technologies, która umożliwia analizę danych w sieci m.in. po to, aby śledzić poczynania konkretnych osób objętych śledztwami (jednym z pierwszych inwestorów w Palantir był In-Q-Tel, fundusz inwestycyjny amerykańskich agencji wywiadowczych).

Mimo tych sukcesów, w Dolinie Krzemowej Thiel długo uważany był za dziwaka, bo angażował się w projekty powiązane ze skrajnymi konserwatystami i libertarianami. Jednym z takich

→ projektów był Seasteading Institute: think tank planujący budowę unoszących się na oceanach miast nieobjętych jurysdykcją żadnego kraju, by najbogatsi mogli żyć tam według kształtowanych przez siebie praw.

Thiel inwestuje w Vance'a

W 2009 r. Peter Thiel opublikował manifest pt. „Edukacja libertarianina”. Przekonywał w nim, że demokracja i wolność nie idą w parze, a wyborcom nie wolno powierzać istotnych decyzji. „Od 1920 r., gdy drastycznie zwiększono liczbę osób objętych pomocą społeczną i nadano prawa wyborcze kobietom, (...) »demokracja kapitalistyczna« stała się oksymoronem” – pisał. W ostatnich latach zaczął jednak angażować się w politykę mocniej niż poprzez pisanie manifestów czy fundowanie think tanków. Pompował pieniądze w kampanie konserwatywnych polityków Partii Republikańskiej, takich jak Orrin Hatch czy Ted Cruz.

Jego najlepszą inwestycją może być jednak J.D. Vance, dziś kandydat Republikanów na wiceprezidenta. To Thiel dał młodemu wówczas absolwentowi prawie 100 mln dolarów na założenie funduszu inwestycyjnego w Dolinie Krzemowej, a dwa lata temu sfinansował jego kampanię w wyborach do Senatu USA. To również Thiel pośredniczył w spotkaniu Trumpa z Vance'em w 2021 r., co miało kluczowe znaczenie dla współpracy obu polityków (wcześniej Vance nazywał

Pokolenie amerykańskich
miliarderów,
którzy dorobili się
na internetowym boomie,
ma ambicje wpływania
także na politykę.

Trumpa „amerykańskim Hitlerem”). Jeśli duet Trump–Vance zdobędzie Biały Dom, jakie Thiel będzie miał z tego korzyści? Zainteresowani milczą.

Wszystko na sprzedaż

Więcej wiadomo o ewentualnych profi- tach dla Elona Muska.

Donald Trump już zapowiedział, że w razie wygranych wyborów może powołać go na przewodniczącego komisji, która zajmie się „usprawnianiem efektywności” amerykańskiej administracji (czyli zapewne będzie ciąć wydatki i znosić regulacje). Ponadto jeśli Trump wygra, Musk może zarobić dodatkowe miliardy: nowa administracja mogłaby przyznać kontrakty dla SpaceX na rozwój technologii kosmicznych albo rozwijać korzystny dla Tesli rządowy program wsparcia samochodów elektrycznych.

Mary Trump, bratanica byłego prezydenta, która od lat nie szczędzi mu przy-

tyków, widzi to nieco inaczej. „Donald Trump zawsze był na sprzedaż” – napisała w sieci, dodając: „Biorąc pod uwagę tę regułę trwającą od dziesięcioleci, nie można być zaskoczonym, że najbogatszy faszysta świata (...) byłby zainteresowany zakupieniem kilku akcji człowieka, który chętnie sprzeda wszystko, co może. Od steków po bezpieczeństwo Ameryki”.

Można to oczywiście uznać za jadowitą złośliwość w wykonaniu bratanicy, wynikającą z rodzinnych waśni. Ale faktem jest, że po tym, jak Musk oficjalnie poparł jego kandydaturę, Trump ogłosił, iż popiera auta elektryczne. Choć wcześniej utrzymywał, że ich zwolennicy powinni „gnić w piekle”.

Amerykańska oligarchia

„Cały czas rozmawiamy o Putinie i jego przyjaciółach-oligarchach, ale z oczywistych powodów nie mówimy o oligarchii w USA” – mówił niedawno magazynowi „Mother Jones” senator Bernie Sanders, uważany za jednego z najbardziej lewicowych polityków Partii Demokratycznej.

Słowo „oligarcha” kojarzy się z nielegalnymi czy nieetycznymi działaniami. Zwykle używa się go w odniesieniu do biznesmenów, którzy próbują uzyskać nieformalny i wątpliwy wpływ na rządzących. Amerykanie wolą mówić o „liderach rynku pracy”, „mecenasach rozwoju gospodarczego” i „superdonatorach” kampanii politycznych. Mają też więcej ultrabogaczy niż jakikolwiek inny

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora,
Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabij, Piotr Śmiałowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska,
Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
Anita Piotrowska

Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frolow,
Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Anna Cieślak,
Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Iwona Kuciel, Joanna Pelka,
Patrik Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska,
Wojciech Bonowicz, Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabata,
Eliza Kącka, Marcin Kędziński, Bartek Kiełżon, Piotr Kłodkowski,
Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski,
Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziółek,
Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Joanna Olech, Olaf Osica,
o. Wacław Osajca, Zbigniew Parafanowicz, Piotr Paziński,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,
Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborzka,
Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

kraj. W 2022 r. w USA żyło niemal tysiąc miliarderów, podczas gdy w Chinach było ich niewiele ponad 350, a w Niemczech poniżej 200.

Tymczasem badanie, które w 2014 r. prowadzili prof. Martin Gilens z Uniwersytetu Princeton i prof. Benjamin Page z Northwestern University, wykazało, że interesy tej grupy od lat kształtują Stany w stopniu nieporównywalnie większym niż wola większości wyborców. Badacze obliczyli, że w latach 1981-2002 ustawy, które miały niskie poparcie wśród najbogatszych Amerykanów, wchodziły w życie w zaledwie 18 procentach przypadków. Natomiast te, które cieszyły się wśród nich największą popularnością, wchodziły w życie w 45 procentach przypadków.

„Kiedy większość obywateli nie zgadza się z ekonomicznymi elitami i zorganizowanymi grupami nacisku, zazwyczaj przegrywa. Nawet kiedy znaczna większość populacji domaga się zmian, zazwyczaj ich nie dostaje” – podsumowali badacze. O tym, który pomysł staje się prawem, decyduje więc wola oligarchów.

Nowe pokolenie miliarderów

Jeszcze do niedawna amerykańscy miliarderzy skupiali się głównie na tym, by chronić swoje majątki. Ulgi podatkowe (pozwalające im „optymalizować” zobowiązania), zmiany w prawie spadkowym (chroniące dziedziczne fortuny) czy też ulgi, dzięki którym rząd dorzuca niemal połowę do „charytatywnych” datków – wszystko to można potraktować jako taką właśnie ochronę własnych interesów przez ludzi bardzo bogatych.

Tymczasem dziś wygląda na to, że nowe pokolenie miliarderów – tych, którzy dorobili się na dotcomach i internetowym boomie – chce iść znacznie dalej.

Jednak nawet Donald Trump nie ma wątpliwości w sprawie prawdziwych intencji ludzi wielkiego biznesu. Były prezydent wyraził to w wywiadzie dla Bloomberg: „Jeśli znasz się na polityce, to wiesz, że ktokolwiek przoduje w sondażach, dostaje od nich poparcie. Mógłbym mieć osobowość krewetki, a i tak wszyscy oni by do mnie przyszli”.

© AGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

GRAZYNA MAKARA & KATARZYNA WŁOCH X6 // JACEK TARAN



Katarzyna Kubisiowska:

Niezmennie chcę dowiedzieć się, kim jest człowiek, który tworzy swoje dzieło. Gdzie są jego korzenie i jak go buduje życiowe doświadczenie. W rozmowie – uważnej, intymnej, niespiesznej – wydobyć na światło dzienne to, co dotąd zakryte. A poprzez los jednostki zbliżyć się do losu wspólnoty – jego uniwersum.

Na zdjęciu
w towarzystwie
koleżanek z „Tygodnika”:
Anny Łabuszewskiej,
Moniki Ochędowskiej,
Urszuli Honek, Anny Golus,
Anny Goc i Eweliny Burdy.

Autorki „Tygodnika” odważnie prowadzą Czytelniczki i Czytelników przez nasz skomplikowany świat, zachęcają do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw.



powszech.net/dar

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**Twoje wsparcie
dla Fundacji Tygodnika Powszechnego
pozwala zmieniać świat. Naprawdę**

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Pogrzeb Mojżesza*



SZCZYT GÓRY NEBO: ZAPEWNE NADAL ROŚNIE tu drzewo oliwne, które Jan Paweł II zasiał podczas pielgrzymki do Ziemi Świętej w roku 2000. Ongiś na górze znajdował się klasztor franciszkanów oraz kościół – nadbudowany w obecnym wieku, wzniesiony pierwotnie w drugiej połowie wieku IV, w miejscu spoczynku pustynnego przywódcy Izraelitów.

Przypomnijmy – kiedy zbliżał się kres czterdziestoletniej tułaczki, Najwyższy ogłosił decyzję odnośnie do Mojżesza i Aarona: „nie zaprowadzicie zgromadzenia tego do ziemi, którą oddaję im” (Lb 20, 12; Cyilkow). Jako pierwszy na górze Hor umarł Aaron. Młodszemu z braci zależało, by móc choć spojrzeć z oddali na Ziemię Obiecaną. Siedem rozdziałów później usłyszał: „Wstąp na tę górę Abarym, i spójrz na ziemię, którą oddaję synom Izraela, [a] gdy obejrzysz ją, przyłączon będziesz do ludu twego i ty, jako przyłączon został Ahron, brat twój” (Lb 27, 12-13). Abarim to nazwa całego zajordańskiego pasma górskiego, którego najwyższym szczytem jest właśnie Nebo (po arabsku: Nibu). Ci, którzy – jak papież – tam dotarli, relacjonują, że rozciąga się stamtąd wspaniały widok na Izrael, a przy sprzyjających warunkach można nawet dojrzeć Jerozolimę.

Mogłoby się więc wydawać, że miejscem wiecznego spoczynku Mojżesza – tak jak jego brata – będzie szczyt góry, tymczasem: „wstąpił Mojżesz ze stepów Moabu na górę Nebo... umarł tam Mojżesz sługa Wiekuistego... [i] pochowano go w dolinie [hebr. gaj], na ziemi Moab, naprzeciw Beth-Peor” (Pwt 34, 1. 5. 6). Zarówno w przekładzie rabina Cyilkowa, Biblii Tysiąclecia, jak i Biblii Warszawsko-Praskiej „pochowano go”, co sugerowałoby działanie Izraelitów, natomiast dosłownie – tak jak w „Brytyjce” Towarzystwa Biblijnego – „pogrzebał go”. Według tradycji zrobił to sam Najwyższy. Tylko gdzie? Obozowisko Izraelitów znajdowało się wówczas „w nizinie [hebr. gaj], naprzeciw Beth-Peor” (Pwt 3, 29). Czyżby miejsce to zostało zidentyfikowane przez muzułmanów? W każdym razie ok. 10 km na południe od Jerycha znajdowało się niegdyś niewielkie sanktuarium Nabi Musa (arab. Prorok Mojżesz), które z czasem rozrosło się do kompleksu z meczetem, w którym – jak utrzymują muzułmanie – umiejscowiony jest grób.

Szczyt góry czy jednak dolina? Pismo daje odpowiedź: „i nie zna nikt grobu jego, aż po dziś dzień” (Pwt 34, 6). ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: *Dwa w jednym*



UROCZYSTOŚĆ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH i wspomnienie wszystkich wiernych zmarłych od długiego czasu właściwie stanowią jedno święto. Dzięki ludowej tradycji i poczynaniom komunistycznych władz naszego kraju te dwa święta nałożyły się na siebie i być może wyszło im to na dobre. Jedni i drudzy – jak wiemy – przeżyli śmierć i nadal żyją nie tylko jako zapamiętani dobrze lub źle, ale nadal realnie. Dlatego nie należy ich szukać pośród umarłych, ale, jak czytamy w Biblii, pośród żywych.

Jednak z ich istnieniem mamy wciąż kłopot. W Nowym Testamencie na opisanie śmierci mamy takie określenia jak: wyzionął ducha czy oddał ducha. Zmarły oczekuje na zmartwychwstanie, co zdaje się wskazywać, że teraz nie istnieje. Mówimy też, że żyje dusza, a ciało ulega rozkładowi, ale zostanie odbudowane w dniu zmartwychwstania. Z drugiej strony – wzywamy świętych, a nie ich dusze. Nikt np. nie mówi: duszo św. Antoniego, módl się za nami. Jezus do Dobrego (co wcale nie jest oksymoronem) Łotra nie mówi, że jego dusza dzisiaj będzie w raju, ale on sam, cały. Pomyślmy zatem, gdzie i jak będziemy te dwa pierwsze dni listopada świętować. Cmentarz, rzecz oczywista, ale są też inne możliwości spotkania wielu z tych świętych, dzięki którym jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Poniżej mam swoistą litanię takich osób.

Jan Karski, Marek Edelman, Tadeusz Mazowiecki, Anna Polikowska, Magdalena Grodzka-Gużkowska, Antonia Locatelli, Petro Hryhorenko, Nelson Mandela, Hasan Mazhar, Witold Pilecki, Władysław Bartoszewski, Jan Zieja, Natalia Gorbaniewska, Jan Jelinek, Roberto Kozak, Rafał Lemkin, Albert Wojciech Zink, Armin Wegner, Ewelina Lipko-Lipczyńska, Arsienij Borisowicz Rogiński, Raul Wallenberg, Karol Modzelewski, Stanisław Pietrow, Antonina Wyrzykowska, Hrant Dink, Julia Ilińska, Emanuel Ringelblum, Liu Xiaobo, Mosze Bejski, Bronisław Geremek, Wilhelm Hosenfeld, Antonina i Jan Żabińscy, Siergiej Kowalow, Gareth Jones, Alfreda Markowska, Jacek Kuroń, Vivian Silver, Amer Abu Sabila, Andrzej Szeptycki i Klemens Szeptycki.

Co ich łączyło, w czym przejawiała się świętość tych naszych siostr i braci, skoro byli wyznawcami różnych religii, a niektórzy ateistami? Ich uważność na drugiego człowieka. Ich świętość, wspólny mianownik ich losów to bycie „stróżem brata swego”. ©

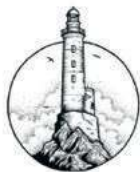
O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Słowa Ducha

*Dostrzegłem ocean
ciemności i śmierci.
Lecz zobaczyłem
też nieskończony
ocean światła i miłości,
który spływał
na tamten.*

GEORGE FOX



*Nie martwię się
– czy sprawy idą
dobrze, czy źle,
ja zależę od Boga.*

NACHMAN Z BRACŁAWIA



KIEDY WAS CIĄGAĆ będą po synagogach, urzędach i władzach, nie martwcie się, w jaki sposób albo czym macie się bronić lub co mówić, bo Duch Święty pouczy was w tej właśnie godzinie, co należy powiedzieć” (zob. Łk 12, 11-12). Dlaczego nie mamy zawczasu obmyślać swojej reakcji? Dlatego, że Duch podpowiada na ogół słowa nie do przewidzenia, będące odwrotnością tego, co sami jesteśmy w stanie obmyśleć.

Kilka przykładów. „Przełożeni Ludu i starsi, (...) niech będzie wiadomo wam wszystkim i całemu ludowi Izraela, że w imię Jezusa Chrystusa (...) ten człowiek stanie przed wami zdrowy. On jest kamieniem odrzuconym przez was, budujących, tym, który stał się głowicą węgla. I nie ma w żadnym innym zbawienia, gdyż nie dano ludziom pod niebem żadnego innego imienia, w którym moglibyśmy być zbawieni” – to Piotr przed Sanhedrynem. Autor „Dziejów” nie omieszczał zaznaczyć, iż wypowiadając te słowa, Apostoł był „napęnlony Duchem Świętym” (zob. Dz 4, 8-12).

O św. Pawle tradycja mówi, że kiedy ścięto mu głowę, ta, trzykrotnie odbijając się od ziemi, miała powtarzać jedno słowo (po hebrajsku): Jezus, Jezus, Jezus. Św. Ignacy z Antiochii, wieziony na śmierć

w Koloseum biskup-męczennik, dowiedział się o podjętych przez rzymskich chrześcijan staraniach, by go uwolnić. Przerażony, natychmiast do nich napisał: „Skoro pragnę należeć do Boga, nie wydawajcie mnie światu i nie uwódźcie tym, co ziemskie”. I wcześniej: „Nie wzbraniajcie [mi] żyć, nie chcecie, abym umarł!”. De-sygnaty „życia” i „śmierci” są tu odwrotnością naszych pojęć. Stąd także i taki argument: „Napisałem wam, kierując się nie ludzkim rozumieniem, ale myślą Boga. Jeśli będę cierpiał, będzie to znakiem waszej do mnie miłości, jeśli zostanę uwolniony, będzie to oznaczać waszą niechęć”. Zupełne odwrócenie porządku.

Do czego się sprowadza ta „inność” czy „odwrotność” mowy Ducha? Mowa Ducha jest zawsze mową miłości. Duch jest miłością i wkłada nam w serca i usta słowa miłości, również w sytuacji zderzenia się z wrogością. Duch mówi: „kocham!” – kocham Boga; kocham Jezusa Chrystusa, który jest moim Panem i Zbawicielem; kocham ludzi; kocham prawdę. Duchowi obce są słowa tak naturalne dla odrzuconego czy pobitego człowieka – skargi, protestu, odwetu, przekleństwa i nienawiści. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (27 X – 3 XI)

30. niedziela zwykła: Jr 31, 7-9; Ps 126;
Hbr 5, 1-6; Mk 10, 46b-52;
Poniedziałek: Ef 2, 19-22; Ps 19; Łk 6, 12-19;
Wtorek: Ef 5, 21-33; Ps 128;
Łk 13, 18-21;
Środa: Ef 6, 1-9; Ps 145; Łk 13, 22-30;
Czwartek: Ef 6, 10-20; Ps 144;
Łk 13, 31-35;

Piątek – uroczystość Wszystkich Świętych:
Ap 7, 2-4. 9-14; Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a;
Sobota – wspomnienie wszystkich wiernych
zmarłych: Hi 19, 1. 23-27a; Ps 27;
1 Kor 15, 20-24a. 25-28;
Łk 23, 44-46. 50. 52-53; 24, 1-6a;
31. niedziela zwykła: Pwt 6, 2-6; Ps 18;
Hbr 7, 23-28; Mk 12, 28b-34.

Wybrał PIOTR SIKORA

TEN TRZECI

Słowa Donalda Tuska o zaostrzeniu polityki migracyjnej są nie tylko wyrazem doraźnej taktyki, ale też elementem szerszej strategii. Jej najważniejszym skutkiem może być rezygnacja z wystawienia Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich.

PIOTR ŚMIŁOWICZ



TAKIEGO ZAMIESZANIA W RZĄDZIE Donalda Tuska, do jakiego doszło akurat w pierwszą rocznicę wyborów, nie było od dnia jego powstania. Wszystkie przez słowa premiera podczas sobotniej konwencji Koalicji Obywatelskiej, wedle których w nowej strategii migracyjnej rządu znajdzie się m.in. możliwość czasowego zawieszenia prawa do składania wniosków azylowych.

Słowa te wywołały polityczną burzę, a jednym z jej elementów było *votum separatum*, jakie wobec decyzji Tuska zgłosiła czwórka ministrów z lewicy. W efekcie nie poparli oni nie tylko nowych przepisów azylowych, ale też programu integrowania imigrantów z polskim społeczeństwem, mającego zapobiegać tworzeniu się etnicznych enklaw.

Gwałtowna reakcja lewicy była do przewidzenia. Jest zgodna z linią tego środowiska, zarazem daje mu szansę, by odróżnić się wreszcie w jakiejś ważnej sprawie od KO i odnotować wzrosty sondażowe. Stąd też m.in. nagłośnienie postawy ministrów Nowej Lewicy (liderzy partii Razem są poza rządem) w mediach i płomienne wystąpienie Anny Marii Żukowskiej z trybuny sejmowej, która utyskiwała, że koalicji nie udało się pierwsza rocznica.

Podobnie, choć nieco łagodniej zachowała się Polska 2050 – Szymon Hołownia deklarował, że jego partia ma prawa człowieka na sztandarach, więc nie może zgodzić się na zawieszenie prawa do azylu. Finalnie jednak ministrowie od Hołowni całą strategię poparli.

Premier łagodzi stanowisko

Najbardziej zaskakująca dla Tuska okazała się reakcja w samym klubie KO, którego kierownictwo jest przyzwyczajone, iż słowa premiera przyjmowane są bezkrytycznie. Część posłów odmawiała np. podawania dalej w mediach społecznościowych przekazów z konwencji. Tak robili m.in. Zieloni, stanowiący jeden z czterech elementów KO, którzy zresztą na konwencji w ogóle się nie pojawili. Klaudia Jachira stwierdziła, że „demokraci próbują udawać nacjonalistów”; inni politycy KO pozwalali sobie jednak na komentarze tylko w nieformalnych rozmowach.

Donald Tusk i Radosław Sikorski przed spotkaniem z delegacją ukraińską. Warszawa, 28 marca 2024 r.

Bardzo krytyczne opinie, jak można było oczekiwać, wyraziły natomiast organizacje broniące praw człowieka oraz takie osoby jak Agnieszka Holland, Janina Ochojska czy Hanna Machińska, które przypominały, że prawo do azylu należy do podstawowych praw człowieka. Podobnych głosów było więcej, a to zmusiło szefa rządu do ofensywy medialnej, w ramach której doprecyzował i złagodził stanowisko. W sejmowym wystąpieniu, polemicznym wobec orędzia prezydenta Andrzeja Dudy, próbował też wykić obawy, że przez zawieszenie azylu nie będą mogli przyjechać do Polski opozycjoniści białoruscy, tłumacząc, że rozwiązanie będzie ograniczone nie tylko czasowo, ale i terytorialnie – ma dotyczyć ludzi przysyłanych bezpośrednio na granicę przez służby Łukaszenki i przedostających się przez zbudowaną tam barierę.

To rozładowało część napięcia. – Na podstawie konstytucji i umów międzynarodowych, których Polska jest stroną, ludzie prześladowani w swoich krajach mają prawo wystąpić o ochronę międzynarodową w państwach UE. Nie wyobrażam sobie, żeby tę możliwość zlikwidować. Jedyny wyjątek, który mogłabym zaakceptować, to nasza granica wschodnia, gdyby sytuacja się tam zaostriżyła – mówi posłanka KO Katarzyna Piekarska, która długo zajmowała się opieką prawną nad uchodźcami.

Generalnie słowa Tuska nie zdziwiły obserwatorów sceny politycznej, gdyż wpisują się one w tendencję panującą w Europie, gdzie mainstreamowe partie zaczynają dostrzegać problemy z integracją imigrantów, dotychczas zauważane tylko przez radykałów. Tusk widzi, że nastroje w politycznym centrum, do którego zawsze się odnosił, zostały przesunięte w tej kwestii w prawo i podążył w tym samym kierunku.

W ocenach działań premiera powtórza się stanowisko, że to jego typowy ruch taktyczny, do jakich nas w przeszłości przyzwyczaił, umiejętnie wyczuwając nastroje społeczne – choćby wtedy, gdy domagał się chemicznej kastracji pedofilów albo ograniczał z dnia na dzień rynek hazardu. Niektórzy zwracają jednak uwagę, że w sprawie migracji Tusk aż tak bardzo nie zmienił frontu. Bo choć wypominane mu jest zdanie o „biednych ludziach” z 2021 r.,

gdy wybuchł kryzys na granicy polsko-białoruskiej, to zarazem jeszcze jako przewodniczący Rady Europejskiej był np. niechętny liberalnemu paktowi migracyjnemu.

Artylerią w Unię

Pojawiają się jednak opinie, że tym razem mamy do czynienia z prawdziwą zmianą politycznej strategii: z próbą przesunięcia KO w prawo i przyduszenia PiS do ściany. Deklaracja polskiego premiera była zarazem „przygotowaniem artyleryjskim” przed ostatnim szczytem UE, który miał się wypowiedzieć w sprawach migracji. Jak się okazało, udanym, bo inni przywódcy bez zastrzeżeń poparli linię Tuska w sprawie azylu, o ile będzie czasowa. To także dowodzi zmiany klimatu w UE.

W tym wszystkim nie miało większego znaczenia to, że wobec oporu lewicy, a także spodziewanego sprzeciwu PiS i prezydenta, może być problem z przełożeniem strategii migracyjnej na ustawę. Dla Tuska liczy się dziś przede wszystkim wywołanie wrażenia sprawczości, a do tego wystarczą deklaracje.

– Tusk wyraził słowami to, co jest opisem rzeczywistości. Nie wygłosił nowej teorii, tylko podążył za praktyką – uważa prof. Jarosław Flis z UJ. Jego zdaniem taki krok był tym bardziej do przewidzenia po wprowadzeniu w Niemczech wyrywkowych kontroli granicznych, mających służyć odsyłaniu „nieautoryzowanych” imigrantów do krajów, w których przekroczyli oni po raz pierwszy granicę Unii. Czyli w praktyce w dużym stopniu do Polski, choć tak naprawdę to nie nasz kraj jest ich celem, tylko Niemcy, które przez lata stosowały bardzo liberalne zasady azylowe, zachęcając tym samym miliony ludzi z Azji i Afryki do podróży do Europy.

Zdaniem Flisa zwrot w kwestii stosunku rządu do imigracji i podkreślanie wagi bezpieczeństwa obywateli (dalekie od poglądów Janiny Ochojskiej lub Agnieszki Holland) nie są tylko retoryką, ale formą zagospodarowania ważnego tematu przez Tuska, tak by nie stał się on paliwem dla Konfederacji czy też PiS. – Platforma przez lata odchodziła od centrowego wyborcy, biorąc na sztandar tematy atrakcyjne dla lewicy i jednocześnie ją osłabiając – mówi prof. Flis, lecz po chwili dodaje: – Tym samym PO →

→ likwidowała jednak własne skrzydło konserwatywne, robiąc pole dla Konfederacji, Kukiza'15, po części też dla PSL, a nawet Polski 2050.

Stąd też prof. Flis przypuszcza, że obecna strategia premiera jest próbą powrotu PO (a właściwie KO) do politycznego centrum, które obecnie – w dużej mierze z uwagi na obawy społeczne związane z imigracją – przesunęło się na prawo w stosunku do sytuacji sprzed kilkunastu lat, gdy PO była najpopularniejszą partią. Tu właśnie jest dziś przeciętny, wciąż trochę niedookreślony wyborca, do którego chce się odnosić Tusk.

Podobnie ocenia zwrot premiera politolog prof. Olgierd Annusewicz z UW. – Jeżeli Tusk mówi o zawieszeniu prawa do azylu, robi to absolutnie świadomie i wie, że w swojej masie elektorat KO podziela tę opinię, bo w głębi ducha uznaje, że dzięki temu poczuje się bezpieczniej. Nawet jeśli nie będzie chciał się do tego otwarcie przyznać i nawet jeśli jakaś część wyborców będzie temu przeciwna albo wręcz zde gustowana – mówi. – To jest tak jak w tym słynnym powiedzeniu, że ludzie dzielą się na tych, którzy śpią ze swoimi psami, oraz na tych, którzy się do tego nie przyznają.

Zdaniem politologa Tusk po pierwsze celuje w niezdecydowany elektorat, po drugie robi miejsce koalicjantom, żeby mogli zaistnieć (głównie lewicy), a po trzecie kradnie PiS temat, dzięki któremu wygrał wybory w 2015 r.

Władza zwierza szeregi

Wiele wskazuje na to, że nie skończy się na jednej takiej akcji, bo atmosfera zarówno w Polsce, jak i w całej Europie każe eskalować taki skręt. Sprzyja mu też atmosfera związana z wojną rosyjsko-ukraińską, każąca „zwierać szeregi” wokół podstawowych interesów państwa. I skłaniająca do większej politycznej odwagi choćby generałów, którym coraz częściej zdarzają się mocne polityczne wypowiedzi. Najbardziej charakterystyczne są tu słowa szefa Sztabu Generalnego, gen. Wiesława Kukuły. Jego zdaniem jesteśmy pokoleniem, któremu zapewne przyjdzie bronić ojczyzny.

Na zapleczu Tuska obrona praw uchodźców, obecna w przekazie PO za rządów PiS, także jest już głosem przeszłości. Wiele posłów KO przyznaje premierowi rację. – Nadzwyczajne okoliczności

Trzaskowski
ma wciąż największe szanse,
by zostać kandydatem
KO na prezydenta.

To polityk o profilu bliskim
lewicy i prawom człowieka.

**Tusk wbija mu właśnie
nóż w plecy.**

wymagają nadzwyczajnych reakcji. Nie zgadzam się z wrzawą, jaka podniosła się w organizacjach ochrony praw człowieka – mówi jeden z nich. – Nawet jeśli w klubie to się niektórym nie podoba, ważne, że podoba się ludziom – mówi inny.

Symptomy dzisiejszego skrętu w prawo można było zaobserwować już od jakiegoś czasu: w krytyce Zielonego Ładu czy też w braku zapału do zmiany prawa aborcyjnego, dalekiego od wypowiedzi Tuska z 2022 r., gdy przestrzegał, że żaden przeciwnik liberalizacji aborcji nie znajdzie miejsca na listach KO. Albo w ostrych wypowiedziach premiera pod adresem niektórych decyzji rządu niemieckiego, kłócących się z podsycanym przez PiS wizerunkiem Tuska jako polityka sprzyjającego Niemcom.

– Nasza bańka trochę brunatnieje – komentuje anonimowo posłanka KO. – Oby tylko dzięki temu, co robi Tusk, udało się przynajmniej wygrać wybory prezydenckie.

Dla nikogo w partii nie jest tajemnicą, że deklaracje jak ta o azylu mają konkretny cel polityczny: zwycięstwo w walce o Pałac, w której największym zagrożeniem dla KO będzie kandydat PiS. – Nawet jeśli kilka osób uzna, że doszło do jakiejś zdrady ideałów, to myślę, że słuch społeczny Tuska nie zawodzi, gdy liczy na poparcie wyborców niezdecydowanych, a nie tylko plemiennych – uważa prof. Annusewicz. – Aktywiści są oburzeni, ale oni zawsze będą w mniejszości. Większe będą zyski polegające na odebraniu tematu potencjalnemu kontrkandydatowi.

Trzaskowski w odwrocie?

Konsekwencją zmiany strategii w KO jest dużo gorsza sytuacja Rafała Trza-

skowskiego, który według najczęstszych opinii ma największe szanse, by zostać kandydatem na prezydenta. To polityk o profilu bliższym lewicy (o czym świadczą choćby afera z krzyżami w warszawskich urzędach) i prawom człowieka. – Tusk wbija właśnie Trzaskowskiemu nóż w plecy – przyznaje anonimowo polityk KO.

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” premier zapowiedział, że kandydat zostanie wskazany 7 grudnia i będzie nim jedna z osób przemawiających na konwencji. Byli nimi Trzaskowski, Radosław Sikorski i oczywiście sam Tusk.

W klubie KO można usłyszeć o badaniach, z których ma wynikać, że nawet po antyimigranckim zwrocie Tusk nie traci swojego silnego negatywnego elektoratu, w związku z tym ma nieduże szanse na wygraną. Trzaskowski i Sikorski wypadają tu dużo lepiej. Sam Tusk kilkakrotnie wykluczał start, tym niemniej jego kandydatura co chwila się gdzieś pojawia, ostatnio lansuje ją znany z niekonwencjonalnych wypowiedzi polityk PSL, Marek Sawicki.

Trzaskowski jest w badaniach najpopularniejszy, ale niektórzy politycy przypominają *casus* Jacka Kuronia w latach 90. – on też był najpopularniejszym politykiem, ale gdy ruszyła kampania, nie przełożyło się to na wynik prezydencki. Od niektórych polityków KO można więc usłyszeć, że notowania Trzaskowskiego jako kandydata powoli, ale systematycznie spadają. Niektórzy wiążą to ze zmieniającą się atmosferą w kraju, z kolei starsi stażem politycy przypominają sytuację, gdy jakiś scenariusz wydawał się w przeszłości pewnikiem, a dziś wręcz śmieszny. Niemal wszyscy np. uważali, że po wyborach parlamentarnych w 2005 r. rządzić będzie koalicja PO-PiS, a premierem zostanie Jan Rokita...

Na dodatek o Trzaskowskim coraz częściej można usłyszeć w KO opinie, że to w sumie nieudacznik, który prześpał swoje pięć minut. Że po wyborach w 2020 r. mógł stanąć na czele PO, ale stchórzył. Nic nie wyszło też z założonego w tym samym roku Ruchu Wspólna Polska ani z namawiania go na stworzenie nowej formacji z Szymonem Hołownią i Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, choć ci dwaj bardzo go do tego zachęcali. „Trzask” ma być więc

uważany za niezbyt zdecydowanego polityka.

Pojawiają się też głosy, że ewentualne zwycięstwo Trzaskowskiego może zwiększyć prawdopodobieństwo koalicji PiS z PSL. Wyrażnie lewicowa agenda prezydenta Warszawy (ostatnio znowu zaostrzona przez kłótnie o zgodę na Marsz Niepodległości) ma oczywiście plusy, bo przyciąga np. elektorat proaborcyjny. Zarazem może jednak spowodować, że ludowcy będą chcieli przywrócić polityczną równowagę i przynajmniej rozważą ofertę PiS. Podczas ostatniego orędzia w Sejmie w roli kusiciela wystąpił tu sam prezydent Duda, niebywale chwyląc Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Sikorski zbiera siły

Tusk musi zapobiec wizji erozji koalicji. Stąd coraz częściej w klubie KO można usłyszeć, że kandydatem mógłby zostać Sikorski. Jego zwolennicy przekonują, że nie tylko bardziej pasuje do zmieniającej się atmosfery politycznej, ale i w sposób bardziej skuteczny od prezydenta Warszawy może w drugiej turze zagospodarować elektorat Konfederacji, a może nawet pewną część elektoratu PiS.

Gdy się obserwuje działalność Sikorskiego w roli szefa MSZ, widać, że jest ona właściwie permanentną kampanią. Temu służyły jego ostre wypowiedzi na temat Wołnyia, temu też podporządkował polemikę z ambasadorem Rosji na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ. Sikorski się tam pojawił, choć nie był to jego szczebel. – Nawet na prawicowych forach niektóre akcje Sikorskiego są oceniane pozytywnie – przyznaje polityk PiS.

Ostatnio dał sygnał, że jest gotowy kandydować i wbił zarazem szpilę Trzaskowskiemu. Przekonywał dziennikarzy, że orędzie Dudy dowiodło, iż potrzebny jest prezydent ponad podziałami, a nie taki, który będzie wkładał przeciwnikom „ideologiczne kije w szprychy”.

Dziś wiadomo jedno – niezależnie od tego, kto zostanie kandydatem KO na prezydenta, ostateczna decyzja w tej sprawie będzie jednoosobowa. Podejmie ją Donald Tusk.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ
współpraca MAREK KĘSKRAWIEC



MICHAŁ RYNIĄK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Uszkodzona zapora w Stroniu Śląskim. 17 września 2024 r.

Przepis na potop

MAREK RABIJ

Ani jedna z 68 wielkich zapór na terenie Polski nie zagraża bezpieczeństwu mieszkańców. W przypadku mniejszych tam powtórki scenariusza, jaki ziścił się w Stroniu Śląskim, są jednak bardzo prawdopodobne.

OBRAZ PODSKAKUJE, BO RĘKA, KTÓRA trzyma aparat, drży, zapewne z emocji. W mocnym zbliżeniu widać jeszcze mniej, ale w pewnym momencie nagranie stabilizuje się na tyle, by uwiecznić ostatnie sekundy przed przewraniem wału zbiornika w Stroniu Śląskim. Widać wyraźnie wodę, która coraz silniejszym strumieniem tryska spod warstwy worków z piaskiem, którymi usiłowano wzmocnić zapórę i wał. W pewnym momencie napór staje się tak duży, że fala znosi także worki. W powstałą wyrwę wlewają się tysiące ton wody zgromadzonej w zbiorniku, poszerzając ją z sekundy na sekundę.

Dowody spłynęły

To nagranie, autorstwa jednego z mieszkańców Stronia Śląskiego, zdaniem specjalistów może okazać się kluczowe dla zrozumienia przyczyn katastrofy suchego zbiornika retencyjnego w Stroniu Śląskim, który w południe 15 września poddał się wezbranym wodom Morawki, pieczętując los miasteczka i położonych niżej miejscowości. Obejrzelismy je razem z inżynierem specjalizującym się w ocenie bezpieczeństwa zapór. – To, że woda wypływa spod warstwy worków, może świadczyć o tym, że wał, mówiąc kolokwialnie, się upłynął, czyli namókł na tyle, że ziemia, z której

→ go usypano, straciła spoistość – tłumaczy inżynier, prosząc o nieujawnianie nazwiska, bo instytucja, w której pracuje, zabroniła rzeczoznawcom wypowiadać się publicznie na temat katastrofy. – W swoich komunikatach Wody Polskie sugerują tymczasem, że woda zrównała się poziomem z umocnioną koroną wału i następnie się przez nią przelała. To, co widzę na nagraniu, świadczy, że było inaczej i umocnienia po prostu nie wytrzymały naporu. Przyczyny mogą być rozmaite, od zmęczenia wału przez opady, na które zbiornik nie był przygotowany, aż po błędy konstrukcyjne czy zaniedbania konserwacyjne. Problem w tym, że duża część materiału dowodowego spłynęła 15 września w dół razem z falą powodziową. Śledczy i rzeczoznawcy, którzy badają katastrofę w Stroniu, będą mieć trudne zadanie.

W Stroniu na miejscu zdarzenia pracują prokuratorzy. Inspekcję zapowiedziały też Wody Polskie, a mieszkańcy miasteczka, które dobiła fala powstała po przerwaniu zapory, prześcigają się w poszukiwaniu kolejnych tropów. Ostatni prowadzi do robót na wale zbiornika w ubiegłym roku, które wedle mieszkańców przeprowadzono bez wymaganych zezwoleń i zgłoszeń. Problem w tym, że ustawodawca, w wielu sferach wręcz restrykcyjny, w odniesieniu do budowli hydrotechnicznych wykazał zaskakującą dezynwolturę.

Byłe zgodnie z instrukcją

– Od dłuższego czasu apelujemy o zmianę ram prawnych, w jakich funkcjonują w naszym kraju zapory i zbiorniki retencyjne – mówi Piotr Śliwiński, hydrolog i zarazem przewodniczący Polskiego Komitetu Wielkich Zapor. – Uważamy, że metody oceny bezpieczeństwa tego typu obiektów muszą zostać pilnie zaktualizowane, choćby z uwzględnieniem konsekwencji zmian klimatycznych.

Na terenie kraju mamy obecnie 68 wielkich zapór.

Żadna z nich nie została na szczęście zaklasyfikowana jako obiekt zagrażający bezpieczeństwu.

Podstawowym problemem, jak mówi Śliwiński, są wymagania prawne odnośnie eksploatacji samych zapór. Dokumentem, który określa rolę, jaką dana budowla hydrotechniczna ma do odegrania w systemie przeciwpowodziowym, jest tzw. instrukcja gospodarowania wodą. To w niej, głównie na podstawie projektu obiektu, podane są takie wartości jak minimalny i maksymalny poziom spiętrzenia, dopuszczalne wartości przepływów czy poziom wody umożliwiający żeglugę po zbiorniku przed zaporą.

Problem w tym, że w polskim prawie instrukcja gospodarowania wodą stanowi element innego, znacznie ważniejszego dokumentu, jakim jest pozwolenie wodnoprawne, odpowiednik pozwoleń na budowę. Większość polskich zapór to obiekty z epoki, w której nikt w Polsce nie mówił jeszcze o zmianach klimatycznych, powodziach błyskawicznych czy suszy. – Funkcjonują więc od lat w oparciu o instrukcje gospodarowania nieprzystosowane do dzisiejszych realiów. Żeby zmienić ten dokument, trzeba wystąpić o nowe pozwolenie wodnoprawne, czyli wszcząć skomplikowaną i dość kosztowną procedurę – tłumaczy Śliwiński. – Proponujemy uproszczenie poprzez oddzielenie instrukcji od pozwolenia wodnoprawnego.

Nie chodzi o aktualizację dla samej aktualizacji. Dla kierownika zapory instrukcja gospodarowania wodą to rodzaj technicznego dekalogu, a za każdą decyzję niezgodną z jej zapisami można trafić nawet przed sąd. Łatwo więc wyobrazić sobie sytuację, kiedy kierownik zakazuje spuszczenia wody ze zbiornika retencyjnego, bo w danym momencie nie pozwala mu na to instrukcja – mimo że

w prognozie pogody widać duże ryzyko wystąpienia powodzi błyskawicznej.

– Jeśli skutkiem takiego zaniechania będzie zalanie okolicznych miejscowości, szef obsady zapory nie poniesie konsekwencji, o ile trzymał się wytycznych z instrukcji gospodarowania wodą. Problem w tym, że wytyczne mogą być całkowicie oderwane od rzeczywistości, bo w czasach, kiedy spisano instrukcję dla obiektu, o nawalnych opadach i powodziach błyskawicznych nikt po prostu nie słyszał – kwituje Śliwiński.

Klasa zbiornika to nie wyrok

Z tego samego powodu Polski Komitet Wielkich Zapor postuluje zmiany zasad klasyfikowania budowli piętrzących do poszczególnych klas. Polskie przepisy – przypomnijmy – dzielą takie obiekty na cztery kategorie, w zależności od ich wielkości, znaczenia dla gospodarki wodnej oraz konsekwencji potencjalnej awarii dla ludności.

Zaporom oraz zbiornikom klasy pierwszej i drugiej przepisy stawiają najwyższe wymagania, w tym wymóg planu ewakuacji na wypadek pęknięcia i obowiązek dublowania systemów łączności, które dałyby pewność, że o katastrofie zawiadomione zostaną wszystkie służby. Wyższe w porównaniu do obiektów klasy trzeciej i czwartej są również wymagania dotyczące wytrzymałości samych konstrukcji. Przypadki takie jak opisywany przez nas w Stroniu Śląskim, gdzie najprawdopodobniej pomiędzy 2016 a 2024 rokiem z wciąż nieznanymi przyczynami doszło do zmiany zaszeregowania klasy zapory i zbiornika, należą jednak do rzadkości, wyznacza się ją bowiem zwykle jeszcze na etapie projektowania budowli. A potem zazwyczaj już się nie weryfikuje.

– Przy tak dużej zmienności warunków klimatycznych i przy rosnącej mobilności społecznej utrzymywanie klasy nadanej obiektom jeszcze w trakcie ich budowy jest proszeniem się o kłopoty – uważa Śliwiński. – Autorzy projektu architektonicznego zapory kilkadziesiąt lat temu mogli oznaczyć jakiś obszar jako zagrożony zalaniem na wypadek jej pęknięcia, ale to nie musi oznaczać, że do dziś nikt tam nie zamieszkał. Przeciwnie, coraz częściej takie obszary, jako źródło potencjalnie tańszych gruntów, stają się domem setek ludzi. W ten



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Płock 101,9 FM

sposób zmienia się także skala zagrożenia awarią zapory, co powinno pociągnąć za sobą zmianę jej klasy. Problem w tym, że to z kolei może zmusić właściciela obiektu do jego przebudowy. Czasem łatwiej więc udawać, że zagrożenie się nie zmieniło.

Wał, czyli zaporę, zaporę, czyli wał

W przypadku suchych zbiorników retencyjnych, takich jak obiekt w Stroniu Śląskim, polskie prawo zostawia jeszcze jedną wygodną furtkę interpretacyjną. W rozporządzeniu ministra środowiska z 2007 r. o warunkach technicznych, jakim powinny odpowiadać budowle hydrotechniczne i ich usytuowanie – inne wymogi formalne i konstrukcyjne stawia się obiektom stale piętrzącym wodę (czyli na przykład zaporze i zbiornikowi w Solinie), a inne suchym zbiornikom retencyjnym, okresowo napełnianym wodą tylko przy zwiększonym zagrożeniu powodziowym. Te ostatnie – jak wyjaśnia dr Krzysztof Radzicki z Katedry Geoinżynierii i Gospodarki Wodnej Politechniki Krakowskiej – w cytowanym wyżej rozporządzeniu wrzucono do jednego legistycznego worka z ziemnymi budowlami przeciwpowodziowymi, takimi jak wały.

– Każda budowla piętrząca wodę powyżej pół metra musi przejść cykliczne badania stanu technicznego i bezpieczeństwa. Rzeczoznawcy, którzy je przeprowadzają, mogą jednak zdecydować, czy ocenić suchy zbiornik retencyjnych wedle ostrzejszych kryteriów, jakie musi spełniać zaporę stała, czy też pójść łagodniejszą ścieżką, przewidzianą dla budowli ziemnych – mówi Radzicki.

Małe, ale groźne

Specjaliści od inżynierii wodnej od dawna postulują zmiany przepisów, które wykluczą taką uznaniowość. Bez skutku. Do ostatniej powodzi decydenci w Polsce w zasadzie nie musieli się przejmować bezpieczeństwem zapór. W Polsce nie doszło nigdy do pęknięcia dużej tamy, temat nie istniał więc także w przestrzeni publicznej, a jeśli już – to jako wątek poboczny. Prowadzone za rządów PiS prace nad udostępnieniem dla żeglugi dolnego biegu Wisły zaowocowały na przykład szacunkami skutków potencjalnej katastrofy zapory we Włocławku. Prowadzący je eksperci doszli do wniosku, że z uwagi na ukształtowanie terenu poniżej obiektu i na stosunkowo niewielką wysokość piętrzenia wody (jej lustro przed zaporą znajduje się średnio osiem metrów wyżej niż za obiektem) ewentualne przełamanie tamy doprowadziłoby raczej do scenariusza zbliżonego do klasycznej powodzi niż do powstania fali, która z ogromną siłą przesunęłaby się w stronę morza. Konsekwencje awarii byłyby jednak i tak przerażające. Około 56 tys. ludzi byłoby narażonych na utratę życia lub zdrowia. Powódź pochłonięłaby także 13 tys. budynków mieszkalnych, 726 budowli użyteczności publicznej oraz 183 zabytki. Pod wodą znalazłoby się przeszło 1450 km kwadratowych, a łączne starty materialne przekroczyłyby 5,5 mld zł.

Na szczęście prawdopodobieństwo poważnej awarii dużej zapory jest w Polsce nadal niewielkie. Na terenie kraju mamy obecnie 68 budowli nazywanych zgodnie z terminologią międzynarodową „wielkimi” – czyli piętrzącymi wodę na wię-

cej niż 15 m lub tworzącymi zbiornik zaporowy o pojemności co najmniej 3 mln metrów sześciennych. Z informacji, do których dotarliśmy, wynika, że żadna z nich nie została zaklasyfikowana jako zagrażająca bezpieczeństwu w zeszłorocznym audycie, przeprowadzonym przez działające przy IMGW Centrum Technicznej Kontroli Zapór.

Jak podkreśla, prosząc zarazem o anonimowość, jeden z rzeczoznawców pracujących w CTKZ, stan największych obiektów nie budzi obaw, bo właśnie na nie idzie lwią część środków przeznaczanych przez Wody Polskie na konserwację i naprawy budowli hydrotechnicznych. – Ale im niższa klasa zapory lub zbiornika, tym gorzej. Mamy w Polsce obiekty, które ostatnią poważną modernizację przeszły jeszcze w PRL – mówi inżynier.

■ ■ ■
Ostatnie badanie stanu bezpieczeństwa budowli piętrzących, przeprowadzone w ubiegłym roku, wykazało, że aż 18 takich obiektów klasy drugiej (przypomnijmy, że mieszczą się w niej także zapory wielkości tamy i zbiornika Świerkianiec) zagraża bezpieczeństwu okolicznych mieszkańców. Jak wygląda sytuacja wśród obiektów klasy trzeciej i czwartej – tego nie wiadomo. Zgodnie z przepisami Centrum Technicznej Kontroli Zapór monitoruje tylko klasy pierwszą i drugą.

Państwo polskie stało się niewrażliwe na głosy specjalistów i nadal nie kontroluje obiektów, które tych kontroli potrzebują najbardziej.

© P MAREK RABII

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

● **BIELSKO-BIAŁA**, czwartek 24 października godz. 17.00
spotkanie z Krzysztofem Płatkim, „O podróżach Zbigniewa Herberta”, Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24)



● **KRAKÓW**, piątek 25 października godz. 17.00
rozmowa z Agatą Bielik-Robson, „Jak żyć przeszłością? – vol. 4”, spotkanie z cyklu Pytania Powszechne (zapisy na stronie klubu), Piwnica Powszechna (Pijarska 5/20)

● **ZIELONA GÓRA**, wtorek 29 października godz. 17.00
spotkanie „Refleksje po poznańskim zjeździe klubów »TP«”, Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13)



ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Przed Szkołą Podstawową im. Janusza Korczaka w Józefosławiu, 4 października 2024 r.

Wyobcowani

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Polska szkoła szybko i sprawnie znalazła miejsce dla dziesiątek tysięcy Ukraińców. Ale dwa i pół roku po wybuchu pełnoskalowej wojny nie bardzo wie, jak zarządzać tą różnorodnością. A młodzi Ukraińcy – jak się zintegrować.

BARDZO DOBRY POMYSŁ. NARESZCIE! – tak na pierwsze pytanie, o bezwzględny obowiązek szkolny wprowadzony od 1 września dla ukraińskich dzieci, odpowiada nienaganna polszczyzną Ukrainka Swietłana.

W więcej niż średnim wieku, drobna, z wigorem dwudziestolatki – oprowadza mnie po Szkole Podstawowej nr 62 w Krakowie. Choć jako asystentka międzykulturowa nie ma tu swojego gabinetu („Gdy trzeba z kimś porozmawiać, szukamy wolnego kąta”), w szkole czuje się jak gospodyni: pokaże mi sale, korytarze, aż wyładujemy w sali do języka angielskiego obwieszanej słówkami i gramatycznymi regułkami.

– Mieszkam w Polsce od 2012 r.

Jest późne popołudnie, więc gdy Swietłana zaczyna opowiadać, ściągamy ze stołu dwa z poustawianych już do góry nogami krzesła.

– I jestem święcie przekonana, że skoro tu przyjeżdżamy, tu mieszkamy, tu pobieramy zasiłki, to tutaj też nasze dzieci powinny chodzić do szkoły. Kompletnie nie rozumiałam przez dwa lata sytuacji, że ktoś prawie nie wychodził z domu, a dzieci uczyły się tylko zdalnie. Po co to patrzeć od rana do wieczora na zmar twienia i tęsknotę za domem? – pyta Swietłana, by za chwilę sama sobie odpowiedzieć: – Po nic. Dzieci mają być w szkole.

W niewielkiej krakowskiej podstawówce, w której jest zatrudniona (spokojna okolica, blisko Wisły, kilka kilometrów stąd słynne opactwo w Tyńcu), od 1 września zapisała się czwórka nowych ukraińskich dzieci. To pokłosie zmiany przepisów.

– W innych krajach, np. w Niemczech, obowiązek szkolny dla Ukraińców jest od początku wojny – słyszę od Natalii Ahramakowej, asystentki międzykulturowej

z SP113 w Krakowie, gdzie co piąty uczeń spośród wszystkich czterystu to Ukraińiec. – Dla niektórych dzieci to trudna sytuacja, bo chcą kontynuować naukę w Ukrainie, więc muszą godzić lekcje w dwóch systemach. Ale wprowadzenie przymusu uważam za zrozumiałe.

Dwieście tysięcy uczniów

Przymus istniał też wcześniej, ale był tylko teoretyczny. Ukraiński rodzic, chcąc zwolnić z niego swoje dziecko, musiał przedstawić oświadczenie o pobieraniu zdalnej nauki w systemie ukraińskim – to wystarczyło, bo prawdziwości oświadczeń nikt nie weryfikował. Nowe krajowe władze zdecydowały się wprowadzić obowiązek bardziej restrykcyjny, zaszywając w nim straszak – albo twoje dziecko zapisze się do szkoły, albo nici ze świadczeń, na czele z 800 plus.

„To fundamentalny krok i polityczny sygnał, że polski rząd zaczyna brać odpowiedzialność za prawo do edukacji tysięcy ukraińskich dzieci” – oceniał na łamach „TP” jeszcze w kwietniu Jędrzej Witkowski, szef badającego m.in. obecność ukraińskich uczniów w naszych szkołach Centrum Edukacji Obywatelskiej (CEO), i nie był w tej ocenie odosobniony.

Choć uzależnienie wypłat od stawienia się w progach szkoły zacznie działać od 1 stycznia, już teraz spodziewano się nowej fali uczniów – liczącej nawet 80 tys. dzieci. Na wyrost: MEN podaje, że do 1 października w polskich szkołach

stawilo się niecałe 20 tys. nowych ukraińskich uczniów, w związku z czym liczba wszystkich szkolnych dzieci z tego kraju (włącznie z tymi, które były tu przed lutym 2022 r.) zbliżyła się już do 200 tysięcy.

– Ukraińscy uczniowie przestają być postrzegani jako nowi – ocenia Elżbieta Krawczyk, dyrektorka programowa w CEO, które opublikowało w październiku kolejny raport o funkcjonowaniu ukraińskich dzieci w polskim systemie edukacji. – W związku z tym jest też coraz silniejsze poczucie, że skończyła się dla nich taryfa ulgowa. Ci, którzy przybyli do Polski wkrótce po wybuchu pełnoskalowej wojny, dość dobrze odnajdują się w polskich szkołach, nawiązują relacje z rówieśnikami i uczestniczą w życiu szkolnym, choć odczuwają przeciążenie związane z nauką i dodatkowymi obowiązkami.

Jak obecność uchodźczych uczniów w naszej szkole oceniają Polacy? Choć nastroje antyukraińskie w porównaniu z rokiem 2022 wyraźnie się nasiliły, system edukacji wydaje się tu wyjątkiem. Jak wynika z kolejnej, ogłoszonej w sierpniu edycji badań UW i stołecznej Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej, 82 proc. Polaków popiera możliwość chodzenia ukraińskich dzieci do polskich szkół.

Co nie oznacza, że ich funkcjonowanie w murach tych placówek jest bezproblemowe.

Język nadal obcy

– Fizyka i chemia – po tych wypowiedzianych przez siebie słowach Swietłana nie po raz pierwszy zaśmieje się w głos, przerywając ciszę niemal opustoszałej już szkoły (znacznie brutalniej przerywa ją co jakiś czas przeraźliwie głośny nawet jak na polskie standardy dzwonek). Tak odpowiada na pytanie o najtrudniejsze aspekty, z którymi mierzą się młodzi Ukraińcy.

Swietłana, z wykształcenia lingwistka, w swojej ojczyźnie nigdy nie pracowała jako nauczycielka. W Polsce też nią oficjalnie nie jest, ale w krakowskiej szkole – jako asystentka międzykulturowa – pomaga młodym rodakom w lekcjach. – Kocham te dzieci, są mądre i utalentowane, ale właśnie z fizyką i chemią jest największy kłopot – zapewnia.

Gdy pytam o inne problemy, opowiada o kulturowej mieszance – dzieciach z Ukrainy, Kazachstanu i Rosji: – W po-

przedniej podstawówce, w której byłam asystentką, taka mieszanka doprowadziła do napięć. Wychowawczyni jednej z klas popełniła błąd, i dwóch chłopaków z Kaukazu nazwała „dziećmi z Rosji”, choć mama jednego z nich jest Ormianką, a tata Ukraińcem. W tej szkole jest zwyczaj, że każdy nowy uczeń dostaje od kolegów i koleżanek mały upominek: ołówek, notatnik, cokolwiek. Gdy ci dwaj chłopcy byli już jakiś czas w szkole, przyszła do klasy dziewczynka z Ukrainy. Do jednego z tych chłopaków rzuciła: „Nie chcę nic od ciebie. Mój tata walczy przeciwko twojemu”. W obecnej szkole takich problemów nie ma – opowiada Swietłana.

– Przynajmniej z dziećmi – dodaje po chwili. – Zgłosili się ukraińscy rodzice, zaznaczając, że w klasie X nie chcą mieć dziecka, bo są w niej uczniowie mówiący po rosyjsku. Ale i to nieporozumienie udało się rozwiązać.

Także inni Ukraińcy opowiadają, że kluczowe w nowym miejscu bywają relacje z rodzicami. – Jeśli oni czują się w Polsce dobrze, to i z dziećmi jest zwykle wszystko w porządku – opowiada Natalia Ahramakowa. – A jeśli oni się boją, chcą do domu, są niepewni, podobnie zachowują się dzieci. Ogólnie uważam, że polska szkoła sprawiła się bardzo dobrze, dała Ukraińcom wielką pomoc.

Dziecko Zoriana Onyszkiewicz (9-letnia Julia) chodzi do czwartej klasy podstawówki. Zanim poszła do tej krakowskiej, przez półtora roku uczęszczała do szkoły w małopolskich Krzeszowicach. – Mimo że po przyjeździe miała 6 lat, poszła o rok wcześniej do polskiej pierwszej klasy – wspomina Zoriana. – Prawie zawsze był ktoś do pomocy, co pozwoliło Julce dobrze się zaadaptować. Miała też szczęście, bo rozpoczęła naukę w nowym miejscu od początku. Po 2,5 roku jej koledzy i koleżanki mówią, że nie słysząć w jej mowie obcego akcentu. Czasami, gdy z młodszym synem, a jej bratem uczyniają się kłócić w domu, przechodzą na polski – śmieje się Zoriana.

gorzej bywa ze starszymi dziećmi. Z raportu CEO wynika, że „uczniom nie jest łatwo zrozumieć polecenia czy zaangażować się w ćwiczenia wymagające znajomości skomplikowanych i abstrakcyjnych słów”. Autorzy wyliczają też problemy z nauczaniem języka polskiego jako drugiego: grupy bardzo zróżnicowane, łączące starszych z młodszymi

i zaawansowanych z mniej zaawansowanymi; nieprzygotowanie niektórych nauczycieli do prowadzenia tego przedmiotu; monotonne zająćcia.

– Brakuje nie tylko fachowców, ale też standardów nauczania – komentuje Elżbieta Krawczyk z CEO. – Bariera językowa młodych Ukraińców, która nadal jest odczuwalna, będzie miała konsekwencje w ich dalszych edukacyjnych wyborach. Widzimy w danych, że wielu wybiera z konieczności szkoły branżowe zamiast liceów, i dopóki będzie istniała bariera, wiele się tu nie zmieni.

Polski WhatsApp dla Polaków

Głównym problemem szkoły w kontekście obecności w niej przyjezdnych dzieci jest integracja. Natalia Ahramakowa, asystentka międzykulturowa, ale też mama 13-letniej uczennicy z tej samej szkoły, uważa, iż generalnie relacje dzieci polskich i ukraińskich są poprawne. – Choć nie obyło się bez przykrych sytuacji – mówi. – Córkę usłyszała od polskiego rówieśnika: „Wypier... na Ukrainę”.

Inna Natalia, mama ukraińskiego dziecka chodzącego do szkoły w dużym mieście (dokładnych danych podawać nie chce), mówi, że w ich szkole istnieje podział: Polacy–obcy. A gdy zdarza jej się słyszeć zdanie: „Ukraińcy powinni się integrować”, myśli też o Polakach, którzy nie zawsze tej integracji sprzyjają. – Ani my, ani nasze dzieci nie czujemy się jeszcze włączeni w stu procentach w codzienne życie szkoły – mówi Natalia. – Podam przykład. Polskie dzieci z klasy mojej córki założyły sobie grupę na WhatsAppie. Z Ukraińców znalazła się w niej tylko moja córka. Ale najwyraźniej przypadkowo, bo za chwilę ktoś na tej grupie napisał: „Przecież to miała być grupa tylko dla Polaków”.

Zoriana: – Moja Julia, ale też Damian w przedszkolu są zaprzyjaźnieni bardziej z Ukraińcami. Wolałabym, żeby nie wybierali sobie koleżanek i kolegów wyłącznie ze względu na narodowość, ale nic na to nie poradzę. Podobnie robią też niestety dzieci polskie. Były sytuacje przykre. Np. gdy byliśmy jeszcze w Krzeszowicach, w jej tornistrze odkryłam kartkę z napisem: „Ukraińcy zabijają Polaków”. Julia to usłyszała, a potem sama zapisała. Była przerażona.

Zoriana zgłosiła incydent szkole, ale nie jest pewna, że na tamtym etapie ➔

→ – mając jeszcze barierę językową – precyzyjnie wytłumaczyła problem. Nie pomógł też jedyny pracujący w placówce asystent międzykulturowy. W efekcie sprawa rozeszła się po kościach. – Porozmawiałam z Julią, tłumaczając jej, że historia to jest coś takiego, co może ludzi skłócić, ale też ich do siebie zbliżyć – opowiada Zoriana.

Na problem z integracją wskazują też eksperckie raporty. „Nasza wychowawczyni powiedziała kiedyś: »Spójrzcie na Daszę, zaprzyjaźnił się z nią«. Szukała jakichś pozytywnych cech u Ukraińców, by pokazać je Polakom. Ale to nie pomogło – jeśli Polak nie lubi Ukraińca, to nie zmieni zdania. To może się udać tylko wtedy, gdy Ukrainiec mieszka tu od 10 lat i mówi doskonale po polsku” – opowiada autorom raportu CEO jedna z uczennic.

– Integracja sama się nie dokona. Pogłębia się izolacja uczniów i uczennic cudzoziemskich, a tam, gdzie w danej klasie jest większe grono uczniów ukraińskich, oni po prostu trzymają się ze sobą. To rolę szkoły jest wdrożenie działań, które zmieniają tę sytuację – komentuje Elżbieta Krawczyk. I dodaje: – Potrzebujemy rozwiązań systemowych, choćby znajomości metod pracy z klasami zróżnicowanymi kulturowo czy narodowościowo.

Tyle że wśród działań polskich placówek dominuje (po dwóch i pół roku od wielkiej fali imigracji) przymuszanie ukraińskich dzieci do tego, by dostosowały się do zastanych warunków. „W szkołach coraz częściej obecne są postawy lub podejmowane są działania bardziej o charakterze asymilacyjnym niż integracyjnym. Jest to szczególnie widoczne w oczekiwaniu, by uczniowie z Ukrainy nie posługiwali się językiem ukraińskim na terenie szkoły, oraz w znikaniu ukraińskich symboli z przestrzeni szkolnej” – czytamy w raporcie CEO.

To nie pierwsza podobna diagnoza. Raport „Młodzi w demokracji. Wyniki Międzynarodowego Badania Kompetencji Obywatelskich ICCS 2022” pokazał m.in. nastawienie nauczycieli do szkolnej różnorodności. O ile zdecydowana większość

Pogłębia się izolacja uczniów cudzoziemskich.

W klasach, gdzie jest większe grono Ukraińców, trzymają się oni sami ze sobą.



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

uważa ją za zasób, niemal połowa stwierdza, że za jej sprawą zajęcia są trudniejsze. „Ta opinia wyróżnia polskich nauczycieli na tle innych państw – nigdzie indziej nauczyciele nie wyrażają tak często obawy z tym związanej” – piszą autorzy raportu.

Asystent od wszystkiego

– Polska szkoła może sobie z tym wszystkim nie poradzić – wzdycha Świetłana, gdy pytam ją o napływ nowych uczniów z Ukrainy. – Brakuje asystentów, bo wielu rezygnuje, znajdując inną pracę. I trudno im się dziwić, skoro zarabiają często mniej niż szkolne sprzątaczkę, np. tysiąc złotych z hakiem za pół etatu.

– Jestem sama jedna na całą szkołę – mówi Natalia Ahramakowa. – Jeśli chodzi o kwestie organizacyjne, wprowadzanie nowych uczniów, to wystarczy. Ale jeśli doliczymy do tego wsparcie każdego ucznia na co dzień, w lekcjach i nie tylko, to na pewno za mało.

– Tak, w szkołach jest z tym duży problem – potwierdza Elżbieta Krawczyk z CEO. – Jeśli w ogóle taki asystent jest, to często w zbyt małym wymiarze. Poza tym, jego rola wciąż nie jest jasno okre-

ślona. Zajmuje się wszystkim: od tłumaczenia, przez kontakt z rodzicami i mediowanie w konfliktach, aż po pomoc psychologiczną czy współprowadzenie lekcji. To wszystko nie pomaga w wykonywaniu tej pracy na poziomie odpowiadającym potrzebom.

Ale jeszcze częściej asystentki czy asystenta w szkole w ogóle nie ma – tak było w momencie przeprowadzania badania w każdej z ośmiu placówek odwiedzonych przez przedstawicieli CEO. Powód jest często prozaiczny: niektórzy dyrektorzy nie wiedzą, że taki ktoś w ogóle istnieje. – Po dwóch latach od wybuchu pełnoskalowej wojny zdawałoby się, że już ta wiedza jest powszechna, a jednak nie – mówi Elżbieta Krawczyk.

Inna ważna systemowa luka to pomoc psychologiczna. Jak jest ważna, pokazują cytaty z raportu CEO. „Chłopiec z Charkowa, który uczęszczał do szkoły baletowej, uciekł do Polski z mamą i młodszym bratem (...) W polskiej szkole był prześladowany przez rówieśników i korzystał z pomocy psychologa szkolnego” – piszą autorzy. „Maksym ma trudności w relacjach z rówieśnikami i często wdaje się w bójki z polskimi chłopcami. Jego ojciec walczy na froncie. Maksym bardzo za nim tęskni” – to opis innego przypadku.

– Do naszej szkoły ukraiński psycholog przychodzi raz w tygodniu – mówi Natalia Ahramakowa. A Elżbieta Krawczyk potwierdza, że fachowców brakuje w całej Polsce. – W dodatku ci, którzy są dostępni, deklarują często, że nie potrafią pracować z traumą. Tak samo zresztą jak wiele polskich nauczycieli i nauczycielek – mówi ekspertka CEO.

Centrum, poza diagnozą sytuacji, w swoim raporcie publikuje listę rekomendacji. Wśród nich jest kompetencyjne wsparcie nauczycieli, zwiększenie liczby asystentów, profesjonalizacja nauki polskiego jako obcego, upowszechnianie w szkołach edukacji międzykulturowej i antydyskryminacyjnej, a przede wszystkim szersze i skuteczniejsze działania integracyjne.

Bez tego wszystkiego polska szkoła pozostanie na etapie chwalenia się „cudem” z 2022 r.: przyjaznego i w miarę bezkolizyjnego przyjęcia tysięcy uczniów. Dziś, czyli dwa i pół roku po rozpoczęciu wielkiej fali imigracji, sporo z nich nadal nie czuje, że jest u siebie.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

TOMASZ

Stawiszyński:

Nieoczekiwana zmiana miejsc



OGŁOSZENIE ZAŁOŻEŃ RZĄDOWEJ „POLITYKI migracyjnej” to niewątpliwie moment zwrotny, a przynajmniej, *nomen omen*, graniczny. I nie chodzi mi wcale o kwestie związane z europejskimi strategiami postępowania ze zjawiskiem masowej migracji. Nie chodzi

mi również o dylematy moralne i prawne wynikające z tego tragicznego splotu okoliczności: autorytarne reżimy cynicznie posługują się dzisiaj ludźmi, żeby destabilizować sytuację w państwach, w których obowiązują cywilizowane standardy etyczne. Przy czym ta destabilizacja ma niejedno oblicze – od chaosu spowodowanego przeciążeniem instytucji społecznych, aż po świadome rozniecanie wewnętrznych konfliktów i antagonizmów. To jest temat na osobne rozważania, pisałem już zresztą o tym w „Tygodniku”, przy okazji filmu „Granica”.

Moment, który mam na myśli, dotyczy kwestii ściśle krajowych. Naszych tutejszych wojen, barykad i perswazji stosowanych przez obie strony politycznego sporu. A zwłaszcza, w tym kontekście, przez jedną. Otóż stawiam tezę, że wobec deklaracji Donalda Tuska, który zapowiada „zawieszenie prawa do azylu” oraz nieoglądanie się na europejskie wytyczne, nie da się już dłużej dawać wiary opowieściom, które przez ostatnie lata skwapliwie podsuwali nam obecnie rządzący. Owszem, wypowiedzi samego premiera – w sprawie granicy polsko-białoruskiej, migracji czy w ogóle bezpieczeństwa – były pod koniec kampanii cokolwiek stanowcze, co mu zresztą już wtedy zarzucało wielu aktywistów. Nie zmienia to jednak faktu, że znaczna część jego środowiska politycznego w tym samym czasie odsądzała rząd PiS od czci i wiary, zarzucając mu ludobójcze inklinacje, faszyzm i nieludzkie traktowanie uchodźców.

Tego typu przekazy wypełniały w zasadzie wszystkie opozycyjne portale i telewizje, stanowiły nieodłączny składnik każdej dyskusji przedstawicieli zwaśnionych ugrupowań, krążyły na masową skalę w mediach społecznościowych. Szybko stały się zresztą jednym z najważniejszych wyznaczników różnicy pomiędzy „PiS-owskim barbarzyństwem” a moralną i humanitarną opozycją. Podobnie jak stosunek do straży granicznej. Władysław Frasyniuk, a przecież i tak nie były to wcale najbardziej drastyczne epitety wymierzone w tę służbę. Innym razem pewien dziennikarz radiowy stwierdził, że jej funkcjonariusze spokojnie „mogą sobie przyczepić plakietki SS”. Wszyst-

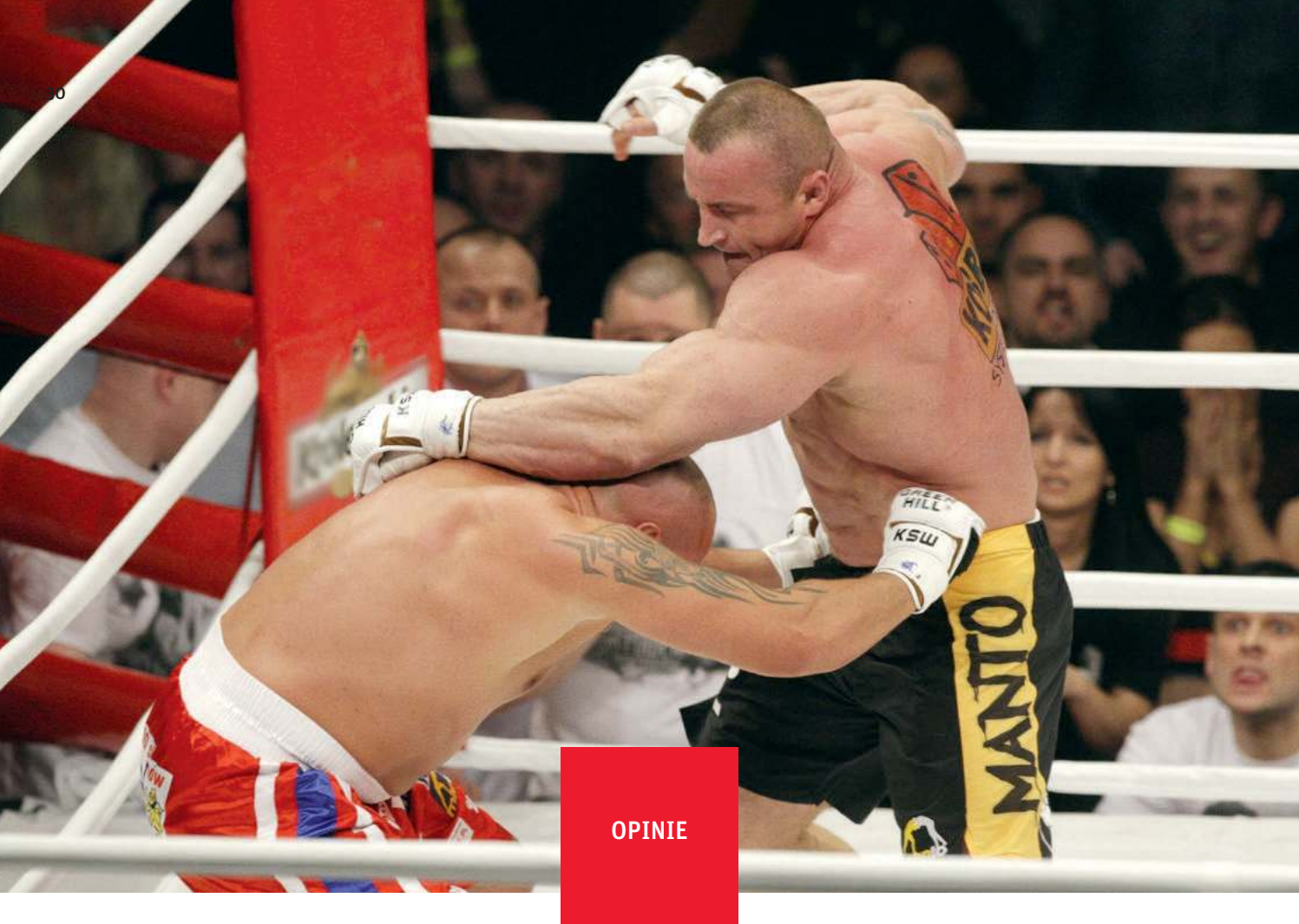
kie te wypowiedzi spotykały się z uznaniem polityków i wielu związanych z ówczesną opozycją dziennikarzy, artystów czy publicystów. A nawet jeśli nie z uznaniem, to w każdym razie z brakiem potępienia.

Znowu – nie zamierzam wchodzić w spór o zasadność czy bezzasadność działań na granicy oraz głosów wobec nich krytycznych. Nie zamierzam także rozważać domniemyanych intencji Donalda Tuska, który – jak się przyjęło uważać tu i tam – zamierza w ten sposób zapobiec wzrostowi poparcia dla skrajnej prawicy, umiejętnie grającej na coraz powszechniejszych lękach przed masową migracją. Nie wchodzę w te kwestie, nie zastanawiam się, czy to trafna polityka, albo czy to polityka etyczna. Idzie mi wyłącznie o tę gwałtowną zmianę kursu po wyborach. A w szczególności, o zmianę niepolegającą na odejściu od strategii poprzedników – których się wcześniej za nią intensywnie krytykowało – lecz na jej dodatkowym zaostrzeniu.

Cóż, chciałoby się powiedzieć, że w październiku 2024 r. skończyła się w Polsce polaryzacja. Gołym okiem przecież widać, że te afektowane okrzyki o zdrajcach z jednej oraz faszystach z drugiej strony, zaprzeczach z jednej i bezwzględnych monstrach z drugiej, to tylko pragmatycznie aplikowana propaganda. Nie ma ona wiele wspólnego z rzeczywistością, bo służy wyłącznie mobilizacji elektoratu – czyli nas, ciebie i mnie, drogi Czytelniku i droga Czytelniczko – niczemu więcej. Polityka – nie od dziś wiadomo – jest specyficzną grą o uwagę i poparcie, czyli o władzę. Różnymi sposobami w historii demokracji ten cel realizowano, w ostatnich latach wszakże – w czym nie miały udziału nowoczesne technologie informacyjne – okazało się, że można to robić znacznie prościej. Nakręcając binarny konflikt, wywołując histerię przy każdym problemie i obarczając za wszystko odpowiedzialnością swoich skrajnie zdewaluowanych i spotworniałych przeciwników.

Nie da się ukryć, że z perspektywy pragmatyki jest to metoda skuteczna. Problem tylko w tym, że jej długotrwałe stosowanie nie pozostaje bez konsekwencji. Posługujący się nią politycy osiągają wprawdzie doraźne zwycięstwa, ale na głębokim poziomie systematycznie obniża się przy tym jakość życia politycznego i społecznego. W miejsce debaty, w której waży się argumenty i racje, pojawiają się chaos, symboliczna przemoc, manipulacje i ekstremalne emocje. W miejsce zaufania do instytucji i siebie nawzajem – fundamentalna nieufność. W miejsce demokracji zaś jej karykatura, w której tak naprawdę to nie społeczeństwo decyduje przy urnach o tym, co dlań najlepsze, lecz specjaliści od politycznego PR-u sterują afektami pogrążającego się coraz bardziej w nieświadomości tłumu (którym się w takich warunkach łatwo stajemy, droga Czytelniczko i drogi Czytelniku). Dobra wiadomość jest jednak taka – powtórzę – że mamy już wszelkie przesłanki, żeby się na to więcej nie nabierać. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.



OPINIE

KLATKI NA OCZACH

Związek przemocy i sławy stanowi centrum popularności freak fightów.

Co powiedzieć o patostreamerze w kryzysie alkoholowym, która w klatce zmierzyła się z byłą dziewczyną swojego syna?

MICHAŁ WALKIEWICZ

UKRAIŃSKI STUDENT I KIEROWCA UBERA, Serhij Michajłuk, został napadnięty przez dwóch pijanych Polaków we wrześniu ubiegłego roku w Gdańsku. Najpierw zwrócił uwagę, by nie pili alkoholu w aucie. Gdy sytuacja eskalowała i doszło do rękoczynów, Michajłuk ratował się gazem pieprzowym. Zapis wideo z kamery w samochodzie trafił do sieci, a media społecznościowe zamieniły taksówkarza w ludowego herosa obojga narodów. Nawet „prawdziwi” Polacy, którzy w komentarzach wyganiałoby go na front, pod-

kulili ogon. Dostał pseudonim – Pan Piwko Nie Można.

O tym, że „pięć minut sławy” to w dzisiejszej Polsce puenta kiepskiego żartu, Serhij przekonał się kilka miesięcy później. Organizacja Clout MMA zaproponowała mu występ na gali freak fightów, czyli patologicznych igrzysk z udziałem „celebrytów” (cudzystów rozciąga się od gwiazd kina po patostreamerów). Jego przeciwnikiem mógł być każdy z nas, o ile tylko ważył mniej niż 55 kilogramów, posiadał dowód osobisty i wziął udział w loterii.

Do walki miało zaś dojść w... taksówce. Chodziło o to, by najpierw odpiąć pasy, a później wrotki. Federacja przekonywała, że arena pojedynku to niewinne nawiązanie do profesji Serhija. Ja będę się upierał, że sednem żartu był rym między moralnie wątpliwym spektaklem a traumatyzującym wydarzeniem.

Pierwszy gong

Ostatecznie Michajłuk musiał z walki zrezygnować z powodu choroby serca, a o tapicerkę porozbijali sobie głowy inni „gladiatorzy XXI wieku”. Metafora

Walka MMA Mariusza Pudzianowskiego i Marcina Najmana, grudzień 2009 r.

freak fightów jako sejsmografu wrażliwości społecznej ma się jednak świetnie. Promowany przez youtuberów i polityków, profesjonalnych sportowców i amatorów, dziennikarzy i gwiazdy TikToka krwawy cyrk jest w Polsce nowym złotym cielcem.

Poupychane w grzecznych ramach programy taneczne, kulinarne czy dokumentalne opery mydlane ze społecznych nizin wydają się przy nim zaledwie wprawką do prawdziwie transgresywnej telewizji rozrywkowej. I zarazem najniższym poziomem wtajemniczenia w nauce o fantomowym bycie, zwanym „etyką wolnego rynku”. A skoro nie bagatelizuje ich rzecznik praw obywatelskich, to Jan Kowalski również nie powinien.

Inne czasy, podobne dziwowisko: Tokio, 26 czerwca 1976 r., pojedynek nazywany wtedy Walką Światów. Muhammad Ali krąży wokół swojego rywala, Japończyka Antonio Inokiego. Walka trwa już od blisko czterdziestu minut, lecz bokser wyprowadził zaledwie pięć celnych ciosów. Być może dlatego, że Inoki jest... zapaśnikiem. Od kwadransa leży na macie i kopie bokserskiego mistrza świata po kostkach i piszczelach. Po walce, z powodu infekcji, Alemu groziła amputacja nogi.

Choć oficjalnie freak fighty narodziły się dopiero w latach 90. jako urozmaicenie gal mieszanych sztuk walki (MMA) federacji UFC, ich korzenie sięgają pojedynku w Tokio. Ali oraz Inoki podzielili między siebie astronomiczną wówczas kwotę 10 mln dolarów. W ramach przystawki do dania głównego cierpiący na gigantyzm i mierzący 224 centymetry wzrostu francuski gwiazdor wrestlingu André The Giant wyrzucił z ringu bokserskiego mistrza Chucka Wepnera. Pięściarz pofrunął jak szmaciana lalka.

Nowy Rzym

„Japoński” wątek jest w historii freak fightów o tyle istotny, że to w dużej mierze za sprawą niesławnej tokijskiej federacji Pride amatorskie walki wspięły się na szczyty popularności. Wtedy też narodziła się optyka, która do dziś organizuje nasze myślenie o tego rodzaju walkach. Stały się one czymś w rodzaju huby, pasożytniczej narośli na profesjonalnym

sporcie, której nie sposób wyciąć bez (marketingowej) szkody dla żywiciela.

Historia polskich freak fightów jest lustrzanym odbiciem tej opowieści. W 2009 r., w trakcie jednej z gal MMA pionierskiej organizacji KSW (założonej przez Martina Lewandowskiego oraz przedsiębiorcę i reżysera „Jak zostałem gangsterem” oraz „Akademii Pana Kleksa” Macieja Kawulskiego), strongman Mariusz Pudzianowski zmierzył się w ringu z pięściarzem Marcinem Najmanem. Pojedynek trwał zaledwie 43 sekundy, ale zmienił medialno-sportowy krajobraz na zawsze. Nokaut w wykonaniu Pudziana obejrzało w Polsce 6 mln widzów.

Powolne wsączanie się freak fightów w krwiobieg sportowej rywalizacji trwało przez blisko dekadę. Powstała w 2018 r. Fame MMA, czyli pierwsza organizacja zajmująca się wyłącznie freak fightami, jest dziś najlepszą egzemplifikacją powiedzenia, że w krainie ślepców jednooki jest królem. Choć pozostaje w centrum niezliczonych narracji o szkodliwości społecznej, promowaniu negatywnych wzorców oraz infantylizowaniu kultury popularnej, na tle swojej konkurencji wydaje się definicją profesjonalizmu. Media zamieniły jej „produkt” w coś w rodzaju zła koniecznego, odpowiedzi na eskapistyczne potrzeby podzielonego społeczeństwa; w niewinną, wstydlivą przyjemność.

W rozmowie z Czwórką Polskiego Radia socjolożka dr Jolanta Tkaczyk nazwała freak fighty „nowoczesną formą walk gladiatorów dostosowanych do dzisiejszej kultury internetowej”. Mówiąc delikatnie, uważam to za niefortunny skrót myślowy o romantyzującym zabarwieniu. Gladiatorszy byli w końcu niewolnikami i całe życie szkolili się w zadawaniu bólu. Uczestnicy freak fightów walczyli dla pieniędzy, a z profesjonalistami nikt ich raczej nie pomylili.

Starcie tytanów

Związek przemocy i sławy stanowi centrum całej tej zabawy. Gdyby zafiksować się tylko na jednym z powyższych afrodyzjaków, gwiazdy freak fightów szybko straciłyby swój powab. W rozmowie z serwisem TVP Sport promotor bokserski Andrzej Wasilewski podkreśla, że już sama definicja robi się coraz bardziej elastyczna. Wśród chuliganów walczących na gołe pięści, raperów, influencerów, youtuberów, patostreamerów oraz

szemranych figur ze środowisk kibolskich są w końcu ci, którzy poziomem umiejętności i determinacją zbliżyli się do zawodowych sportowców. Galopująca „profesjonalizacja” to tarcza, którą zasłaniają się sami zainteresowani z rozmaitych federacji.

Czy jednak podobna linia obrony ma szanse powodzenia, skoro krajobraz freak fightów jest tak zróżnicowany, że mieszczą się w nim lewicowi publicyści i aktywiści (jak Maja Staśko czy Jaś Kapela), ludzie związani z polityką (Marianna Schreiber), reprezentanci Polski w piłce nożnej (jak Piotr Świerczewski czy Sławomir Peszko), dawne gwiazdy *reality shows* (Paweł „Trybson” Tyburski), a także aktorzy (Sebastian Fabijański)?

O Pudzianowskim Wasilewski mówił tak: „Przez wiele lat uważałem Mariusza za absolutnego »freaka«, ale swoją katorzniczą pracę w nowej dyscyplinie bardzo się podciągnął. Swoją drogą, w ostatniej walce bardzo mi zaimponował, ale czy już jest pełnoprawnym zawodnikiem MMA? Ciężko powiedzieć”. Czy jest szansa, że ktokolwiek powie tak o Małgorzacie Z., *alias* Goha Magical, 51-letniej patostreamerce w krzysie alkoholowym, która w klatce zmierzyła się z byłą dziewczyną swojego syna? O byłym przestępcy i raperze Popku, którego ostatnim wyczynem jest nagranie wideo ocierające się o zoofilię? Albo o Zbigniewie Stonodze i Krzysztofie Rutkowskim, na których pojedynek „czekała cała Polska”?

Fakty i akty

Rzeczona strategia komunikacji nie tylko nie uwzględniła skali zjawiska, ale też średnio przydaje się w defensywie. W sierpniu ubiegłego roku do biura Rzecznika Praw Obywatelskich wpłynęły skargi dotyczące organizacji Gali Fame MMA na stadionie PGE Narodowym.

Maja Staśko, autorka jednego z wniosków, zarzucała organizatorom promocję patologicznych zachowań. Wskazywała, że „podczas konferencji poprzedzających galę regularnie dochodzi do przemocy fizycznej, słownej i psychicznej, dręczenia ludzi, pochwalania i nawoływania do popełnienia przestępstwa czy prezentowania treści pornograficznych”; że „uczestnicy konferencji, które są streamowane w serwisach społecznościowych, przedstawiają poglądy dyskryminujące, a wręcz wyrażające daleko idącą pogardę wobec

→ całych grup społecznych (homofobiczne, seksistowskie, rasistowskie, ksenofobiczne)". I że podobne imprezy „nie mają charakteru typowo sportowego”.

Biuro RPO wydało oświadczenie, w którym podkreśliło, że powyższe zachowania, istotnie, pozostają w sprzeczności z przyjętymi społecznie normami. Wyraziło również zaniepokojenie faktem, że na galę mają wstęp osoby powyżej 12. roku życia (o ile pozostają pod opieką osoby dorosłej). Zastępca rzecznika wystąpił też w sprawie do przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, Ministerstwa Aktywów Państwowych, dyrektora Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej oraz Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Dość powiedzieć, że był to dziwny moment w niedługiej historii kłinczu społeczeństwa obywatelskiego oraz organizacji freak fightowych. Włodarze Fame MMA zareagowali własnym oświadczeniem, wysłali też list do RPO, Marcina Wiącka. Przekonywali, że obecność olimpijczyków w klatce i w strukturach organizacji jest rękonią moralnej „czystości” inicjatywy i że nie odpowiadają za zachowania swoich kontrowersyjnych gwiazd w życiu prywatnym (dość powiedzieć, że w świecie profesjonalnego sportu są to zachowania piętnowane i karane przez pracodawców w ramach indywidualnych i drużynowych kontraktów). Zapewnili również, że wyrugowali ze swoich programów „żargon więzienny oraz mowę nienawiści”. Ile w tym prawdy, można ocenić samemu. Do YouTube’a, w przeciwieństwie do abonamentów na galę, każdy ma dostęp.

Według Spółki PL.2012+ zarządzającej PGE Narodowym, „różnice społeczne w odbiorze poszczególnych wydarzeń nie powinny prowadzić do dyskryminacji potrzeb osób z określonych grup społecznych o własnych, skonkretyzowanych gustach czy potrzebach, mieszczących się w obowiązującym prawodawstwie. Pojęcie »wydarzenie kulturalne« czy »wydarzenie sportowe« jest szerokie i mieści w sobie zarówno koncert muzyki poważnej, jak również wyścigi samochodowe, galę boksu czy galę Fame MMA”. I to by było na tyle. *Show must go on!*

W imię honoru!

Kolega śmieje się, że cały ten system stoi na głowie. Że tylko konferencje prasowe

Pojedynek trwa tylko parę chwil.

Najważniejsza jest medialna szopka poprzedzająca starcie.

Tam jest mięcho, pot, krew i łzy. Oraz ksenofobia, profesjonalna homofobia i „śmierć konfidentom”.

i przedmeczowe naparzanki powinny być płatne, a same pojedynki – darmowe. To mądre spostrzeżenie. Pojedynek, bez względu na to, czy toczy się w klatce, samochodzie, budce telefonicznej, czy na macie do tańca, trwa zwykle parę chwil. Zawodnicy machają rękoma jak cepami, po jednej rundzie walczą o każdy haust powietrza, nie ma w tym obrazku ani prozy thrillera, ani poezji sportu. Co innego w medialnej szopce poprzedzającej starcie – to tam jest mięcho, pot, krew i łzy. A przy okazji: „profesjonalna” homofobia i ksenofobia.

Wygląda to trochę jak wynaturzona przez patologiczną kulturę tradycja bokserkich face-offów. Programy, których celem jest podgrzewanie atmosfery przed galą, mają zazwyczaj formę wieloosobowych i wielowektorowych konfrontacji. Ich uczestnicy wyzywają się od „pedałów”, rzucają w siebie krzesłami, oblewają się wodą, a jeśli strategicznie rozmieszczeni na sali ochroniarze nie zdążą, udaje im się wyprowadzić kilka celnych ciosów. Sporo w tym slapsticku, choć zdecydowanie więcej horroru. Bogata historia niewyrównanych rachunków krzywd, „wyruchanych dziewczyn” oraz „podjebranych kumpi” stanowi kontekst dla wtajemniczonych. Choć faktyczne powiązania środowisk przestępczych z freak fightami rozpadają się na nagłośnione medialnie epizody (*vide* prezentacja Andrzeja „Słowika” Zielińskiego jako szefa federacji MMA-VIP), najpopularniejszym słowem w tych dyskusjach jest „konfident”. Tak, to pojęcie z dopiero co wyrugowanej więziennej gwary. Konfident zdradził, sprzedał, oszukał. Konfident nie ma honoru. A honor, jak nietrudno się domyślić, jest najwyższą z cnót.

Wolni ludzie rynku

Można szukać w tym wszystkim jakiejś rebelianckiej energii. Opowiadać – jak lewicowa bańka, gdy Jaś Kapela pobił piśmowskiego dziennikarza Ziemowita Kosakowskiego – historie o zwyciężaniu zła jego własną bronią.

Nasz problem z freak fightami – jak słusznie diagnozuje w swoim tekście dla OKO.press doktor ekonomii Aleksander Ostapiuk – wynika jednak z innego mylnego przeświadczenia: „Oś etycznej dyskusji na temat wolnego rynku dotyczy trzech głównych aspektów. Gdzie są granice indywidualnej wolności? Czy można robić ze sobą wszystko (np. dać się obić czy upokorzyć)? Czy ludzie są racjonalni i wiedzą, co dla nich najlepsze? Czy wszystkie preferencje konsumentów powinny być akceptowane? W zależności od odpowiedzi na te pytania część z was będzie chciała ograniczyć freak fighty, a część będzie akceptować ich istnienie”.

Problem z indywidualnym rozstrzygnięciem tych dylematów przekłada się na niemożność wypracowania społecznego konsensusu. *Status quo* z kolei prowadzi do dalszego przesuwania granic przyzwolenia. Znieczuleni, otumanieni, a często i rozbawieni kolejnymi pomysłami organizacji freak fightowych, trwamy w tym stanie od dłuższego czasu. I zapewne naiwnością byłoby myśleć, że jest z tej sytuacji jakieś oczywiste wyjście.

Stojąca w sprzeczności z mechanizmami funkcjonowania współczesnej kultury „negacja uczestnictwa” mogłaby się realizować na różne sposoby i w różnych miejscach. W mediach społecznościowych, gdzie nie musimy przecież czytać i komentować newsów organizacji freak fightowych i w rezultacie nie będziemy narażeni na targetowanie reklamy. Na platformie YouTube, gdzie kompilacje w stylu „największe przypały z Fame MMA” wydają się równie sensownym pomysłem na wieczór co „nowy przepis na tiramisu” albo „10 metod na oczyszczenie końskich kopyt”. Wreszcie – w mediach tradycyjnych, za pośrednictwem których kupujemy abonamenty albo oglądamy walki w systemie pay-per-view.

Warto pofantazjować. Jeśli nie po to, by coś zmienić, to choćby ze strachu przed pokoleniem, które dostrzeże we freak fightach naturalny element sportowo-kulturalnego pejzażu.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

AUTENTYCZNOŚĆ
CONRAD FESTIVAL
21– 27.X.2024
KRAKÓW



ZŁOTA OFERTA

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Skorzystaj ze złotej oferty i poznaj najlepsze treści literackie „Tygodnika”, zanim zobaczą je inni.

Zostań subskrybentką/subskrybentem „Tygodnika” w czasie FESTIWALU CONRADA (21-27 października), dzięki czemu:



otrzymasz **dostęp do prapremiery (30 października)** słuchowiska **CHASZCZE. AUTHENTIC KRAKÓW EXPERIENCE**, według pomysłu i koncepcji artystycznej **Olgi DRENDY**, z tekstem laureatki Nagrody Conrada **Elżbiety ŁAPCZYŃSKIEJ** i muzyką **Michała STĘPNIA**



uzyskasz **dwa razy dłuższy okres zniżkowy** (6 miesięcy zamiast 3)



zapewnisz sobie **nieograniczony dostęp** do najnowszych tekstów najlepszych autorek i autorów, takich jak **Urszula HONEK**, **Grzegorz BOGDAŁ**, **Marek BIEŃCZYK**, **Eliza KĄCKA**, **Adam ROBIŃSKI** i inni



Not least: dostaniesz **wcześniejszy dostęp do Szlaków duchowości powszechnej**, cyklu podcastowego **Piotra SIKORY**, będącego przewodnikiem i zaproszeniem do medytacji



Skorzystaj na www.TygodnikPowszechny.pl/zloto
lub zeskanuj kod QR

ŻYWOTY RÓWNOLEGŁE

Popiełuszko i Romero – obaj bronili ubogich i zapłacili za to tę samą cenę. Byli też kontestowani przez Kościół swoich czasów. Pora odkryć ich na nowo.

IGNACY DUDKIEWICZ

JEDEN MÓWIŁ: „NIE SŁUŻY PRAWDZIE przemoc i demonstracja siły. Przemoc jest kłamstwem, bo niszczy to, czego rzekomo broni”. Drugi: „Nie ma nic ważniejszego od życia ludzkiego, zwłaszcza życia ubogich i uciskanych”. Pierwszy: „Życie narodu jest jak gleba: gdy wrzuca się w nią plewy, zbiera się chwasty, a gdy wrzuca się ziarno prawdy, miłości, poszanowania ludzkiej godności, zbiera się plon i to plon obfity”. Drugi: „To struktury niesprawiedliwości społecznej zadają powolną śmierć naszym ubogim”.

Gdy w Polsce rozpoczynały się strajki roku 1980, arcybiskup Oscar Romero już nie żył – został zamordowany kilka miesięcy wcześniej. Wątpliwe, by ks. Jerzy Popiełuszko się nim bezpośrednio inspirował. Jeden sprzeciwiał się władzy antykościelnej i nominalnie lewicowej, drugi zaś prawicowej juncie odwołującej się do chrześcijaństwa i zblatowanej z wielkością hierarchów. Jeden odczuwał imperialne zakusy Związku Radzieckiego, drugi – konsekwencje imperialistycznej polityki Stanów Zjednoczonych. W ich postawach widać jednak podobieństwa. Łączył ich duch sprzeciwu wobec depczącego, zabijającego i upadającego – niezależnie od szat, w które przystroił się depczący, zabijający i upadający. Dlatego podobnych jak wyżej zestawień cytatów

można poczynić więcej. Niekiedy trudno będzie rozróżnić, który powiedział które słowa. Obaj wskazywali na strukturalne źródła przemocy i zła. Obaj odwoływali się do wierności tym samym ideałom: Ewangelii, miłości bliźniego, ludzkiej godności.

Ich drogi były bardzo różne, ale w tym, co najważniejsze, głęboko pokrewne. Miały też tożsamy finał. Kilka lat po Romero, 40 lat temu, 19 października 1984 roku, ks. Jerzy Popiełuszko został „poprowadzony, dokąd nie chciał” (J 21, 18): na męczeńską śmierć.

Także dziś ich drogi – ich paradoksalnie wspólna droga? – mogą i powinny być nam inspiracją.

Spodziewany i niespodziany

Popiełuszko wykazywał brak zgody na otaczającą go rzeczywistość od wczesnych lat. Urodził się w rolniczej, niezamożnej rodzinie. Już w liceum jego religijność przysparzała mu kłopotów ze strony władz szkoły. Później, gdy poszedł do seminarium, został wezwany do odbycia służby wojskowej, podczas której był ofiarą systematycznej, brutalnej przemocy: wyśmiewania, zmuszania do nadludzkiego wysiłku, człoganiasię przy ujemnych temperaturach. Wytrzymał, wspierając przy tym kolegów, ale konsekwencje tej wielomiesięcznej, wyniszczającej „ścieżki zdrowia” odczuwał do końca życia.



Jeśli więc w jego staniu po stronie strajkujących ludzi pracy, walki o wolność i godność było coś zaskakującego, to nie sama decyzja o zaangażowaniu, lecz to, że zdrowie mu na to pozwoliło. Już wcześniej niektóre obowiązki duszpasterskie musiał zarzucać z braku sił.

W przypadku Romero było inaczej. Gdy ten urodzony w ubogiej rodzinie w salwadorskich górach ksiądz najpierw zostawał biskupem, a potem arcybiskupem stolicy kraju, nie od razu dał się po-



Beatyfikacja ks. Jerzego Popiełuszki. Świątynia Opatrzności Bożej w Wilanowie. Warszawa, 6 czerwca 2010 r.

znać jako człowiek odważny i stojący po stronie krzywdzonych. Wręcz przeciwnie. Jego późniejszy wieloletni współpracownik, wybitny teolog ks. Jon Sobrino wspominał, że gdy przeczytał o nominacji Romero, pomyślał: „Ay, Dios mío! To nie był dobry wybór”.

Było to powszechne odczucie prospołecznie i antyreżimowo nastawionych księży, sióstr, działaczy i zwykłych obywateli. Wybór Romero uznano za bezpieczny dla władz, bo wówczas jeszcze, jak opisuje

Artur Domosławski, „bardziej przeszkadzały mu idee sprawiedliwości społecznej, w których widział konia trojańskiego komunizmu, czy diagnoza mówiąca o walce klas – Salwador był klinicznym przykładem takiej walki – niż skandaliczne nierówności i represje. Miał też Romero obsesję antymasońską i antyliberalną”.

Po stronie ubogich

A jednak niedługo później ten sam Romero stał się jednym z najważniejszych

symboli obrony uciśnionych, zabijanych i ograbianych w Salwadorze i całej Ameryce Łacińskiej. Przełom dokonał się, gdy w 1977 r. szwadrony śmierci zamordowały ks. Rutilio Grande, przyjaciela Romero, z którym pozostawał jednak w sporze odnośnie do działań Kościoła, polityki, obrony uciśnionych. To Grande wypowiedział choćby legendarne zdanie, że „psy właścicieli ziemskich jedzą lepiej niż dzieci pracujących w polu chłopów”.

→ Brutalny mord na duchownym i towarzyszącym mu współpracownikach wstrząsnął niedługo wcześniej powołanym biskupem San Salvador. W całym kraju w kolejną niedzielę zabronił odprawiania mszy, osobiście przewodnicząc jedynej, która zgromadziła tłumy, stając się jednocześnie wielką społeczną manifestacją wspólnoty i sprzeciwu. Z każdym miesiącem coraz silniej krytykował władze za zbrodnie, wołał o sprawiedliwość i zaprzestanie przemocy. Dokumentował zło: terroryzowanie ludności przez służby mundurowe i prawicowe bojówki, działalność szwadronów śmierci, ograbianie ludności z pól ziemi, która w 40 proc. należała do kilku rodzin, śmierć dziesiątek tysięcy osób – w tym także księży i zakonnic.

Romero zdecydował się także na zaproszenie niektórych teologów i duchownych, którym zarzucał wcześniej działalność wywrotową i pozbawiał stanowisk. Przyznał im rację, zrozumiałwszy, że nie byli w pierwszej kolejności wyznawcami marksizmu, lecz Ewangelii (nawet jeśli część z nich rzeczywiście łączyła obie inspiracje). Zaczął współpracować na rzecz obrony uciskanych także z ludźmi, z którymi wciąż wiele go dzieliło.

Podobnie czynił Popiełuszko. Odprawiane przez niego Msze za Ojczyznę gromadziły nie tylko katolików i katoliczek, ale także ludzi innych wyznań i niewierzących, również przedstawicieli i przedstawicielki lewicowej inteligencji czy środowisk artystycznych. Łatki miały mniejsze znaczenie niż postawa, poglądy filozoficzne i społeczne mniejsze niż wspólne stawianie po stronie krzywdzonych.

Popiełuszko wspierał więc robotników, odprawił choćby strajkową mszę w Hucie Warszawa, popierał Solidarność, pomagał prześladowanym, oskarżanym, aresztowanym i więzionym, a także ich rodzinom. W homiliach nazywał po imieniu naruszenia praw człowieka, niesprawiedliwość, przemoc.

Obaj byli kochani przez tych, których bronili.

Niszczeni i niezrozumiani

Siłą rzeczy postawa obu nie podobała się władzom i możnym. Romero był nazywany „Najbardziej umiłowanym i najbardziej znienawidzonym człowiekiem w kraju”.



MARVIN RECINOS / AFP / EAST NEWS

Kanonizacja abp. Oscara Romero. San Salvador, 13 października 2018 r.

Popiełuszkę służby państwa chciały zniszczyć prowokacją: podrzuciono mu broń, materiały wybuchowe, farby drukarskie. Dawano do zrozumienia, że „może źle skończyć”. Próbowano złamać na przesłuchaniach. Snuto wokół niego siatkę agentów i szpiegów. Oczerniano i pomawiano w gazetach.

Romero czytał na pierwszych stronach nagłówek: „Arcybiskup Romero sprzedaje duszę diabłu” czy „Odprowadź egzorcysty nad prałatem Romero”. Od pewnego momentu groźby stały się jego chlebem powszednim: słyszał je przez telefon czy od „przypadkowych” przechodniów, czytał w listach. Ich autorami były i władze państwowe, i służby bezpieczeństwa, i posiadacze ziemscy.

Romero był przy tym pozbawiony wsparcia ze strony kolegów z episkopatu (poza jednym, jego biskupem pomocniczym). W większości byli oni zbławetowani z juntą i bogaczami oraz przekonani, że rewolucyjne zapędy ludu i wspierających go księży trzeba ukrócić. Jasno dawali do zrozumienia biskupowi San Salvador, że nie może na nich liczyć. Stali na niego skargi do Watykanu, przekonując, że Romero walczy o osobistą popularność, podlega do rewolty i sprzyja walce klas w Salvadorze. Ten ostatni zarzut był celnie sformułowany w obliczu niedługo wcze-

śniej rozpoczętego pontyfikatu papieża z rządzonej przez komunistyczne władze Polski. Skarga przyniosła skutek o tyle, że Romero czuł się głęboko niezrozumiany przez Jana Pawła II, gdy ten przyjął go na audiencji.

Również Popiełuszko spotykał się z niezrozumieniem, choć miał więcej wsparcia ze strony przynajmniej części hierarchii niż Romero. Jednocześnie jego bezpośredni przełożony, prymas Józef Glemp, należał – zwłaszcza po ogłoszeniu stanu wojennego – do bardziej zachowawczej, ostrożnej i nastawionej na nieeskalowanie sytuacji frakcji w Episkopacie. Działania Popiełuszki go zarazem irytowały (niektórych innych księży zaangażowanych we wsparcie robotników po prostu przenosił daleko poza Warszawę), jak i martwiły. Dlatego namawiał go na wyjazd z Polski. Sam Popiełuszko odczuwał, że nie wszyscy w Kościele rozumieją jego pracę i wybory. W zapiskach zanotował: „Gdybyśmy byli krajem szczęśliwym, księża mogliby zajmować się tylko życiem duchowym”, a w innym miejscu: „Już nie potrafię zamknąć swojego kapłaństwa w kościele, chociaż tylu różnych »doradców« podpowiada mi, że prawdziwy polski ksiądz nie powinien wychodzić poza kościelne ogrodzenie”.

Bez nienawiści. I bez trwogi?

Poczucie osamotnienia czy niezrozumienia nie towarzyszyła jednak nienawiść. Popiełuszko jak mantrę powtarzał Pawłową frazę: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”. Gdy przychodziły święta, dzielił się opłatkiem z funkcjonariuszami ZOMO.

Romero deklarował: „Nie czuję nienawiści wobec nikogo”, a świadkowie jego życia potwierdzają, że tak rzeczywiście było.

Nie nienawidził, choć się bał. Wiedział, że groźby, które słyszy, mogą zostać zrealizowane. Kiedy zamordowano kolejnego duchownego, ojca Rafaela Palacios, w homilii pogrzebowej powiedział: „Zabijacie tych, którzy przeszkadzają”. Sam również przeszkadzał. I bardzo nie chciał, by spotkał go ten sam los. Trzy dni przed śmiercią powiedział znajomemu lekarzowi: „Nie chcę umierać, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Nigdy wcześniej nie zależało mi bardziej na życiu. Mówię szczerze: nie czuję powołania do męczeństwa”.

Nie dał się jednak zwyciężyć ani nienawiści, ani lękowi. Prosił przyjaciół, by nie podchodzili zbyt blisko niego. Odmówił przyjęcia ochrony, bo nie chciał, by ktośkolwiek ryzykował dla niego życie. Nie czuł powołania do męczeństwa, ale wołał je przyjąć, niż kogokolwiek narazić.

Podobnie rozumował Popiełuszko, dla którego wizja śmierci była może mniej namacalna (machina mordu na oponentach politycznych była znacznie silniej rozkrecona w Salwadorze niż w PRL), ale żył w poczuciu niestabilności i niepewności jutra. Powtarzał jednak, że „bać się trzeba tylko zdrady Chrystusa za parę srebrników jałowego spokoju”. Nie chciał tego spokoju sobie kupować: czy milczeniem, czy wyjazdem, czy oportunistem.

Jak wspomina Sobrino, pewien salwadorski chłop powiedział mu: „Arcy-

biskup głosił prawdę. Obronił nas przed biedą. I dlatego go zabili”. Podobne słowa można by powiedzieć o Popiełuszce.

24 marca 1980 r. Romero został zastrzelony podczas odprawiania mszy w szpitalnej kaplicy. 35 lat później beatyfikowano go, a kolejne trzy lata później papież Franciszek ogłosił go świętym.

19 października 1984 r., gdy wracał z liturgii w Bydgoszczy, Popiełuszko został porwany, torturowany, związany i wraz z workiem pełnym kamieniami wrzucony do Wisły. W 2010 r. Benedykt XVI ogłosił go błogosławionym.

Co nam mówią dziś?

Obaj w praktyce wypełniali jedno z najważniejszych teoretycznych i praktycznych zadań, jakie stoją przed społecznym nauczaniem Kościoła. Identyfikowali, nazywali i opisywali struktury zła, przemocy, niesprawiedliwości. Aktywnie sprzeciwiali się deptaniu godności ludzkiej, stając po stronie krzywdzonych niezależnie od tego, pod sztandarem jakiego koloru krzywda była dokonywana. Byli prorokami, tymi, którzy przypominali: „Nie wolno”. Nie wskazywali dokładnych rozwiązań określonych problemów społecznych, ale piętnowali te zachowania, które w sposób oczywisty sprzeciwiają się Ewangelii.

Romero wskazywał: „My, którzy umiemy mówić, musimy być głosem dla tych, którzy mówić nie potrafią”.

Popiełuszko mówił zaś: „Są więzienia niewidzialne, jest ich bardzo wiele. Są więzienia, w których ludzie rodzą się, rosną i umierają. Są więzienia systemów i ustrojów”. Znamienne, że w swej przenikliwej mądrości używał w tym kontekście liczby mnogiej. Jego dziedzictwo to nie sprzeciw wobec określonej ideolo-

gii, ale wobec deptania człowieka jako takiego – w jakimkolwiek imię.

To zadanie także na dziś, obarczone wielokrotnie mniejszym ryzykiem niż to, które podejmowali Popiełuszko i Romero. Są zjawiska, mechanizmy, systemy, które wymagają nazywania, identyfikowania i demaskowania przez uczniów Chrystusa – świeckich i duchownych – w imię sprawiedliwości i Ewangelii. To przybierająca coraz silniejsze formy ksenofobia i rasizm. Krwiozercze – w sensie ścisłym – oblicze kapitalizmu i globalnych rynków ubogich przez zamożnych zarówno w skali lokalnej, jak i globalnej. Zgoda na zawieszanie praw człowieka w imię politycznego interesu. Patriarchat. Niszczenie planety, czego konsekwencje najsilniej odczuwają najubożsi. Struktury ukrywania przemocy seksualnej i lekceważenia skrzywdzonych. Obojętność wobec wykluczenia, kryzysu bezdomności, przemocy.

Wyliczać można dalej. Ostatecznie rzecz jednak w tym, by jak najgłębiej – w indywidualnym sumieniu, ale także w Kościele, wspólnocie, parafii – spróbować zrozumieć słowa zabitego przed 40 laty księdza Jerzego: „Służyć Bogu to szukać dróg do ludzkich serc. Służyć Bogu to mówić o złu jak o chorobie, którą trzeba ujawnić, aby ją móc leczyć. Służyć Bogu to piętnować zło i wszystkie jego przejawy”. Oto ważna część misji Kościoła wtedy w Salwadorze i w PRL. Istotny element naszego posłannictwa dziś.

© IGNACY DUDKIEWICZ

Autor jest redaktorem naczelnym Magazynu „Kontakt” i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”.

TP

UWIKŁANI W PRZESZŁOŚĆ

Książka **prof. Waldemara Łazugi** została nominowana do Nagrody im. Jana Długosza.

Część tekstów publikowaliśmy na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

Laureatów konkursu poznamy w czasie Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie.

27 KONKURS
o Nagrodę imienia *Jana Długosza*



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



ANDRÉS KUDACKI / AP / EAST NEWS

Przygotowania do ceremonii beatyfikacyjnej biskupa Opus Dei Álvaro del Portillo.
Madryt, 26 września 2014 r.

Niewolnice Opus Dei

DOMA MATEJKO

Argentyński wymiar sprawiedliwości oskarżył Opus Dei o handel ludźmi. Wiele kobiet przez lata było wykorzystywanych do niewolniczej pracy w tej ultraprawicowej organizacji.

PRACA OD ŚWITU DO NOCY, Z PRZERWĄ na modlitwę. Od poniedziałku do poniedziałku. Prasowanie, sprzątanie pokoi, gotowanie. Wyjście poza dom raz w tygodniu na krótki spacer – zawsze pod nadzorem. Odwiedziny u rodziny raz w miesiącu bądź wcale. Tak wyglądała codzienność kobiet, które pracowały w Opus Dei jako numerariuszki pomocnicze.

W Argentynie grupa 44 kobiet postanowiła wnieść pozew przeciwko władzom Opus Dei i opowiedzieć światu o tym, co dzieje się za murami domów tej organizacji. Do dziś Opus Dei nie przyznało się do stawianych zarzutów. Pralatura Opus Dei w Argentynie wydała oświadczenie, w którym napisano: „Kategorycznie zaprzeczamy oskarżeniom o handel ludźmi”.

Bez precedensu

Po dwóch latach tajnego i bezprecedensowego śledztwa argentyński wymiar sprawiedliwości oskarżył sześciu duchownych najwyższego szczebla Opus Dei,

którzy między 1991 a 2015 rokiem sprawowali funkcję wikariuszy regionalnych. Chodzi o Carlosa Nannei (1991-2000), Patricia Olmosa (2000-2010), Víctora Urrestarazu (2014-2022) oraz kapłana numerariusza, który przez niemal wszystkie te dekady kierował żeńską gałęzią organizacji, Gabriela Dondo.

Jednak odpowiedzialnych za handel ludźmi w strukturach organizacji jest więcej. Powództwo zażądało, aby na przesłuchanie wezwać również Mariana Fazio, który jest członkiem światowego zarządu Opus Dei. Przed wybuchem skandalu Fazio był głównym kandydatem na następcę pralata Fernanda Ocariz Brañę, który sprawuje najważniejszą funkcję w organizacji.

Sprawą zajmuje się sędzia Daniel Rafesca, który rozpatruje 44 przypadki wyzysku. Według pierwszych ustaleń sprawy czterech kobiet podchodzą pod ustawę o handlu ludźmi, która w Argentynie obowiązuje od 2008 r. Pozostałe kobiety opuściły bowiem organizację przed po-

nad 16 laty. Co więcej, spośród czterech przypadków trzy mogą ulec przedawnieniu, ponieważ są na granicy lub przekraczają okres 12 lat od momentu, gdy doszło do zgłaszanych incydentów. W efekcie kluczowe znaczenie w tej sprawie zyskuje historia jednej z kobiet, oznaczonej inicjałami M.I.E.

Trzy dekady niewolnictwa

Kiedy M.I.E. wraz z siostrą wsiadła do autobusu jadącego do Buenos Aires, nie miała pojęcia, czym jest Opus Dei i że jej los właśnie został przesądzony. Miała 17 lat. Urodziła się w Boliwii. W ubogim kraju, w biednej rodzinie nie miała perspektyw na przyszłość. Był rok 1984. Rodzice zdecydowali się wysłać córkę do argentyńskiej stolicy, gdzie czekała na nie ciotka i nowa wizja życia. M.I.E. marzyła o szkole średniej. Z tego pragnienia zwierzyła się podróżującej tym samym autobusem kobiecie, która zapewniła, że zna miejsce, w którym ona i jej siostra mogłyby uczyć się za darmo. Dziewczyny trafiły do domu Opus Dei w dzielnicy Belgrano.

Dziś M.I.E. mówi, że w momencie, w którym przekroczyła próg Opus Dei, zaczęła się jej trwająca 31 lat niewola. M.I.E. została numerariuszką pomocniczą, czyli profesjonalną pomocą domową, mimo że nie wyraziła na to zgody. Chciała uczyć się geografii i historii. Zamiast tego tłumaczono jej, jak składać ubrania i jak suszyć szklanki – jeden obrót ścierką wewnątrz i dwa ruchy polewujące z zewnątrz. Codzienna msza była obowiązkowa. Podobnie jak cotygodniowa spowiedź.

Po roku M.I.E. i jej siostra spróbowały uciec po raz pierwszy. Szybko zostały odnalezione przez zwierzchniczki i wydelegowane do nowego ośrodka. Po roku znowu uciekły, ale i tym razem szybko je odnaleziono. Nawet kiedy uciekła do rodziny w Boliwii, członkinie organizacji znalazły ją i zmusiły do powrotu. Zaczęły się nieustanne manipulacje i inne formy agresji psychicznej. M.I.E. wmawiano, że Bóg ją wybrał na numerariuszkę pomocniczą, i że On chce, żeby Mu służyła. W końcu w to uwierzyła. Codziennie zaraz po przebudzeniu klękała, całowała podłogę, mówiąc: „Będę Ci służyła”.

Wysłano ją do pracy do Rzymu. Kiedy w 2000 r. wróciła do Argentyny, wymagała natychmiastowej pomocy psycho-

logicznej. Zaprowadzono ją do psychiatry z Opus Dei, który przepisał jej garść tabletek, aby odurzona nadal mogła wykonywać swoją pracę. Wszystko, co powiedziała na wizycie, zostało przekazane jej zwierzchnikom. Udało jej się opuścić Opus Dei w 2015 r., w wieku 47 lat. Miała ze sobą garstkę ubrań i tabletek.

Struktura przemocy

Kobiety służyły za darmo w domach Opus Dei, często budowanych na najdroższych terenach i w najbardziej luksusowych dzielnicach. Jedną z głównych siedzib argentyńskiego oddziału tej organizacji powstała w zamożnej dzielnicy Recoleta, a wartość nieruchomości oceniana się na ponad 20 mln dolarów. Ponadto w odległości 30 km od stolicy, w miejscowości Bella Vista, w której mieszkają zamożni Argentyńczycy, w 1973 r. powstał „la Chacra” – największy w kraju dom relokacyjny.

Liczba gości, która często przekraczała sto osób jednocześnie, wiązała się z zapotrzebowaniem na numerariuszki pomocnicze. Dlatego zdecydowano, że w tym miejscu powstanie szkoła dla numerariuszek, które w ramach szkolenia, za darmo, zajmowały się gotowaniem, sprzątaniem i opieką nad wypoczywającymi członkami Opus Dei. To między innymi w tych ośrodkach dochodziło do skandalicznego traktowania numerariuszek. Liczba wszystkich ofiar wyzysku nie jest znana. Wiadomo, że historii 44 kobiet, które wniosły oskarżenia, nie stanowią wyjątku.

Argentyńska prokuratura mówi o systemowym i z góry zaplanowanym działaniu, którego schemat powtarzał się i nadal jest powtarzany w wielu siedzibach Opus Dei na całym świecie. Organizacja rekrutowała dziewczynki w wieku od 12 do 16 lat, często pochodzące z ubogich rodzin i mieszkające z dala od dużych ośrodków miejskich, składając im, jak czytamy w oskarżeniu: „fałszywą propozycję związaną z możliwością kontynuacji i ukończenia nauki w szkole podstawowej i średniej, a także otrzymania szkolenia zawodowego w celu uzyskania możliwości zatrudnienia, wszystko to w kontekście nauczania religijnego”.

Służące

Pierwsze kobiety na stanowisku numerariuszek pomocniczych trafiły do

Opus Dei przez znajomości. Były kuzynkami, sąsiadkami lub znajomymi kogoś z organizacji. Dlatego też wiele rodziców chętnie i z pełnym zaufaniem posyłało córki na darmową naukę do miejskich ośrodków organizacji. Co ciekawe, również Ford, producent aut, przyczynił się do popularyzacji oferty edukacyjnej Opus Dei, przekazując darowiznę w postaci nowego, wtedy luksusowego samochodu, który był używany do celów promocyjnych i szukania nowych numerariuszek chętnych do nauki w mieście.

Docierając do ośrodków Opus Dei, młode dziewczyny szybko orientowały się, że nauczą się w nich głównie sztuki przetrwania. W większości ośrodków, poza szkoleniem ze sprzątania, podawania do stołu i gotowania, nie odbywały się żadne zajęcia. Tylko w niektórych domach numerariuszki miały lekcje z historii, literatury czy matematyki. Jednak te odbywały się w przerwach pomiędzy sprzątaniem a prasowaniem.

Claudia, jedna z kobiet, które oskarżyły Opus Dei o znęcanie się, wspomina, że nauka w popołudniowych godzinach, przy takim zmęczeniu, nie była możliwa. Zawsze któraś z dziewczyn zasypiała. Jedna z nauczycielek historii podchodziła wtedy i mówiła „Dziewczynko, wstań, idź do toalety, umyj twarz, zmocz się za uszami i wróć”.

Wszystkie dziewczynki były zmuszane do pracy ponad siły. Bez przerw, bez wakacji i bez wynagrodzenia pieniężnego. Nie miały ubezpieczenia zdrowotnego, a kontakt z rodziną był im ograniczany lub całkiem uniemożliwiany. Każda z 44 kobiet doświadczyła przemocy psy-

chicznej. „Jeżeli nas opuścisz i będziesz miała dzieci, to urodzą się chore”, „Albo Opus Dei, albo piekło” – słyszały ciągle.

Każdy ich ruch był ściśle kontrolowany. Na chwilę same mogły być tylko w toalecie. Nie mogły czytać żadnych książek, które wcześniej nie zostałyby zatwierdzone przez ich zwierzchniczki. Co więcej, sprawdzano ich prywatne listy do rodziny, i jeżeli ich treść była „nieadekwatna”, nigdy nie trafiały do adresatów. Starsze dziewczynki namawiano do regułarnego biczowania się w ramach pokuty za grzechy. Lata przemocy psychicznej, duchowej i fizycznej u wszystkich 44 kobiet doprowadziły do głębokiej depresji. Leczonej pod nadzorem Opus Dei.

Więcej pozwów

Byłe numerariuszki pomocnicze, które zdecydowały się oskarżyć Opus Dei, stały się inspiracją dla innych kobiet na całym świecie. W mediach w Hiszpanii publikowane są podobne historie byłych numerariuszek pomocniczych. Można przypuszczać, że pozwów przeciwko tej organizacji będzie w najbliższym czasie więcej.

Pozostaje pytanie o reakcję papieża. Dwa lata temu Franciszek obniżył rangę Prałatury Opus Dei, podporządkowując ją Dykasterii ds. Duchowieństwa (wcześniej instytucją zwierzchnią była Dykasteria ds. Biskupów). Uniemożliwił prałatom otrzymywanie święceń biskupich, a świeccy należący do organizacji zaczęli podlegać bezpośrednio władzy biskupa, a nie prałata, co miało znieść hermetyczną i hierarchiczną strukturę organizacji. Jak ujawnienie historii 44 kobiet wpłynie na przyszłość tej organizacji? ©

POŻEGNANIE

Z okazji 100. rocznicy urodzin

ś.†P.

Marii Żaboklickiej-Budzichowej

artystki malarki
(1924-1977)

28 października 2024 r.
o godzinie 18.30 w kościele św. Szczepana w Warszawie
przy ul. św. Szczepana 1
zostanie odprawiona msza św. w intencji dziękczynnej
za Jej życie i twórczość

KS. JAMES MARTIN jest amerykańskim jezuitą, autorem książek trafiających na listy bestsellerów „New York Timesa”. Do najpopularniejszych należą wydane także w Polsce „Jezus” i „Jezuicki przewodnik po prawie wszystkim”.

Od lat zajmuje się duszpasterstwem osób LGBT+ i z tej działalności jest najbardziej znany. W 2017 r. opublikował poświęconą tej problematyce książkę „Building a Bridge” (niewydaną w Polsce). Jak mówił w wywiadzie przeprowadzonym przez Zuzannę Radzik dla „TP”: „Jestem przekonany, że gdyby Jezus chodził teraz po świecie, stałby właśnie z osobami LGBT, bo to one są najbardziej marginalizowane”.

W książce argumentuje: „Praca Dobrej Nowiny nie może być osiągnięta, jeśli jedna część Kościoła jest istotnie oddzielona od drugiej. Między dwiema grupami powstała przepaść, nad którą trzeba zbudować most”. Obie strony sporu Martin zachęca do szacunku, zrozumienia i wsluchania się w swoje potrzeby i obawy, ponieważ „odnoszenie się z szacunkiem do ludzi, z którymi się nie zgadzamy, jest drogą chrześcijanina”. Papież Franciszek osobiście zaprosił ks. Martina do udziału w obradach synodu o synodalności.

© P MAM



KERRY WEBER / CC BY-SA 4.0

Rachunek z miłości

KS. JAMES MARTIN, JEZUITA, DUSZPASTERZ OSÓB LGBT+:

Postawmy sprawę jasno.

Homoseksualność jest faktem życia i faktem natury, a nie ideologią.

PIOTR DZIUBAK: Jakie było doświadczenie Księdza podczas pierwszej sesji synodu o synodalności rok temu?

KS. JAMES MARTIN SJ: To był zaszczyt znaleźć się wśród delegatów – szczególnie że zostałem zaproszony przez papieża. Było to też dość męczące i podobnie jest teraz: dni są długie i ciężko pracujemy. Cieszy mnie, że ludzie z całego świata są w stanie spotkać się, modlić, rozeznawać i dyskutować o tym, jak pomóc Kościołowi, który wszyscy tak bardzo kochamy.

Jak zostały odebrane Księdza wypowiedzi?

Zostałem dobrze przyjęty. Prawie wszyscy delegaci byli dla mnie mili, gościnni. Kilku nie zgadzało się z moim podejściem do posługi wobec osób LGBT+ i starałem się z nimi porozmawiać indywidualnie.

Niektóre komentarze były dość ostre.

Nie będę przytaczał dokładnie, co kto mówił podczas dyskusji przy stole lub sesjach plenarnych, ale kilka osób wygłosiło opinie mocno krytyczne wobec osób LGBT+. To jednak część procesu synodalnego: głębokie wsluchiwanie się w to, co ludzie mają do powiedzenia, rozważanie tego, a następnie rozmowa z nimi na ten temat. Uważam, że był to bardzo pomocny proces.

Jak wyglądały te spotkania z krytykami?

Po tym, jak jeden z delegatów ostro wypowiedział się na sesji plenarnej, jeden z kardynałów zapytał, czy chciałbym, aby zorganizował mi z nim spotkanie. Zgodziłem się. Odbiliśmy przyjacielską rozmowę i byliśmy wobec siebie uczciwi. Ostatecznie nie sądzę, by któryś z nas zmienił zdanie, ale wysłuchaliśmy się z szacunkiem. To z pewnością ważny początek.

Udało się Księdzu porozmawiać z polskimi delegatami?

Zdecydowanie nie zamierzam zdradzać, co powiedział mi konkretny delegat, byłoby to niezgodne z zasadami synodu. To ważne, aby zachować poufność – aby ludzie mogli swobodnie mówić, co myślą, bez obawy, że zostanie to gdzieś opublikowane.

Czy LGBT+ to ideologia?

Nie. Takiego stwierdzenia często używa się, by zasugerować, że ludzie są gejami lub lesbijkami, ponieważ zgadzają się z pewnym zestawem postulatów, czyli ideologią. Tymczasem geje, lesbijki i osoby biseksualne, jak przyzna prawie każdy naukowiec, biolog, psychiatra, psycholog i socjolog, nie wspominając o samych osobach LGBT+, rodzą się tacy. Nie chodzi tu więc o taki czy inny zestaw przekonań. Musimy mieć co do tego jasność. W przeciwnym razie może się wydawać, że wybierają bycie gejem lub lesbijką.

Niektórzy uważają, że takie tłumaczenie to forma neokolonializmu.

To nieporozumienie. Kwestie LGBT+ nie są w żaden sposób „importowane”. Geje i lesbijki istnieli w każdym kraju i kulturze. Nie tak dawno kard. Peter Turkson zauważył, że w jego ojczystym języku ghańskim istnieją nawet słowa określające takie osoby. Tak więc to zjawisko wyprzedza erę kolonializmu. Homoseksualność jest faktem życia i faktem natury. Postawmy sprawę jasno.

A może to problem świata zachodniego?

Nie, choć na Zachodzie może to być kwestia częściej omawiana, ponieważ więcej ludzi otwarcie mówi tu o swojej seksualności. W około dziesięciu kra-

jach można zostać straconym za stosunki z osobami tej samej płci, a w około 70 krajach – uwięzionym. Gdy uświadomimy sobie, jak wiele osób LGBT+ musi stawiać czoło przemocy, pobiciom i nękanii, często uciekając ze swoich ojczyzn w poszukiwaniu bezpieczeństwa, musimy dojść do wniosku, że to kwestia o znaczeniu międzynarodowym. Papież Franciszek wyraził sprzeciw wobec prawodawstwa niektórych państw w kwestii osób LGBT+. Dlaczego chrześcijanie nie mieliby chcieć pomóc ofiarom przemocy i osobom, których życie jest zagrożone?

Czy osoby LGBT+ sprzeciwiają się nauczaniu Kościoła?

Podobnie jak w przypadku niektórych małżeństw stosujących antykoncepcję, istnieją osoby LGBT+, które zawarły małżeństwa lub angażują się w związki – wszystkie te postawy są niezgodne z nauczaniem Kościoła.

Wielu ludzi sprzeciwia się nauczaniu Kościoła. I nie mam na myśli tylko moralności seksualnej. Są ludzie, którzy nie przebaczą, nie pomagają biednym, nie prowadzą życia pełnego miłości. Mamy tendencję do skupiania się na moralności seksualnej jednej grupy ludzi, osób LGBT+, a zapominamy o wielu innych kwestiach, ze względu na które wielu ludzi nie jest dobrymi chrześcijanami.

Fundamentalne nauki Kościoła – życie, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa oraz Jego wezwanie do miłości, miłosierdzia i współczucia – są głęboko cenione przez wiele osób LGBT+. W zeszłym tygodniu w Rzymie duszpasterstwo Outreach, którego jestem częścią, zorganizowało seminarium dla delegatów synodu, podczas którego katolicy LGBT+ dzielili się swoimi histo-

riami. Wiele osób LGBT+ to ludzie wielkiej wiary.

Owszem, niektóre osoby LGBT+, podobnie jak część heteroseksualnych – nie lubi Kościoła. Ale katolicy LGBT+ kochają swój Kościół i muszą znosić wiele przeciwności wewnątrz niego. Czasami, gdy widzę tych, którzy wytrwali w Kościele, myślę o tym, co Jezus powiedział o rzymskim setniku: „Nigdy nie widziałem takiej wiary”. Wyobraź sobie, że zostajesz w Kościele, w którym wiele osób mówi ci, że do niego nie należysz. Wyobraź sobie, że jesteś młodą osobą, której jakiś ksiądz mówi, że pójdziesz do piekła, a mimo to pozostajesz w Kościele. To jest prawdziwa wiara!

W „Małym księciu” Lis mówi, że najważniejsze jest to, co niewidoczne dla oczu.

My, chrześcijanie, często mówimy o widzeniu „oczami wiary”, dostrzeganiu czegoś, co nie musi być oczywiste. Św. Matka Teresa z Kalkuty często mówiła o widzeniu ubogiej osoby jako „Chrystusa w przygnębiającym przebraniu” – czyli kogoś o nieskończonej godności.

Czasami możemy być ślepi, gdy patrzymy na osobę, która wydaje się różnić od nas. Ale często przypominam przypowieść o dobrym Samarytaninie, w której Żyd zostaje pobity, a pomaga mu Samarytanin, a więc ktoś, kogo tamten uważałby za wroga. Zbawienie pobitego człowieka zależy od tego „innego”. Możemy więc zapytać, w jaki sposób twoje zbawienie zależy od tego, kogo uważasz za „innego”.

Søren Kierkegaard powiedział, że „czystość serca to pragnienie jednej rzeczy”. Często słyszałem to stwierdzenie w wersji: „Być świętym oznacza chcieć jednej rzeczy”. A tą „jedną rzeczą” jest wola Boża. →

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. MSN W WARSZAWIE

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK SPECJALNY

PRAWO DO MIASTA

a w nim:

- **Agnieszka Labus** – Kod długowieczności – jak żyć długo i szczęśliwie w miastach przyszłości?
- **Beata Chomątowska** o dobrych deweloperach
- Filip Springer – Czas na nową architekturę – recenzja **Michała Sowińskiego**
- Rozmowa z **Thomasem Phiferem** – za co pokochamy gmach warszawskiego MSN

PARTNER DODATKU



„TYGODNIK” Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 30 PAŹDZIERNIKA

→ Wolą Bożą jest miłość. Ostatecznie zostaniemy osądzeni na podstawie tego, jak bardzo lub jak mało kochaliśmy i czy nasza miłość wykraczała poza tych, których uważaliśmy za „godnych”. „Miłujcie się wzajemnie”, powiedział Jezus, „tak jak Ja was umiłowalem”.

Publikacja dokumentu „Fiducia supplicans” i wynikająca zeń możliwość udzielenia błogosławieństwa parom tej samej płci spotkały się z dużym sprzeciwem wśród duchownych. Jak Ksiądz to odbiera?

Ten sprzeciw był mocny zwłaszcza w niektórych częściach Afryki, gdzie konferencje biskupów zasadniczo stwierdziły, że nie wprowadzą go w życie. W innych częściach Kościoła panowała wielka radość, ponieważ pary tej samej płci poczuły, że ich Kościół uznaje ich pragnienie błogosławieństwa.

Jak wyjaśnić ten sprzeciw?

Spędziłem ostatni rok na rozmowach z katolickimi liderami z Europy Wschodniej i Afryki, słuchając ich krytycznych opinii o tych błogosławieństwach. Niektórzy powielają wspomniane już przeświadczenie o tym, że homoseksualizm jest importem z Zachodu czy wynikiem przyjęcia ideologii, a więc homoseksualność nie jest „prawdziwa”. Poza tym przytaczają argument teologiczny, że małżeństwo zachodzi między mężczyzną i kobietą, zatem inne związki są poza granicami Kościoła.

Tylko że według „Fiducia supplicans” kapłan nie błogosławi samego związku, ale dwoje ludzi, uznając ich pragnienie, by Bóg im błogosławił, nawet jeśli ich związek nie jest akceptowany w oczach Kościoła. Towarzyszy komuś, kogo życie

nie jest w pełni zgodne z nauczaniem Kościoła. Tylko że wszyscy w jakiś sposób upadamy i potrzebujemy Bożej pomocy. W tym sensie uważam to za bardzo duszpasterskie. Do tej pory pobłogosławiłem cztery pary i każda z nich była bardzo poruszona. Pytam więc: czy jest to miłość?

Jest?

Mój przyjaciel Carlos był szafarzem Eucharystii, lektorem i kierownikiem duchowym w swojej parafii. Był także kapłanem w szpitalu onkologicznym. Zrezygnował z lukratywnej pracy finansisty, aby zostać stosunkowo nisko opłacanym kapłanem. Carlos był hojnym człowiekiem, kochanym przez ludzi w parafii. Był również gejem i żył ze swoim partnerem Jimem przez 40 lat. Bardzo się kochali. Kiedy kilka lat temu Carlos zachorował na raka, Jim opiekował się nim podczas wizyt u lekarzy, operacji, radioterapii i chemioterapii, aż do ostatnich dni Carlosa. Msza pogrzebowa przyciągnęła setki ludzi. Kościół musi zadać sobie pytanie: czy to jest miłość? Myślę, że „Fiducia supplicans” jest wyrazem uznania wagi tego pytania.

W jaki sposób doktryna i praktyka duszpasterska powinny współdziałać dla dobra ludzi?

Doktryna dotycząca różnych kwestii moralnych, nie tylko seksualności, jest istotną częścią nauczania Kościoła. Istnieją ewangelie, tradycja Kościoła i doktryna. Ale doktryna musi być zastosowana do sytuacji. Nie oznacza to, że ona się zmienia. Przykład? Pod drzwiami stoi morderca, który chce zamordować twoją matkę, i pyta, czy ona jest w domu. Teologowie moralni powiedzieliby, że w takim

przypadku kłamstwo jest dozwolone. Nie możemy więc patrzeć na teologię moralną bez uwzględnienia rzeczywistych sytuacji. W przeciwnym razie nasza doktryna będzie tylko serią martwych reguł. Musimy używać sumień.

Dla wielu rodziców, którzy dowiadują się, że ich dzieci są osobami LGBT+ lub że chcą być w parze z osobą tej samej płci, jest to duże zaskoczenie i trudno im to zaakceptować.

Wielu rodziców mówi mi, że zastanawiali się, czy ich dziecko może być homoseksualne. Zwykle mówię, że z jakiegoś tajemniczego powodu Bóg stworzył ich dziecko w ten sposób, a my jesteśmy zaproszeni do kochania go, akceptowania, towarzyszenia i słuchania. Ono nie tylko pragnie naszej miłości, ale prosi nas o pomoc w nowy sposób.

Często dzieci LGBT+ czują, że Bóg ich nie kocha, że Kościół je odrzuca lub że rodzina ich nie akceptuje. Czasami księża mówią im, że samo bycie gejem jest grzechem, co potęguje ich poczucie nienawiści do samych siebie. To kluczowy czas dla homoseksualnego dziecka, które przecież nie wybrało bycia takim. Badania pokazują, że odsetek samobójstw jest znacznie niższy, gdy dziecko homoseksualne wie, że rodzice je akceptują i kochają. Wsparcie rodziców jest więc kwestią życia i śmierci. Twoje dziecko może wydawać się inne, ale nadal jest twoim dzieckiem i nadal jesteś powołany, by je kochać, nawet jeśli przez pewien czas mozesz go nie rozumieć.

Dlaczego wielu, zwłaszcza młodych ludzi odchodzi od Kościoła?

Głównie dlatego, że Kościół wydaje się ich nie przyjmować, nie interesuje się ich sprawami lub po prostu jest „nudny”. Jednym ze sposobów przeciwdziałania temu jest spotykanie młodych ludzi tam, gdzie się znajdują. Jezus nie czekał, aż uczniowie pierwsi przyjdą do Niego. Poszedł do nich, podróżując z Nazaretu do Kafarnaum, nad Jeziorem Galilejskim. A kiedy spotkał Piotra i Andrzeja, Jakuba i Jana, przemówił do nich w ich języku: „Chodźcie, a uczynię was rybakami ludzi!”. Innymi słowy, cieśla przemówił w języku rybaków. Musimy zrobić to samo: iść tam, gdzie są młodzi ludzie, i mówić w ich języku.

© Rozmawiał PIOTR DZIUBAK

Na wniosek Władysława Jałowieckiego wszczęto przed **Sądem Rejonowym dla m. st. w Warszawie** pod sygnaturą I Ns 18/24 postępowanie o uznanie za zmarłych:

- Władysława Jałowieckiego, urodzonego w dniu 21.10.1885 r. w Kamiennej, syna Romana Adama Jałowieckiego;
- Henryka Jałowieckiego, urodzonego w dniu 4 czerwca 1891 r. w Radomiu, syna Romana Adama Jałowieckiego;
- Aleksandra Jałowieckiego, urodzonego w dniu 30 lipca 1882 r. w Radomiu, syna Romana Adama Jałowieckiego;
- Zofii Jałowieckiej, urodzonej w dniu 13 czerwca 1893 r. w Kamiennej, córki Romana Adama Jałowieckiego.

Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionych, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

ZUZANNA

Radzik: Synod i rozmowa przy studni



SŁYSZELIŚCIE TO KAZANIE SETKI RAZY. Rzecz dzieje się na początku Ewangelii wg św. Jana, w czwartym rozdziale. Ale zanim dojdziemy do tej sceny, autor, jak wiadomo, zaczyna z przystupem, od razu wielkimi teologicznymi tematami. Nie ma zwiastowania czy złóbka i pastuszków, jest wcielający się Logos.

Potem spotykamy nad Jordanem i św. Jana, i Jezusa, do którego dołączają uczniowie, czasem sami, czasem powoływani, by za nim szli. Zostaliśmy wrzuceni w sam środek akcji. Następnie widzimy Jezusa w Kafarnaum, gdzie matka popycha go do działania. Chwilę później udaje się na Paschę do Jerozolimy, gdzie wypędzi kupców ze świątyni. W tej pędzącej akcji na dłuższą chwilę zatrzyma się przy Nikodemie, z którym zaangażuje się w dłuższą rozmowę – rozmowę, która jednak nie kończy się zaangażowaniem Nikodema.

I wreszcie: Jezus siada przy studni pod samarytańskim miasteczkiem Sychar, by akcja mogła się wyciszyć. Spędza tu cały rozdział, z jedną osobą: anonimową samarytańską kobietą. Jak rzadko w narracji Jana, są sami. Tylko w tej scenie, i jeszcze w ogrodzie przed męką, Jezus jest pozostawiony sam przez uczniów. Tym razem udają się do miasteczka po zakupy, gdy nadchodzi do studni kobieta chcąc zaczerpnąć wody, a on prosi, by dała mu pić.

Niecodzienna to scena, pomyślcie chwilę. Żyd i Samarytanka, mężczyzna i kobieta. Spójrzcie z jej perspektywy: jest za miasteczkiem sama, a przy studni siedzi cudzoziemiec. Czy poczuła to ukłucie strachu i niepewności, które zna każda kobieta będąc w odludnym miejscu sam na sam z obcym mężczyzną? Jest tyle powodów, by ze sobą nie rozmawiali. A jednak ona odpowiada na jego prośbę, a potem dopytuje, zaznacza etniczne różnice między nimi, on zaś opowiada o żywej wodzie. Ona na to przekornie, że co on jej tu opowiada, iż da jej wody żywej, jak nawet nie ma czerpaka, by nabrać tej ze studni. Wyszczekana jest, zadziorna. Z niechęci do obcych, charakteru, zuchwałością dodaje sobie odwagi w dziwnej sytuacji?

I wtedy Jezus prosi, by zawołała swojego męża. Nie mam męża – odpowiada mu na to Samarytanka. To od Jezusa, chwaleńcego jej szczerość, dowiadujemy się, że mąż

miała czterech, a ten, z którym mieszka, nie jest jej mężem. Mamy ją, grzesznica jedna! Ile razy słyszeliście w kazaniach, że przemyka chyłkiem do studni w południe, bo jest społecznym wyrzutkiem? Czterech mężów i gach, kto to widział! Wstyd jej, wołałaby nikogo nie spotkać przy tej studni.

Tylko... coś się nie zgadza. Ta wyszczekana kobieta, która dyskutuje z nieznanym, nie wygląda na zależnioną niewiastę, potępioną i ukrywającą się przed swoją wioską. Zresztą, co przed taką wioską można jeszcze ukryć, wszyscy na pewno wszystko wiedzą. Poza tym w środku dnia do studni chodziły inne bohaterki biblijne, np. Jakub spotkał Rachelę przy studni w Haran w południe.

Zatem w spotkaniach przy studni o tej porze nie ma nic wstydliviego. Zresztą, czy jest powodem do wstydu w tamtych czasach, że kobieta, skazana na zależność od mężczyzny, ma kolejnych mężów? Brzmi to jak piramidalny życiowy pech, a nie grzeszność czy rozwiązłość. Albo jej poumierali, albo ją odesłali z rozwodowym listem. Może dlatego, że nie była w stanie urodzić im dzieci. Gdzieś się jednak musiała podziąć, w czyimś domu, przy kimś. Mieszkanie z nie-mężem brzmi jak definicja jej kruchej sytuacji, całkowitej zależności. I zauważcie, Jezus wcale tego nie ocenia, nie mówi, by się ogarnęła, nawróciła ani że tak nie wolno. Docenia szczerość, po czym rozmowa toczy się dalej, bo Jezus ma z nią ważniejsze sprawy do omówienia. Wyznaje, że jest mesjaszem.

W tym momencie na scenę wkraczają uczniowie z zakupami. No i, rzecz jasna, szemrzą między sobą ze zdziwieniem, że mistrz rozmawia z kobietą. Spłoszona Samarytanka zostawia dzbanek i biegnie do wioski, opowiedzieć wszystkim, że spotkała mesjasza. Nie, Jezus jej nie powołał, nie prosił, ona po prostu korzysta z zamieszania, by oddalić się i mówić sąsiadom: czyż on nie jest mesjaszem?

W efekcie Jezus i jego uczniowie zatrzymali się tam na dwa dni, bo tylu Samarytan w niego uwierzyło za sprawą tej kobiety. Apostołka – ktoś mógłby rzec o kobiecie, która była tak skuteczną głosicielką nowiny o mesjaszu. Na wszelki więc wypadek zrobiono z niej w kazaniach straszną grzesnicę. Żeby nikomu do głowy nie przyszło, że to pierwsza wspomniana w Janowej ewangelii głosicielka i apostołka.

Myślę o niej w czasie trwającego wciąż synodu. Łatwiej robić wszystko – zaprzeczać, oczerniać – żeby nie przyznać, że kobiety głosiły i głoszą ewangelię i tworzą tym samym Kościół na równi z mężczyznami. Albo i bardziej. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościół kobiet”.



ŚWIAT

PTASZKI W NIEWOLI

Gruzja wkrótce zdecyduje: czy zwróci się znów ku Europie, czy też pomaszeruje w objęcia Rosji. Młode Gruzinki mówią nam o swoich marzeniach – oraz o strachu.

STASIA BUDZISZ Z TBILISI

TAMUNA BOI SIĘ ROSJI. WIE, O CZYM mówi. Urodziła się pod sam koniec wojny w Abchazji, wiosną 1993 r., a już jesienią tamtego roku Nonie i Emzarowi, jej rodzicom, przyszło zawinąć ją w gruby koc i uciekać. Długie 14 dni Nona taszczyła córkę przez przełęcz Kodori, która łączy Abchazję ze Swa-

netią. Aby mieć pokarm, jadła śnieg. A kiedy rozwały jej się buty, ściągnęła inne z nóg leżącego przy drodze martwego człowieka, który nie wytrzymał marszu.

Potem zakwaterowano ich w starym sanatorium w Bordzomi, ale ciężko było wyżyć. Ani pracy, ani perspektyw.

Zimno i ciemno, bo gaz i prąd były tylko kilka godzin dziennie. I niebezpiecznie, bo bandytyzm w Gruzji kwitł. Wyjechali więc do Rosji za chlebem. Niedaleko, do Soczi. Tam też nie było lekko, ale była praca. Żyli w wagonie, przy ulicy Lenina, razem z innymi uchodźcami z Abchazji.



ANDREY RUDAKOV / GETTY IMAGES

Protesty przeciwko tzw. ustawie o „zagranicznych agentach” przed parlamentem Gruzji. Tbilisi, 14 maja 2024 r.

w stronę którego idzie mój kraj. To przyniesie tylko zniszczenie.

MARZENIE | A wszystko miało być inaczej. Gruzja miała się rozwijać i zmieniać. Miała stawiać się coraz bardziej demokratyczna, nowoczesna i europejska.

20 lat temu wielką nadzieję wlał w Gruzinów Micheil Saakaszwili, który objął władzę w wyniku rewolucji róż w 2003 r. Zaczął stawiać kraj na nogi. Zreformował administrację, armię, edukację. Zlikwidował korupcję, sprowadził zagraniczne inwestycje i ogólnie otworzył się na Zachód.

Nie podobało się to Rosji. W 2008 r. sprowokowała wojnę o Osetię Południową, która do historii przeszła jako wojna pięciodniowa i zachwiała państwem, dopiero co podnoszącym się z kolan. W jej wyniku Rosja uznała niepodległość dwóch separatystycznych republik gruzińskich, Abchazji i Osetii Południowej, zamknęła granicę i zablokowała handel. Dla gruzińskiego rolnictwa był to cios.

Tamuna pamięta lato 2008 r. Mieszkała jeszcze w Soczi. Wspomina: – Staliśmy z rodzicami na przejściu kolejowym i czekaliśmy, aż przejedzie pociąg. Wiozł czołgi w stronę Abchazji. Nigdy nie widziałam takiego lęku w oczach rodziców. Dla nich było jasne, że zaraz zacznie się wojna. Wtedy naprawdę zaczęłam się bać.

NADZIEJE | Po sierpniu 2008 r. rodzice Tamuny zaczęli myśleć o powrocie do Gruzji. Do Tbilisi przyjechali w marcu 2010 r. Do innego kraju niż ten, który zostawili 16 lat wcześniej. – Mimo niedawnej wojny czuło się nadzieję i były perspektywy. Dla ludzi w moim wieku Europa, angielski i nauka za granicą to było coś realnego – mówi Tamuna.

Skorzystała z tego. Nauczyła się angielskiego i polskiego, skończyła w Polsce studia, jeździła po świecie. Wiedziała, że Gruzja potrzebuje jeszcze wielu zmian, ale była pewna, że z europejskiej drogi już nic jej nie zawróci. Zapewniała to w końcu Konstytucja, w której zapisano, że celem Gruzji jest wstąpienie do UE i NATO. Potrzebny był tylko czas.

Tamuna zdecydowała się wrócić do Gruzji. To był jej wkład w zmianę. Nawet gdy w 2012 r. odszedł Saakaszwili, czuło się, że kraj się zmienił. „Misza” oddał władzę pokojowo i demokratycznie: po prostu przeszedł do opozycji. Partia pod nazwą Gruzjińskie Marzenie, która przejęła ster, też stawiała na proeuropejski kurs. Ale też na to, by naprawić relacje z Rosją. I rzeczywiście: otwarto granice, ruszył handel i pojawili się rosyjscy turyści.

W 2014 r. Gruzja podpisała umowę stowarzyszeniową z UE, a potem jej obywatele mogli już wjeżdżać do Strefy Schengen bez wiz. Rozwijała się turystyka, w której Tamuna szybko odnalazła się jako przewodniczka.

Owszem, Gruzja wciąż miała wiele do naprawy: zadłużenie, bieda, inne problemy społeczne. Ale młodzi mieli choćby perspektywę wyjazdu na zarobek za granicę i z tego korzystali.

ZWROT | A potem zaczęła się wojna w Ukrainie – i Gruzja szybko zaczęła się zmieniać.

Rządzący nią politycy z Gruzjińskiego Marzenia od początku mieli kłopot, by nazwać wojnę wojną. Nie przystąpili do sankcji przeciw Rosji, mówiąc, że kraju na to nie stać. Wpuszczali Rosjan bez kontroli i ograniczeń: tylko w 2022 r. przyjechało ich 1,5 miliona (dla ogromnej większości Gruzja była krajem tranzytowym).

– To był szok – wspomina Tamuna. – Tam straszna wojna, część Gruzji jest okupowana, a oni czują się u nas jak w domu. Nasi ich przyjmują prawie na czerwonym dywanie. Mówię nie tylko o rządzie, ale też o ludziach. Jakby zapomnieli, z kim mają do czynienia.

Szacuje się, że dziś na stałe mieszka w Gruzji 70 tys. Rosjan. Otworzyli ponad 38 tys. firm, nie integrują się z Gruzinami – tworzą osobne enklawy.

Na początku politycy Gruzjińskiego Marzenia starali się balansować między coraz cieplejszymi relacjami z Rosją a zachowaniem dobrych stosunków z Zachodem. Nie chcieli jawnie ignorować społeczeństwa, które, jak pokazywały sondaże, popierało eurointegrację w prawie 90 procentach.

W marcu 2022 r. Gruzja wraz z Ukrainą i Mołdawią złożyła wniosek o status kandydata do UE. Jednak go nie dostała. ➔

– Jestem radykalna wobec Rosji i Rosjan – mówi dziś Tamuna. – Nie potrafię oddzielić polityki od ludzi. Nie w ich przypadku. Mam przed oczami sceny z dzieciństwa, gdy rosyjscy milicjanci urządzali nalot. Każdy chował się, gdzie mógł. Ludzie wskakiwali do piwnic, do wychodków. To było upokarzające.

Milicjanci chcieli wyłudzić pieniądze. Wiedzieli, że ci, którzy tam żyją, są nielegalnie, bez pozwolenia na pracę i meldunku. Tamuna miała 17 lat, gdy jej rodzice zdecydowali, że wracają do Gruzji.

– W Rosji gnębili nas na ulicy za używanie gruzińskiego – wspomina. – Żądali, byśmy w ich kraju mówili w ich języku. Dziś w Gruzji jest kilkadziesiąt tysięcy Rosjan i nie zauważam, by starali się mówić po gruzińsku. Nie chcę ich tu. Tak samo jak nie chcę ruskiego miru,

→ Otrzymała za to perspektywę, czyli dwaście rekomendacji – plan naprawczy, który miała wdrożyć, by uzyskać status kandydatki. Miała skupić się m.in. na prawie wolności mediów, rozwoju społeczeństwa obywatelskiego i dezoligarchizacji.

Z tą ostatnią był problem: jest tajemnicą poliszynela, że wszelkie decyzje podejmuje nie rząd, lecz założyciel Gruzińskiego Marzenia – Bidzina Iwaniszwili, miliarder, który majątku dorobił się w Rosji, a Gruzję traktuje jak własną firmę.

USTAWA | Z tych dwunastu rekomendacji Gruzja nie wypełniła prawie żadnej, lecz i tak pod koniec 2023 r. dostała status kandydata do UE. Warunkowo, ale jednak. Tymczasem tak naprawdę coraz bardziej orientowała się na Rosję. Choć rządząca partia wciąż balansowała. Robiła wszystko, by utrzymać władzę. Szybko przekuła status kandydata na swój sukces i zaczęła kampanię wyborczą. W sobotę 26 października 2024 r. czekają ją wybory parlamentarne.

Na początku 2024 r. do polityki oficjalnie wrócił Iwaniszwili. Dokonał roszady na stanowisku premiera. Poukładał się z Cerkwią prawosławną, którą wsparł finansowo. A potem zabrał się za wprowadzenie ustawy o „zagranicznych agentach”. To była powtórka, bo pierwszą próbę podjęto w marcu 2023 r., ale wtedy spotkała się z potężną krytyką Zachodu i protestami w Tbilisi, brutalnie rozprawianymi.

W tamtym momencie rządzący się cofnęli, mówiąc, że słuchają społeczeństwa. Tylko ówczesny przewodniczący partii,

a dziś premier Irakli Kobachidze powiedział, że to, co działo się na ulicach, jest dowodem, iż zagraniczni agenci mają wpływ na Gruzję.

– Ale my już tego nie usłyszeliśmy – mówi Tamuna, która uczestniczyła wtedy w protestach. – Mieliliśmy poczucie, że wygraliśmy i że mimo wszystko żyjemy w normalnym kraju, który słucha swoich obywateli. Byliśmy naiwni.

STRACH | W maju 2024 r., mimo kolejnych protestów, ustawę o „agentach” przyjął parlament. Weszła w życie pod koniec sierpnia. Uderza zwłaszcza w media i społeczeństwo obywatelskie. Stanowi, że wszystkie organizacje pozarządowe, które w minimum 20 procentach są finansowane z zagranicy, muszą wpisać się do rejestru „agentów”. Jeśli tego nie zrobią, dostaną mandat (równowartość 9,5 tys. dolarów co miesiąc), a po upływie kwartału służby mogą skonfiskować ich majątek (najpierw organizacji, potem prywatny).

Z 30 tys. zarejestrowanych organizacji pozarządowych do bazy „agentów” wpisało się 469. Inne, których ustawa dotyczy, liczą, że 26 października opozycja wygra wybory i nowy parlament odwoła to prawo.

Tamuna, choć nie pracuje w organizacji pozarządowej, też boi się o przyszłość. – Mam wiele zleceń z zagranicy. Tłumaczę, pracuję jako fikserka [„załatwiaczka” – red.] dla zachodnich dziennikarzy, prowadzę wycieczki dla polskich biur podróży. Jeśli Gruzja po wyborach pójdzie w stronę Rosji, to tacy ludzie jak ja też mogą okazać się „zagranicznymi agentami”. Przecież w Rosji

wystarczy zarabiać za granicą, żeby się nim stać. To tylko kwestia interpretacji zapisów.

Poza tym zaczęła się bać o to, co i przy kim mówi: – To podłe uczucie. Jeszcze się temu nie poddałam, ale już o tym myślę. Opowiadałam turystom o dobrych i złych stronach Gruzji. Ale ostatnio zaczęłam się zastanawiać, czy to dla mnie bezpieczne. Nie wiem przecież, kto stoi obok.

INTERPRETACJE | W połowie października Gruzińskie Marzenie przegłosowało kolejną skopiowaną z Rosji ustawę: o wartościach rodzinnych i ochronie nieletnich. Zwaną też „anty-LGBT”. Zabrania wychowywania dzieci przez osoby homoseksualne i w ogóle wszelkiej, jak to określono, „promocji” informacji na temat związków tej samej płci, interwencji medycznych czy zmiany płci. Zabrania też rozpowszechniania utworów czy innych materiałów „promujących” tę tematykę.

Tamuna: – To też jest kwestia interpretacji zapisów. Jeśli mamy do czynienia z cenzurą, to znaczy, że trzeba uważać na każdym kroku, co się mówi. Jak tak żyć? Czego by nie powiedzieć o Gruzji, dotąd mogliśmy mówić to, co myśleliśmy. A teraz?

Tym samym martwi się jej koleżanka Maiko. Razem chodziły na protesty. Maiko ma również 31 lat, skończyła administrację w Tbilisi, letnią szkołę polskiego w Katowicach, jeździ po świecie. Nie zna rosyjskiego i nie zamierza się go uczyć. Rosja kojarzy jej się z klątką. I ze strachem.

– Te wszystkie nowo wprowadzane prawa to jakiś absurd – uważa Maiko. – Wiem, że jesteśmy w konserwatywnej

Pomoc na zimę dla Ukrainy

„Niech każdy liczy tylko na siebie”: taki komunikat wydała niedawno jedna z ukraińskich firm energetycznych. Zniszczenia w infrastrukturze na skutek nalotów są tak duże, że nie tylko ta jedna firma nie może gwarantować odbiorcom, że jesienią i zimą będą mieć prąd. Bliżej frontu, w obwodzie donieckim i części charkowskiego, już dziś energię zapewniają głównie mobilne kotłownie i agregaty.

Alie nie tylko w sferze energetyki może to być najcięższa wojenna zima dla Ukrainy.

Chcemy pomóc naszym ukraińskim przyjaciółom – ludziom, do których już jeździliśmy z pomocą podarowaną przez czytelników i czytelników „Tygodnika” – i zebrać środki, za które będziemy mogli kupić **agregaty inwerterowe, stacje zasilania i materiały z zakresu medycyny ratunkowej** (np. **opaski hamujące krwawienie**). Chcemy je zawieźć, tak jak wcześniej, przede wszystkim na wschodnią Ukrainę.

Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik” jej patronuje.

Numery kont:

– w złotych:

20 10902 5900 0000 001 5044 0623

– w euro:

64 1090 2590 0000 0001 5044 0898

Odbiorca:

Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.

<https://inicjatywasasiedzka.org>

Dziękujemy!

„Tygodnik Powszechny”

i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka



Maiko i Tamuna na ulicach Tbilisi, 2022 r.

Gruzji, ale mamy tu przecież jakąś namiastkę wolności, którą możemy manifestować.

PTASZKI | Maiko ma długie różowe warloczki, pełny makijaż i modne ciuchy. Lubi zwracać na siebie uwagę. Jest jak kolorowy ptak.

– To może dziwne, ale przez nasz wygląd demonstrujemy naszą wolność – tłumaczy Tamuna. – U nas jest silny patriarchat i tradycje, więc możliwość demonstrowania wolności swoim wyglądem jest dla Gruzinek ważna. To oczywiście tylko jej namiastka, choć wiem, jak głucho to brzmi, i wiem też, że to iluzja. Ale pokazujemy w ten sposób na zewnątrz naszą niezależność. Bo przecież potem i tak wracamy do tradycyjnych domów, w których funkcjonujemy według zastanych zasad.

Mówią o tym obie. Ripostuję, że przecież nikt nie będzie im zabraniał, aby ubierały się w to, co chcą. Ani czesać się, jak chcą.

– Nie do końca – oponuje Maiko. – Dziewczyny, które mają niestandardowy kolor włosów, tatuaże albo kolczyki w różnych miejscach, brane są często za lesbijki. Teraz patrzy się na takie dziewczyny jak na jakieś dziwaczki. Ale nie mam pewności, czy za chwilę za odstępstwo od normy nie dostanę w głowę na ulicy. Jeszcze się nie boję, ale już mam to z tyłu głowy. I to jest przerażające.

PLAKATY | Podobnie mówią o ulicznych protestach, z których słynie Tbilisi.

– Gruzini protestują stale i z byle powodu – uważa Tamuna. – Tyle że to nic nie daje. Jak te majowe demonstracje przeciw ustawie o „agentach”. Nic nam nie da tańczenie na ulicach.

– Najgorsze, że to wszystko oddala nas od Europy – mówi Maiko. – Najbardziej mnie przeraża, że ktoś mi to wszystko, co już miałam, tak po prostu zabierze. Gdy patrzę na plakaty wyborcze Gruzńskiego Marzenia, to czuję, jakby ktoś pluł mi w twarz. Mają nas za debili.

Kampania rządzącej partii prowadzona jest przemysłnie. Na niebieskim tle z unijnymi gwiazdami czytamy hasło: „W pokoju, z godnością i dobrobytem do Europy!”. Tyle że Europa przestała już rozmawiać z politykami Gruzńskiego Marzenia. Anulowała też pieniądze: 121 mln euro, które miały być przeznaczone na wsparcie członkostwa w UE i rozwój gospodarki. Unia planuje też sankcje. Mowa jest o likwidacji bezwizowego ruchu. Podobnie na antydemokratyczne zmiany reagują USA: przygotowały pakiet sankcji przeciw tym, którzy są odpowiedzialni za podważanie demokracji.

Jednocześnie Zachód demonstracyjnie rozmawia z proeuropejską prezydentką Salome Zurbiszwili. – Czytamy to jako znak, że Zachód się od nas nie odwrócił, ale że nie chce rozmawiać z prorosyjskim rządem – uważa Tamuna.

OPOZYCJA | Salome Zurbiszwili skonsolidowała wokół siebie opozycję. Podpisano „Gruzską Kartę”: deklarację wspólnego frontu przeciw Gruzowskiemu Marzeniu.

W wyborach startuje więc jedna partia byłego premiera z ramienia Marzenia, Giorgiego Gacharii, a także trzy bloki opozycyjne. Dwa są związane ze Zjednoczonym Ruchem Narodowym (partią założoną jeszcze przez Saakaszwiliego). Trzeci blok stoi w opozycji zarówno do Marzenia, jak też „miszystów” (jak nazywa się popleczników byłego prezydenta).

– Moi rodzice są „miszystami” – mówi Tamuna. – Ja oddam głos na Girczi, partię opozycyjną, która też jest powiązana z jego ekipą.

Maiko skłania się ku temu samemu, ale jeszcze nie zdecydowała. Na pewno nie odda głosu Gruzowskiemu Marzeniu. Uważa, że to jest walka o wszystko.

Dziewczyny mają jednak świadomość, że Marzenie nie podda się łatwo. – Niedawno była amnestia, więc całe rodziny zwolnionych z więzień i środowiska kryminalne zagłosują na Marzenie... – przypuszcza Tamuna.

– Plus ci, których skorumpują – dodaje Maiko. – I ci na państwowych posadach: urzędnicy, nauczyciele. Boją się, że jak przyjdzie nowa władza, stracą pracę. Po wszechnie wiadomo też, że zmusza się ich do oddania głosu na Marzenie, zwłaszcza na prowincji. Ludzie, którzy mają po 40 lat lub więcej, nadal mają sowiecką mentalność. Myślą, że jeśli oddadzą głos na kogoś innego, to władza się dowie i będą problemy.

MIRAŻ | Jest jeszcze jedna kwestia, którą rozgrywa Marzenie: to obietnica przywrócenia integralności terytorialnej, czyli zwrotu Abchazji i Osetii Południowej. Politycy Marzenia mętnie przekonują, że aby to osiągnąć, muszą zdobyć większość konstytucyjną. Większość analityków gruzińskich twierdzi, że to iluzja. Ani Marzenie nie ma szans na taki wyborczy wynik, ani Rosja nie odda obu republik (po wojnie z 2008 r. uznała ich niepodległość).

Rodzice Tamuny, wygnańcy z Abchazji, nie wierzą w powrót do rodzinnego domu. Nie wierzy w to także Tamuna.

– Mam sentyment, wiadomo, choć przecież w ogóle nie pamiętam Abchazji. Jednak nie chcę wracać tam za wszelką cenę. Mając do wyboru zobaczenie Abchazji lub wolność, wybieram wolność. Ptak w klatce, nawet jeśli najpiękniej śpiewa, nadal jest niewolnikiem.

© STASIA BUDZISZ



Ulice Szatili. Bejrut, 13 października 2024 r.

Oczami Palestyńczyków

TEKST I ZDJĘCIA **AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA** Z OBOZU SZATILA (LIBAN)

Kolejne ich pokolenia żyją w miejscach zwanych obozami. Bez własnego państwa, ich dzieci i wnuki wciąż zwane są uchodźcami. „Chcemy pokoju i chcemy wrócić do Palestyny. Ale Izrael się nie zatrzyma” – uważa 27-letnia Nirmeen.

POŚRÓD LABIRYNTU CIASNYCH ULICZEK, przez które nie przecisnąć się samochód, za to dziesiątki pędzących skuterów zręcznie omija stragany, ludzi i śmieci, na plastikowym krześle siedzi mężczyzna.

Siedzi samotnie i patrzy na ścianę przeciwnieległego budynku. Patrzy ze spokojem, a na twarzy ma przyjazny uśmiech. Przedstawia się jako Abu Shadi Salhani, ojciec Shadiego, lat 72. I mówi, że czeka na śmierć.

Potem wybucha śmiechem. Ale oboje wiemy, że nie żartuje. Jego dom w Szatili, obozie dla takich jak on palestyńskich uchodźców, leży dziś w miejscu, którego zaraz może nie być. Położony jest bowiem zaledwie paręset metrów od – zbombardowanej niedawno – drogi między Szatilą a Bourj el-Barajneh, innym palestyńskim obozem. I trochę dalej od Ad-Dahiji, szyckiej dzielnicy na południu Bejrutu, która

dziś straszy pustymi ulicami zdewastowanymi przez izraelskie naloty.

Czas nowej inwazji

Od kiedy pod koniec września tego roku rozpoczęła się izraelska inwazja na Liban, dookoła Salhaniego jest głównie destrukcja.

Po długich miesiącach wymiany ognia z Hezbollahem (wspieraną przez Iran szyicką partią polityczną i organizacją militarną z Libanu), Izrael zdecydował się na radykalne kroki. Najpierw, na skutek akcji izraelskich służb, wybuchły pagery i walkie-talkie, z których korzystali bojownicy Hezbollahu. Potem rozpoczęła się inwazja. Bomby zniszczyły szyckie wioski na południu kraju i południowe przedmieścia Bejrutu. Część z nich przeznaczona była dla kierownictwa Hezbollahu, którego liderzy, w tym przywódca Hassan Nasrallah, zginęli w nalotach.

Ponad 1,2 miliona Libańczyków musiało opuścić swoje domy i szukać schronienia w innych częściach kraju, a prawie 2,5 tys. ludzi, w większości cywili, straciło życie.

Jako że źródłem inwazji był konflikt między Izraelem a Hezbollahem, libańska armia wstrzymuje się od działań przeciwko najeźdźcy. I to pomimo że na skutek izraelskiej inwazji cierpią nie tylko szyci, lecz również inne grupy wyznaniowe w Libanie, kraju głęboko podzielonym religijnie i politycznie.

Dziś jednak, choć wielu Libańczyków nie chce lub boi się do tego przyznać, to w obronie przed armią Izraela mogą liczyć tylko na Hezbollah.

Wieczni bezpaństwowcy

Salhani siedzi przed swoim domem i przygląda się życiu Szatili. Choć tak naprawdę od lat sypia już poza jej murami, ciasnymi i lepkimi od wilgoci. Dorobił się drugiego domu w bezpieczniejszej i bardziej zamożnej okolicy, z dala od problemów palestyńskich obozów. Ale Szatila to nie tylko brudne ulice i liche konstrukcje. To jego życie, jego społeczność, przyjaciele. I dlatego, mimo zagrożenia, każdego dnia wraca, by posiedzieć na krześle w zatęchłej uliczce.

Ten dom Salhaniego w Szatili wcześniej należał do jego rodziców. Byli uchodźcami z Palestyny: wygnani przez Izrael w 1948 r., znaleźli schronienie tutaj,



Na ulicach Szatili wiszą zdjęcia Palestyńczyków, którzy zginęli w walce z Izraelem. Napis na plakacie z Arafatem głosi: „Droga Palestyny nie jest usiana różami, lecz wybrukowana krwią męczenników”.

w libańskim Bejrucie. Na początku wydawało się, że będzie to schronienie tymczasowe, ale lata mijały, a Palestyńczycy nie mieli dokąd wracać. Z czasem namioty zamieniły się więc w bardziej trwałe konstrukcje, cztero- i pięciopiętrowe, utwardzane doraźnie, czym tylko się dało.

I choć do tej pory kolejne pokolenia Palestyńczyków rodzą się tutaj jako bezpaństwowcy, to ten kilometr kwadratowy ciasnych uliczek – na którym mieszka ok. 12 tys. spośród społeczności libańskich Palestyńczyków, liczącej dziś ok. 250 tys. ludzi – jest ich domem.

Domem, któremu daleko do ideału, który nie jest ani wymarzoną Palestyną, ani bogatą Europą czy Kanadą, dokąd ucieka stąd tak wielu młodych. Jest jednak symbolem trwania palestyńskiego narodu, jego namacalną pamięcią – co w obliczu izraelskiej destrukcji Strefy Gazy nabiera dodatkowej, symbolicznej wymowy.

Wygnańcy po raz kolejny

– To jest mój rodzinny dom. W tym domu moja matka urodziła dwanaścioro dzieci. Rodziła co roku – od roku 1949 do 1961. Potem moje dzieci urodziły się już w Libii, gdzie pracowałem przez 11 lat. Dziś mieszkają za granicą, w Niemczech i Szwecji. Ale przez lata mieszkaliśmy tutaj i to tu są nasze korzenie – mówi Salhani. – Moje siostry mieszkają na południu Libanu. To o nie się boję najbardziej – dodaje.

Czy śmierć przyjdzie, czy też nie – to nie ma dla Salhaniego większego znaczenia, bo wierzy, że wszystko jest w rękach Boga. A Bóg jest dobry i sprawiedliwy. Salhani widzi jednak popłoch u reszty społeczności.

Choć ciężko w to uwierzyć, patrząc na stale zatłoczone uliczki Szatili, od początku izraelskiej inwazji wielu jej mieszkańców opuściło obóz. Setki Syryjczyków i Palestyńczyków z Syrii, którzy wcześniej, w czasie syryjskiej wojny domowej, uciekli stamtąd i znaleźli schronienie w libańskiej Szatili, teraz, po rozpoczęciu bombardowań Bejrutu, spakowały walizki i opuściły obóz.

Jednak większość z nich nie miała gdzie się podziać. Naprędce otwarte schroniska w szkołach, w środkowej i północnej części kraju, przeznaczone dla wojennych przesiedleńców, przyjmują tylko Libańczyków. Z braku innego wyjścia, po wielu latach na uchodźstwie, tysiące Syryjczyków – w tym syryjskich Palestyńczyków – powróciły do Syrii. Decydując się na to, pomimo że reżim Baszara al-Asada nadal prześladowuje przeciwników politycznych.

Pamięć o masakrze

Salhani uważa, że ludzie uciekają z Szatili, bo ta izraelska inwazja na Liban wygląda mniej przewidywalnie niż poprzednia z roku 2006. Wtedy w ciągu 34 dni życie straciło ponad tysiąc ludzi, a 900 tys. musiało opuścić swoje domy. – Wtedy

mniej więcej wiedzieliśmy, gdzie będą spadać bomby. Dziś to jest loteria. To zdecydowanie najstraszniejszy moment w historii obozu, który przeżyłem – przekonuje Salhani.

A obóz widział już straszne rzeczy. W 1982 r. Izrael najechał na Liban, by ostatecznie rozprawić się z Organizacją Wyzwolenia Palestyny – grupą polityczno-militarną, mającą na celu utworzenie palestyńskiego państwa. Jej militarne skrzydło od końca lat 60. organizowało zbrojne akcje przeciw Izraelowi, w tym z terenów południowego Libanu.

We wrześniu 1982 r. nacjonalistyczna milicja maronicka, występująca pod nazwą Siły Libańskie i wspierana przez armię izraelską, dokonała masakry libańskich szyitów i Palestyńczyków właśnie w Szatili, a także w sąsiedniej Sabrze. Wedle różnych szacunków w czasie dwudniowego szturm na obóz zginęło od 1300 do 3,5 tysiąca ludzi. Do dziś zbrodnia ta uznawana jest za jedną z bardziej tragicznych kart libańskiej wojny domowej, która toczyła się pomiędzy różnymi frakcjami i grupami wyznaniowymi w latach 1975-1990.

„Doktryna Ad-Dahiji”

Od tamtej inwazji w 1982 r. armia izraelska okupowała południowy Liban. Wprawdzie w 2000 r. wycofała się, ale sześć lat później, w odpowiedzi na przygraniczne ataki Hezbollahu, Izrael znów najechał sąsiada i rozpoczął trwający ponad miesiąc ostrzał kraju.

To wówczas ukuto termin „doktryna Ad-Dahiji” – nazwa wzięła się od sztychów dzielnic w południowym Bejrucie, uważanych za bastion Hezbollahu, które zarówno w 2006 r., jak i teraz stały się celem izraelskich nalotów i ostrzałów. Doktryna ta ma zakładać niszczycielskie ataki na dzielnice mieszkalne i niszczenie cywilnej infrastruktury, w tym wodociągów, szkół, szpitali czy zbiorników na wodę.

Salhani uważa, że tegoroczna inwazja przewyższa koszmarem tę z 2006 r.

Opinię tę potwierdza Nirmeen, 27-letnia piękność z Szatili. Choć podczas poprzedniej wojny miała jedynie dziewięć lat, pamięta, co się wtedy działo. Dziś na jej długich czarnych włosach widnieją już nitki siwizny. Życie w Szatili nie oszczędza nikogo, a Nirmeen jest młoda i chce żyć. Marzy o wyjeździe na studia magisterskie ➔

→ do Kanady, ale nie wiadomo, kiedy to będzie możliwe. Na razie skończyła licencjat z *public relations* na jednym z bejruckich uniwersytetów, ale nie ma stałej pracy.

Nirmeen ucieka i wraca

Jako Palestynka z syryjskim paszportem, Nirmeen nie może wykonywać większości dobrze płatnych prac. Wprawdzie jej matka jest Libanką, ale w Libanie kobiety nie przenoszą obywatelstwa na swoje dzieci. Nirmeen mogła zatem ubiegać się jedynie o paszport syryjski – po ojcu, który był Palestyńczykiem z Syrii.

Był, bo w 2016 r. został zastrzelony po tym, jak wydał wojnę obozowym dealerom narkotyków. Odpowiadał w Szatili za bezpieczeństwo i podczas jednego z nocnych dyżurów dostał kulę w obojczyk. Nie zdążono go uratować. Dziś jego portrety wiszą na murach Szatili koło portretów Jasera Arafata, wieloletniego przywódcy OWP, a także obok portretów Palestyńczyków z Gazy, którzy zginęli (tutaj mówią: męczenników).

Gdy Izrael zaczął ostrzeliwać sąsiednie rejony, Nirmeen, najmłodsza z rodzeństwa, zarządziła ewakuację całej rodziny mieszkającej w lichym czteropiętrowym bloku: – Pojechaliśmy do siostry, która mieszka w bezpiecznej części Bejrutu.

Następnego dnia Nirmeen i jej rodzina postanowili jednak wrócić do Szatili. – Nie czuję się bezpiecznie, gdy nie jestem u siebie w domu. Jeśli mam umrzeć, to chcę, żeby to się stało tutaj – tłumaczy.

Póki noce są ciepłe

Nirmeen uważa, że Izrael do tej pory nie zbombardował palestyńskiego obozu, bo poza biedotą nie ma tutaj nic: ani infrastruktury, ani żadnego centrum dowodzenia, ani liderów. A przecież – jak na razie – deklarowanym celem nalotów jest Hezbollah. Bo to on od lat jest jedyną siłą w Libanie, walczącą zbrojnie o prawa Palestyńczyków.

Aby zapomnieć o tym, co się dzieje, Nirmeen i jej rodzina starają się każdą wolną chwilę spędzać wspólnie. Gdy nie są razem, piszą do siebie wiadomości. Nirmeen jest też wolontariuszką w szkole, która w ostatnich tygodniach została przekształcona na obóz dla uchodźców z Ad-Dahiji i południowych rejonów kraju. Pomaga rozdawać jedzenie, rozmawia z przesiedleńcami. Choć nie jest pewna, czy szkoła to bezpieczne miejsce.



Abu Shadi Salhani przed swoim domem w Szatili. Bejrut, 13 października 2024 r.

Jednak przynajmniej uchodźcy czują się tu w miarę bezpiecznie. W kompleksie policealnej szkoły technicznej, składającej się z czterech sporych bloków, 1 października miał się rozpocząć rok szkolny. Ale się nie zaczął – dziś każdą salę lekcyjną zajmuje inna rodzina. Jak na razie miejsca starcza dla ponad 1100 osób. Na dziedzińcu dzieci grają w piłkę nożną, wolontariusze z palestyńskiej organizacji pomocowej czekają na instrukcje, rodziny z małymi dziećmi w wózkach spokojnie spacerują.

Każdy marzy, by wrócić do domu. I jest wdzięczny, że inwazja zbiegła się z okresem, gdy noce ciągle jeszcze są ciepłe. Gorzej byłoby zimą.

Miejsca, które nazywała domem

Nikt nie ma wątpliwości, że gdyby nie społeczeństwo obywatelskie, niezależne organizacje i wolontariusze, libańskie państwo nie poradziłoby sobie z kolejnym kryzysem.

Te trapią Liban od dawna. W 2019 r. rewolucja przeciw korupcji i sztucznemu systemowi politycznemu, który tylko wzmacnia sekciarskie i religijne podziały, wywróciła życie w kraju do góry nogami. Potem pandemia wzmogła mnożące się problemy. W końcu w sierpniu 2020 r., przy ciągle trwających społecznych protestach, eksplozja zmagazynowanych w bejruckim porcie łatwopalnych materiałów zniszczyła północno-wschodnią część Bejrutu.

Od lat różne libańskie kryzysy nakładały się na siebie, aż zabrały ludziom nadzieję na zmiany. Obecna wojna to „tylko” kolejne z wielu nieszczęść trawiących Liban.

Tymczasem w szkole-schronisku Nirmeen wita się ze wszystkimi. Um Yousif, matka Yousifa, siada na plastikowym krześle przed budynkiem, który na jakiś czas ma zastąpić jej dom, i zapala papierosa. Głęboko wciąga dym do płuc.

Um Yousif ma 64 lata. Zanim na stałe zamieszkała na południowych przedmieściach Bejrutu, niedaleko Bourj el-Barajneh (kolejnego z palestyńskich obozów), parę razy przyszło jej opuszczać miejsce, które nazywała domem.

Urodziła się jako dziecko przesiedleńców z Palestyny. W dzieciństwie i młodości tułała się z rodzicami po różnych obozach dla uchodźców. Najpierw na południe od Bejrutu, potem w samej stolicy. Łącznie mieszkała w trzech. Ma nadzieję, że teraz to jej ostatnie przesiedlenie.

Jednym głosem

Um Yousif wspomina chwilę, gdy kilkanaście dni temu opuszczała swój ostatni dom w Bejrucie: – Nocne bombardowanie było intensywne. Z moim synem i 93-letnim sparaliżowanym ojcem najpierw przemieściliśmy się na parter domu. Potem udaliśmy się do mojej siostry. Nawet nic ze sobą nie zabraliśmy. Później okazało się, że możemy zatrzymać się tutaj.

– Żadne miejsce w Libanie nie jest dziś bezpieczne – uważa Um Yousif, która chciałaby tylko wrócić do siebie. Do domu. Lub do tego, co z tego domu zostało.

Liczy, że wojna może się zakończyć w każdej chwili. Ale to tak naprawdę niczego nie zmieni. Dopóki trwa okupacja Palestyny, dopóki nie ma palestyńskiego państwa, dopóty walka z Izraelem będzie trwać – tak to widzą.

Nikt z Palestyńczyków, z którymi rozmawiałam, nie wierzy, że ataki Izraela, które pozbawiły życia przywódców Hezbollahu, zdołały osłabić organizację. – Tu chodzi o ideę. Ludzie wierzą w ideę. I Palestyńczycy, i Libańczycy. Tu nie chodzi o konkretnych ludzi, każdego można zastąpić kimś innym – uważa Nirmeen.

– Chcemy tylko pokoju: i w Libanie, i w Gazie – zapewnia dziewczyna. – I chcemy wrócić do Palestyny. Ale Izrael nigdy się nie zatrzyma. On chce nie tylko Palestyny, ale i Libanu, i Jordanii, i Syrii. Tak długo, jak długo będzie trwała okupacja, będzie trwał i nasz opór.

Wszyscy Palestyńczycy w obozie i poza nim mówią dziś jednym głosem.

© AGNIESZKA PIKULICKA-WILCZEWSKA

Żywe tarcze

PATRYCJA BUKALSKA
Z WIELKIEJ BRYTANII

Irlandczycy uczestniczą w libańskiej misji ONZ od 1978 r. Ale nigdy nie budziło to na Zielonej Wyspie takich emocji jak dziś, gdy ich misja staje się coraz trudniejsza.

IRLANDZKI POSTERUNEK PRZY NIEBIE-
skiej Linii, tj. wyznaczonej przez ONZ
linii demarkacyjnej rozdzielającej Izrael
i Liban, nosi kryptonim UNP 6-52. Sta-
cjonuje tam pluton: ok. 30 Irlandczyków
z UNIFIL, sił pokojowych ONZ w połu-
dniowym Libanie.

Na początku października, gdy w rejo-
nie pobliskiej wsi Maroun al-Ras trwały
walki między armią izraelską a Hezbolla-
hem, Izraelczycy rozmieścili swoje czołgi
przy posterunku 6-52 i prowadzili stąd
ostrzał. UNIFIL i rząd Irlandii uznały to
za zagrożenie dla swoich żołnierzy, prote-
stowały i apelowały o wycofanie sił izrael-
skich. Z kolei Izrael uważał, że to „błękitne
hełmy” powinny się ewakuować, dla wła-
snego bezpieczeństwa. Jednak Irlandczycy
nigdzie się nie wybierają – są zdetermino-
wani, by zostać. Podobnie jak żołnierze
z innych krajów (niedaleko od 6-52 jest po-
sterunek 6-50, z załogą polsko-irlandzką).

„Są oczami i uszami społeczności międ-
zynarodowej” – oświadczyła irlandzka
armia. „To oburzające, że izraelskie siły
zbrojne groziły siłom pokojowym i do-
magaly się od nich ewakuacji z wiosek,
których bronią” – stwierdził prezydent
Irlandii Michael D. Higgins. „To bezpod-
stawne i zaogniające sytuację oskarżenia”
– odparła ambasada Izraela w Dublinie.

INCYDENTY | Po jakimś czasie Izrael-
czycy oddalili się od posterunku 6-52, ale
kolejne dni października przyniosły se-
rię innych incydentów, w których armia
izraelska naruszyła bezpieczeństwo sił
pokojowych. Ostrzał z czołgu zniszczył
wieżę obserwacyjną w siedzibie misji
ONZ w Naqoura, ostrzelany został też po-
sterunek w Labbouneh. W bazie Ramiya
dwa izraelskie czołgi zniszczyły główną



Irlandzkie „błękitne hełmy” patrolują okolice wsi Mardż Ujun, zamieszkaną w większości przez libańskich chrześcijan. Liban południowy, 5 października 2024 r.

bramę i wjechały na ONZ-owski teren.
Do połowy października rannych zostało
kilku żołnierzy UNIFIL.

Działania Izraelczyków wobec sił po-
kojowych potępiło kilkadziesiąt zaangażo-
wanych w tę misję krajów i sekretarz
generalny ONZ António Guterres. „Każdy
umyślny atak na siły pokojowe stanowi
poważne naruszenie międzynarodowego
prawa humanitarnego i rezolucji Rady
Bezpieczeństwa nr 1701 (2006)” – oświad-
czył rzecznik UNIFIL. Nie zmienia to sta-
nowiska Izraela: premier Netanjahu nie-
zmiennie nalega na wycofanie „błękit-
nych hełmów” z przygranicznego rejonu.

MISJA | Siły UNIFIL w Libanie liczą ok.
10 tys. żołnierzy (w tym obecnie 300 Ir-
landczyków i ponad 200 Polaków). Zo-
stały powołane w 1978 r. Fakt, że ich mi-
sja trwa od kilku dekad, pokazuje, jak jest
trudna, jeśli nie niemożliwa.

Obecnie ich zadanie to monitorowanie
rozejmu, który zakończył wojnę Izraela
z Hezbollahem w 2006 r. W pasie między
Błękitną Linia a rzeką Litani (ma ona źró-
dła w dolinie Bekaa, przecina Liban rów-
noleżnikowo i uchodzi do Morza Śród-
ziemnego) nie powinno być żadnych in-
nych sił zbrojnych poza armią libańską
i UNIFIL. Powinna tam też bez przeszkód
docierać pomoc humanitarna.

Rzeczywistość jest inna. Hezbollah nie
wycofał się, także Izraelowi zdarzało się
naruszać warunki porozumienia. Teraz
zaś prowadzi tam ofensywę lądową.

TARCZE | Irlandczycy służą w misji UNI-
FIL od początku. Dotąd stracili w Libanie
47 żołnierzy, ostatni raz w 2022 r. Część
w wypadkach, ale były też incydenty, gdy
ich ostrzeliwano – jak właśnie w grudniu

2022 r. (wówczas podejrzewano o to He-
zbollah; organizacja nie przyznała się do
ataku).

„Przez kilkadziesiąt lat jako żołnierze
sił pokojowych działaliśmy jak *de facto*
ludzkie tarcze, próbując chronić niewin-
nych libańskich cywilów przed Hezbolla-
hem z jednej strony i przed armią izrael-
ską z drugiej strony” – podkreśla w dzien-
niku „Guardian” Tom Clonan, irlandzki
senator i emerytowany oficer.

Clonan, który brał udział w misji w Li-
banie w 1996 r., przypomina, że ataki na
posterunki ONZ nie są niczym nowym,
np. w kwietniu 1996 r. siły izraelskie
ostrzelały bazę w Kanie, gdzie schronili
się libańscy cywile. Zginęło ponad sto
osób. Izrael twierdził, że do ostrzału do-
szło w wyniku pomyłki, ale raport ONZ
uznał, że było to celowe.

Zdaniem Clonana najbliższe tygo-
dnie mogą być dla „błękitnych hełmów”
trudne i groźne, a „jedyne, co Irlandczycy
mogą zrobić, to obserwować, rejestrować
i raportować działania wszystkich stron
konfliktu. Będą mieć nadzieję, że ocala
ludzkie życie, sami przeżyją i wrócą do
swoich rodzin”.

RYZYKO | Położenie „błękitnych heł-
mów” w Libanie istotnie staje się coraz
trudniejsze, zwłaszcza w takich miej-
scach jak UNP 6-52. ONZ nie chce ich jed-
nak wycofywać, nie mówi też o tym za-
den z krajów uczestniczących w misji.

W Irlandii zaś pozostaje ponad 70 żoł-
nierzy z kontyngentu, którzy w chwili,
gdy Izrael zaczął swą operację, byli na
urlopie. Ich transfer nie jest teraz moż-
liwy. Martwią się o swoich towarzyszy
i – jak mówią – bez względu na ryzyko
chcą do nich dołączyć. ©P

Wojna cuchnie

ANNE NIVAT, FRANCUSKA KORESPONDENTKA WOJENNA:

Bojownicy Państwa Islamskiego gardzili mną za to, że jestem kobietą, jestem z Zachodu i jestem dziennikarką. Nie przestałam z nimi rozmawiać, chciałam dowiedzieć się, co siedzi w ich głowach.

SZYMON ŁUCYK: Pani ostatnia książka „La Haine et le déni” („Nienawiść i zaprzeczenie”), wydana w tym roku we Francji, jest równoległym spojrzeniem na trwającą dziś wojnę oczami zwykłych Ukraińców i Rosjan. Korespondent wojenny może być bezstronny?

ANNE NIVAT: Ależ oczywiście! Wszystkie moje książki tego dowodzą. Jest w mojej naturze, że ciekawi mnie człowiek. Tak było, gdy pisałam o Czeczenii, Iraku, Afganistanie i Syrii, i tak jest w przypadku Ukrainy i Rosji. Wszystkie wojny są do siebie podobne. To, co je różni, to odczucia zwykłych ludzi biorących w nich udział. One najbardziej mnie zajmują.

„Po co rodzić dzieci, jeśli mają ginąć na wojnie?” – pyta w tej książce kobieta z Buriacji, regionu Rosji, skąd Kreml masowo rekrutuje żołnierzy.

Mocne zdanie, podałam je bez komentarza. Najważniejsze jest dla mnie relacjonowanie tego, co mówią moje źródła. To nie my, dziennikarze, jesteśmy bohaterami, tylko nasze źródła. Trzeba ich słuchać, mieć dla nich szacunek. Nie przerywać wywiadu, nawet jeśli to, co mówią, nam się nie podoba.

Używając formuły Kapuścińskiego, w swoich reportażach – tak wojennych, jak i opisujących powojenną Francję – daje Pani głos „ubogim”, tj. zwykłym ludziom.

Napisałam książkę o wojnie, którą sprowokowała inwazja Rosji na Ukrainę, gdyż chciałam zobaczyć i opisać, co przeżywają ludzie po obu stronach frontu. Jestem reporterką, nie polityczką czy aktywistką. Kocham pracę reporterską. Chcę to robić, konfrontując się z rzeczami, z którymi niekoniecznie się zgadzam. Gdy byłam w Syrii i Iraku, miałam do czy-

nienia z bojownikami Daesh [Państwa Islamskiego – red.], którzy gardzili mną za to, że jestem kobietą, że jestem z Zachodu i że jestem dziennikarką. Czy przestałam z nimi rozmawiać? Nie, robiłam dalej wywiady, bo chciałam dowiedzieć się, co siedzi w ich głowach.

Dwie osoby, którym dedykuje Pani swoją książkę, to zmarła w 2023 r. badaczka Rosji Héléne Carrère d'Encausse, promotorka Pani doktoratu, a także ukraiński żołnierz imieniem Oleg. Proszę o nim opowiedzieć.

To był listopad 2022 r. Na mój ukraiński telefon dostaje esemesa „Jestem tu, przyjedziesz?” i zaznaczone „pinezką” miejsce obok wieży Eiffa. Nierealna sytuacja: nadawca to Oleg, którego poznałam w kwietniu 2022 r. na froncie koło Mikołajowa na południu Ukrainy. Wskoczyłam na rower i pojechałam, trzy razy o mało się rozbiłam na ulicy. Gdy dotarłam, wysiadł z auta, w mundurze. Wpadliśmy sobie w objęcia. Przyjechał do Francji, aby pokazać swojej żonie i siostrzenicy wieżę Eiffa.

Oleg zginął 20 maja 2023 r. w rosyjskim ostrzale artyleryjskim pod Bachmutem. Był jednym z pierwszych Ukraińców, od których usłyszałam, że są rozczarowani Zachodem. Był zły na nas, ludzi Zachodu. Powiedział mi: „Za późno zaczęliście interesować się Ukrainą”. Miał rację. Dopiero za sprawą wojny – wiem, że brzmi to okropnie – Ukraina zaczęła istnieć na zachodniej mapie Europy. Boli mnie to.

Byli jednak i wciąż są także prorosyjscy Ukraińcy.

Wymienię tu jednego, którego spotkałam: członka parlamentu regionalnego we wspomnianym Mikołajowie, Wołodymyra Frolenka, wybranego z ramienia prorosyjskiej partii Opozycyjna Platforma – Za Życiem [przed inwazją największa

prorosyjska partia w Ukrainie – red.]. Przed lutym 2022 r. miała większość w regionalnym parlamencie. Frolenko i jego koledzy zostali wybrani demokratycznie, bo Ukraina jest demokracją. Ale po inwazji jego partia, jako prorosyjska, została zdelegalizowana. Niektórych Ukraińców, jej wyborców, to boli; czują, że nie mają już prawa głosu. Moim obowiązkiem jako reporterki jest pokazać wszystko, także opinie ludzi, którzy tak myślą.

Pracując nad książką o wojnie rosyjsko-ukraińskiej, wróciła Pani do Czeczenii, ponad 20 lat od pierwszego tam pobytu. Dlaczego?

Moją karierę reporterską zaczęłam od korespondencji z drugiej wojny czeczeńskiej [zaczęła się w 1999 r. – red.]. Do Czeczenów mam szczególny stosunek. Teraz, po inwazji na Ukrainę, słyszałam od nich: „Widzisz, Ukraińców spotyka to samo, co stało się z nami. Historia zaczyna się od nowa, tyle że nam nikt nie pomógł. Ukraińcy mają szczęście, bo Europa Zachodnia im pomaga”. Jest w tym wiele gorczy.

Pracując nad „Nienawiścią i zaprzeczeniem”, mogłam znów napisać o rodzinie, która gościła mnie przed 20 laty w małej czeczeńskiej wiosce. W ich domu przeżyłam wiele nocy pod bombami. Przeszliśmy razem wiele, opowiedziałam o tym w mojej pierwszej reporterskiej książce pt. „Suka wojny”. Gdy poznałam tych Czeczenów, cztery córki były jeszcze dziewczętami, jedna piękniejsza od drugiej. Przeżywałam z nimi śmierć ich ojca.

Teraz, po 20 latach, odnalazłam dwie z tych dziewczyn w Moskwie, gdzie dziś mieszkają. Dwie zostały w Czeczenii. Pojechałam także na Kaukaz, rozmawiałam także z ich matką. Dziś na wojnie w Ukrainie jedni Czeczeni walczą przeciw Rosjanom, a inni biją się po stronie rosyjskiej. Żołnierze czeczeńscy są po obu stronach.

To, że Czeczeni solidaryzują się z Ukraińcami, łatwo nam zrozumieć. Trudniej, dlaczego ryzykują życiem za reżim Putina?

Czeczeni, którzy zaciągają się do walki przeciw Ukraińcom, wierzą, że biorą udział w dżihadzie, świętej wojnie z niewiernymi. Obecne władze Czeczenii narzuciły im ten punkt widzenia. Oni uznają walkę po stronie Rosji za ratowa-

nie narodu czeczeńskiego. Dzisiejsza Czeczenia przypomina Rosję w miniaturze, tyle że bardziej brutalną. Nie możesz tam mieć innej opinii niż prorosyjska. Jeśli wyrażasz inne zdanie, trafiasz do więzienia lub giniesz.

Zbierając materiał do książki, spotkała Pani wiosną 2023 r. przywódcę Czeczenii Ramzana Kadyrowa. Dygnitarze czeczeńscy zgodzili się na to, bo, jak mówił jeden z nich, miała Pani „zaszczyt” robić w 2000 r. wywiad z jego ojcem Achmatem, ówczesnym prezydentem Czeczenii.

Uściślię: nie rozmawiałam z Ramzanem Kadyrowem twarzą w twarz. Wiedziałam, że miał przyjechać na inaugurację bazy wojskowej przy granicy z Inguszetią. Doostałam się na jego spotkanie jako jedyna przedstawicielka zachodnich mediów obok miejscowych dziennikarzy, a podczas spotkania zadałam mu pytanie. Kadyrow zawdzięcza całą władzę Putinowi, bez niego nie istnieje. Co oznacza, że jest zdolny do wszystkiego, by zostać u sterów. Chce pokazać, że to dzięki Rosji Czeczenia jest stabilnym krajem, muzułmanie mają wolność wyznania i wszędzie są meczety.

Pisze Pani: „Rosyjskie społeczeństwo nie jest bierne, jest śmiertelnie przerażone”.

To oczywiście, że nie wszyscy w Rosji popierają Putina. Ale jawnie sprzeciwia się mu tylko mniejszość. Dla francuskiego tygodnika „Le Point” relacjonowałam w Białymostku [rosyjskim mieście blisko granicy z Ukrainą – red.] wybory prezydenckie w Rosji w marcu 2024 r. Nie jestem jedyną, która sądzi, że nawet bez oszustw Putin znów zostałby wybrany na prezydenta w tych wyborach. Jest u władzy od 24 lat. Miał mnóstwo czasu, by zniszczyć całą opozycję wewnątrz systemu i na zewnątrz.



ERIC FOUGERE / CORBIS / GETTY IMAGES

ANNE NIVAT (ur. 1969) jest jedną z najbardziej znanych francuskich reporterek wojennych. Doktor nauk politycznych, była korespondentką w Moskwie. Specjalizuje się w krajach byłego bloku sowieckiego. Autorka kilkunastu książek, laureatka prestiżowej nagrody reporterskiej im. Alberta Londres’a za wydaną w 2000 r. książkę „Chienne de guerre” („Suka wojny”). Obecnie współpracuje z tygodnikiem „Le Point” i telewizją informacyjną LCI.

Mimo to są wciąż w Rosji ludzie, którzy mają odwagę sprzeciwiać się wojnie w Ukrainie. Myślę zwłaszcza o dwóch młodych prawniczkach, które pojawiają się w Pani książce.

Jedną spotkałam w Kalinigradzie, drugą w Buriacji. To Tatiana Stecura i Nadezda Nizowkina. Obie wykonują rzetelnie swoją pracę prawniczą, wspierają osoby dyskryminowane przez władze. Nie robią nic nielegalnego. Obie wręcz nalegały – jako jedyne spośród moich rosyjskich rozmówców – abym zostawiła w książce ich pełne personalia.

Mówiły: „Anno, nie zgadzamy się, żebyś usunęła nasze nazwiska”. Ich zdaniem pisanie o nich może je uratować przed represjami, bo zapewnią rozgłos ich działaniom. Mają rację. To mądre z ich strony, że tak działają, zamiast się bać.

Doświadczona reporterka wojenna twierdzi: „Wojna cuchnie”. Pani to napisała.

Tak uważam. Korespondent wojenny nie może powiedzieć nic innego. Wojna obala wszystkie ludzkie wartości i relacje. Wszystko, w co wierzysz, wraz z wojną przestaje istnieć. Nie możesz już posłać dzieci do szkoły, nie masz domu ani poczucia bezpieczeństwa. Nie mam słów na wyrażenie tego, jak bardzo Ukraińcy, którzy cierpią już ponad dwa i pół roku wojny, są bohaterami. Wcześniej widziałam to na przykładzie Czeczenów. A ludzi z wszystkich narodów, których spotykałam, chcąc tego samego: żyć bezpiecznie, wyżywić swoje dzieci, zapewnić im przyszłość, spokojnie się zestarzeć.

Pojedzie Pani jeszcze relacjonować tę wojnę?

Tak, jeśli tylko będę miała taką możliwość. Trudno jest mi przestać interesować się tym, co się dzieje w Ukrainie. Wybuch tej wojny był dla mnie ciosem w serce. Ważnie między Rosjanami a Ukraińcami, już wcześniej niebywale groźne, teraz przerodziły się w niepomaganą nienawiść. Nie wyobrażam sobie, żeby ta nienawiść mogła wkrótce zniknąć. Choć na przykład Francja i Niemcy pogodziły się ze sobą po dwóch światowych wojnach.

Po prawie pół wieku.

I myślę, że co najmniej tyle samo czasu będzie trzeba na pojednanie między Ukraińcami a Rosjanami.

© Rozmawiał w Paryżu SZYMON ŁUCYK

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA” DODATEK SPECJALNY

Festiwal Ars Cameralis – „Miłość”

a w nim:

- rozmowy z gościem festiwalu ANTHONYM PASSERONEM oraz organizatorami MARKIEM ZIELIŃSKIM i TOBIASZEM MELANOWSKIM
- szczegółowy program festiwalu



Województwo
Śląskie

**Ars
Cameralis
Silesiae
Superioris**

Ars Cameralis jest
Instytucją Kultury
Samorządu
Województwa
Śląskiego

„TYGODNIK” Z DODATKIEM W KIOSKACH OD ŚRODY 30 PAŹDZIERNIKA

Honwedzi z Goszczy

KRZYSZTOF PIĘCIAK

Choć od I wojny światowej mija 110 lat, w lasach i górach dawnej Galicji i Kongresówki wciąż odkrywane są jej ofiary. Czasem udaje się ustalić ich tożsamość – i zawiadomić rodziny.

PIERWSZEGO Z NICH ODNALEZIONO w 2010 r. przypadkiem: podczas robót budowlanych na wzgórzu Kielnik koło Goszczy, na północ od Krakowa. Badania obejmowały teren, gdzie spodziewano się znaleźć ślady z pradziejów, miały więc odbywać się pod okiem archeologa.

Były to szczątki mężczyzny ze strzępami płaszcza i wojskowymi guzikami. Przymaszerował tu zapewne z daleka – może spod Jarosławia i Rawy Ruskiej, gdzie zaczynała Wielką Wojnę jego dywizja. Miał znoszone buty. Jeden z nich, zapewne zbyt mały (żołnierz nosił buty w różnych rozmiarach), zdeformował kości stopy. Kolor munduru, guziki i amunicja do karabinu Mannlicher nie pozostawiała wątpliwości, że był żołnierzem austro-węgierskiej armii.

Kolejnych honwedów też odnaleźli badacze: zespół archeologa dr. Marcina Czarnowicza z UJ oraz dr. inż. Adama Zakrzewskiego z AGH, badający pole bitwy z jesieni 1914 r. w tzw. lesie goszczańskim – resztki okopów, dołki strzeleckie oraz ziemianki – i konfrontujący je z archiwali. Wynikiem ich badań mają być monografia „Nieznana bitwa pod Krakowem 1914” (jej publikacja planowana jest na koniec tego roku) i ścieżka edukacyjna, która poprowadzi śladami tej bitwy.



ZE ZBIORÓW JAROSŁAWA KŁAJ

Żołnierze 17. Pułku Piechoty Honwedów, sierpień 1914 r. Na czapkach i karabinach kwiaty, na mundurach kokardy w węgierskich barwach – takie pożegnalne zdjęcia robiono przed wymarszem na front. 110 lat temu pułk ten walczył pod Krakowem.

HONWEDZI | Kim był żołnierz odnaleziony na wzgórzu Kielnik? Zapewne pozostanie nieznany – nie miał znaku tożsamości, tzw. *Totenkapsla*, jak nazywali je żołnierze armii austro-węgierskiej. Wiemy, że miał 18-22 lata, był raczej drobnej budowy i zginął najpewniej od rany brzucha. Archiwalia ujawniają, że w miejscu, gdzie go odnaleziono, walczył 16. Pułk Piechoty Honwedów, wchodzący w skład 39. Dywizji Piechoty Honwedów.

Znaki tożsamości mieli natomiast dwaj kolejni znaleźieni żołnierze: delikatne papierowe karteczki zachowały dane rezerwistów pochodzących z pogranicza dzisiejszych Słowacji i Węgier. Badacze czynią starania, aby odnaleźć i poinformować rodziny o odnalezieniu ich przodków. Ich uroczysty pogrzeb ma odbyć się w 2025 r.

110 lat temu ci dwaj zidentyfikowani polegli spoczęli w dołku strzeleckim wraz z jeszcze jednym kolegą, pochowani zapewne naprędce przez żołnierzy carskich, którzy wyparli honwedów z ich pozycji. Później miejsce pochówku przykryła warstwa śniegu, który, jak wiemy ze źródeł, z końcem listopada 1914 r. pokrył pola walk pod Krakowem.

POBOJOWISKO | Kolejną z odnalezionych żołnierskich mogił zlokalizowano w ciągu okopu carskiego, kilkaset metrów dalej. Pochowano w niej jednego żołnierza austro-węgierskiego. Pogrzebali go, znów zapewne w pośpiechu, carscy grenadierzy. Bez butów i czapki, zabranych być może przez marznięcych Rosjan.

Podczas pierwszych silnych mrozów z końca listopada 1914 r. tempera-

tura spadła w tej okolicy poniżej minus 10 stopni, a wiadomo, że żołnierzom brakowało zimowych czapek. Radzili sobie na różne sposoby: w jednej z ziemianek archeolodzy odnaleźli piec z rusztem wykonanym z luf karabinowych.

Śnieg przykrył wtedy także groby. „Mogiły tych, którzy odrzucili wroga spod Krakowa, wyglądają jak nikle fale na gładkim morzu śniegu. Tylko drewniane krzyże sterczą w bezkresnej bieli” – pisał w styczniu 1915 r. Ferenc Molnár, węgierski pisarz i wówczas korespondent wojenny, który oglądał podkrakowskie pobojuwisko.

Pół bitewnych na północ od Krakowa, leżących już na terenie dawnej Kongresówki, nie uporządkowano przed zakończeniem tamtej wojny tak starannie, jak tych w Galicji Zachodniej. Także dokumentacja – i austriacka, i polska z międzywojnia – pozostawia wiele znaków zapytania (np. w miejscu, gdzie pochowano trzech żołnierzy, archiwalia wskazywały mogiłę nawet stu ludzi). Wiele cmentarzy i mogił w tym rejonie uległo więc zapomnieniu i zniszczeniu. W konsekwencji bliscy poległych tu w 1914 r. żołnierzy nie poznali ich losów.

NASI Z BAŃSKIEJ | Kim byli honwedzi i skąd wzięli się pod Krakowem?

Armia Austro-Węgier stanowiła – w porównaniu choćby ze współczesnym wojskiem – twór skomplikowany: jej siły łądowe składały się z tzw. armii wspólnej i dwóch odrębnych Obron Krajowych: z cesarsko-królewskiej Landwehry w austriackiej części monarchii oraz z Honwedu, czyli królewskiej węgierskiej Obrony Krajowej.

Węgrzy traktowali Honwed jako „swoją armię”, akcentowano jej narodowy charakter. Podkreślały go węgierski język komendy (gdy w armii wspólnej i Landwehrze był nim niemiecki) i elementy umundurowania nawiązujące do węgierskich tradycji.

Terytorialny charakter poboru sprawiał, że w Honwedzie służyli nie tylko Węgrzy, lecz także m.in. Słowacy i Rumuni, a także górale ze Spisza i Orawy, stanowiących wtedy część Królestwa Węgier. Wiemy, że latem 1914 r. w 16. Pułku Piechoty Honwedu, który macierzyste koszarzy i okręg uzupełnień miał w Bańskiej Bystrzycy (dziś środkowa Słowacja), 56 proc. żołnierzy



Mogiła w lesie goszczańskim, postawiona po odnalezieniu szczątków żołnierzy. Wrzesień 2023 r.

mówiło po węgiersku, a 41 proc. po słowacku.

110 LAT TEMU | Obrony Krajowe były się na równi z żołnierzami armii wspólnej. Wyposażone podobnie, nie były – jak się czasem sądzi – formacją drugiego rzutu (inaczej było w armii niemieckiej, gdzie do Landwehry trafiali starsi wiekiem rezerwiści; ci w armii Habsburgów służyli raczej w Landsturmie, pospolitym ruszeniu).

Żołnierze Landwehry (w tym prapradziadek autora tego tekstu) i Honwedu walczyli więc 110 lat temu na Lubelszczyźnie i nad Sanem, a potem podczas odwrotu austro-węgierskiej armii, która „rosyjski walec parowy” zatrzymała w końcu w listopadzie 1914 r. na północ od Krakowa, m.in. w rejonie Goszczy.

Z początkiem grudnia na południe od Wisły ruszyła ofensywa – do historii przeszła jako operacja limanowsko-łapanowska – w wyniku której wojska carskie cofnęły się spod Krakowa. Tam też bili się bańskobystrzyccy honwedzi, przerwieni 7 grudnia 1914 r. do Limanowej i Tymbarku.

PAMIĘĆ | Las goszczański to niejedynie miejsce, gdzie trwają dziś poszukiwania mogił z I wojny światowej.

W poprzednich latach zespół dr. Czarownicza badał ślady i cmentarze w rejonie Jaślisk, Moszczańca oraz w okolicach Komańczy (tutaj m.in. w Zubeńsku

i Maniowie). Również w Bieszczadach i wschodniej części Beskidu Niskiego ponad sto lat temu nie starczyło czasu i środków, aby uporządkować wszystkie pobojuwiska. Wiele polowych cmentarzy, które wtedy zbudowano, nie zachowało się. Działają tam także pasjonaci i regionaliści – m.in. w Woli Michowej, gdzie w miejscowej kapliczce upamiętniono żołnierzy poległych tam w marcu 1915 r.

Poszukiwania na dużą skalę trwały przez kilka tygodni na szczycie Manyłowej (na współczesnych mapach: Łysy Wierch) w Bieszczadach. W leju powstałym po eksplozji ładunku, założonego przez austro-węgierskich saperów, złożono tam poległych w zażartych zimowych walkach (w tym żołnierzy 34. Pułku Piechoty, którzy kilka miesięcy wcześniej bili się pod Krakowem). Spośród 509 odnalezionych udało się zidentyfikować kilka węgierskich nazwisk.

Na powtórny pogrzeb tych 509 poległych, który odbył się 7 października 2023 r. na górskim cmentarzu zbudowanym na Manyłowej, przyjechali krewni jednego z tych zidentyfikowanych – Janosa Gabora.

©

Autor jest historykiem, pracuje w Biurze Poszukiwań i Identyfikacji Oddziału IPN w Krakowie. Ostatnio wydał: „W oddziale »Babinicza«. Działalność oddziału Konspiracyjnego Wojska Polskiego »Jastrzębiec«/»Oświećcim« i losy jego partyzantów”.



Tylko do 30 listopada masz szansę przedłużyć lub rozpocząć prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” w dotychczasowej, niższej cenie. Nie czekaj – już dziś wybierz swoją prenumeratę i zagwarantuj sobie nieprzerwany dostęp do wartościowych treści!

ZAPRENUMERUJ PÓKI TANIEJ

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartal – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny
Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

ELIZA

Kącka: Złe zachowanie



POCIĄG Z POZNANIA. DOSIADAM SIĘ DO pani na oko siedemdziesięcioletniej. „Pani do Warszawy?”. „A tak”. „Ja całą trasę sobie zafundowałam”. „Szczecin-Białystok? Nono”. „Była pani w Białymstoku?”. „Dawno”. „Dzisiaj są moje urodziny. Nie chciałam siedzieć

w domu”. „Aha”. „Zrobiłam sobie bilans i uznałam, że najmniej w życiu robiłam rzeczy bezcelowych. Białystok wydał mi się najbardziej bezcelowy z dostępnych rozkładów jazdy”. „Haha, to dyskusyjne”. „Owszem, mogłam wybrać Warszawę. Ale w Warszawie przynajmniej kogoś znam. A o Białymstoku nie wiem nic”. „To się pani dowie”. „Ja już nie chcę się dowiadywać. Chyba jakiś nocleg kupię, a jutro z powrotem do Szczecina”. „Aha”. „A mama mi mówiła, że nie można wyrzucać pieniędzy”. „Eetam, napatrz się pani”. „W Białymstoku chcę się źle zachowywać, ale nie mam pomysłu”. „Na złe zachowanie?”. „No tak, skoro już tam jadę bezcelowo, wie pani, to chcę raz w życiu się źle zachowywać”. „Jasne”. „Co można robić w ramach złych zachowań? W moim wieku?”. „U, nie wiem”. „No ja się w sumie nie dziwię. W moim wieku to z grubsza znaczy być złośliwym jak dziecko”. „Heh”. „Nie wiem, może pójść spać”. „Niezbyt złe”. „No, nie powiedziała bym. Pojechać do Białegostoku tylko po to, by tam spać? To bardzo złe zachowanie”.

POCIĄG DO POZNANIA. MŁODZI W SĄSIEDNIEJ PAKAMERZE: „ZAGADAŁEŚ MNIE I NIE WIDZIAŁAM W KOŃCU CHRYSUSA. NIE ZALICZYŁAM ŚWIEBODZINA, NIE ZALICZYŁAM”. „No i git. Po co ci to było?”. „Chciałam zobaczyć, czy jest taki olbrzymi naprawdę”. „Potężny. Naturalnej wielkości”. „Naturalnej?”. „No naturalnej dla bogów”. Z sąsiedniej pakamery siedzeniowej, głos starszy: „Bardzo ładnie się przeżegnałeś”. Głos dziecięcy: „A dlaczego ten pomnik chce, żebyśmy to jobili?”. „Nie pomnik, tylko Pan Jezus”. „Ale po co?”. Gość spod okna: „Bo jak tego nie zrobisz, zacznie nas gonić. Proste”.

AUTOBUS 116, MATKA Z SYNEM Z GRUBSZA TRZYDZIESTOLETNIM. „Jak to? Nie jedziesz na groby?”. „Myślałam, żeby wyjechać”. „Co?”. „Nie miałem urlopu”. „Na Wszystkich Zmarłych? Mój syn?”. Na wzburzeniu: „Widzisz, jak pani na ciebie patrzy – wskazuje na mnie – urlop w listopadzie!”. Młody: „Normalnie patrzy”. Uśmiecham się. Pauza. Starsza: „W mojej rodzinie!”. „Co?”. „Urlop świecki”. „Bosch, mama, a w sierpniu to religijny?”. „Jak ty nic nie rozumiesz!”. „Bo...?”. „Ty już jesteś nie nasz”.

AUTOBUS 119, MŁODA PRZY MNIE W TELEFON: „MAMAAA, NIE BYŁAM, ALE POJADĘ ZA TYDZIEŃ”. Pauza. „Już się nie wzmagam.

Godzinka wystarczy. Kwiaty kupię”. Pauza. „Tak, ciętych nie, mają dłużej postać”. Pauza. „A Krzysiek by nie mógł? On ma więcej czasu”. Pauza. „Nie licytuję się. Po prostu od niego nigdy nie wymagasz”. Pauza. „Tak, wiem, że mieszkam w ciotki mieszkaniu”. Pauza. „Mama, wiesz, gdybym wiedziała, to bym sprzedawała, a nie dawała do remontu”. Pauza. „Ja ranię?”. Pauza. „Jej uczucia?! Zwariowałaś”. Pauza. „Mama, szczerze, jakbym wiedziała, że raz na tydzień każesz mi odwiedzać grób ciotki, to bym nie dała sobie zapisać tego mieszkania!”.

POCIĄG DO KRAKOWA, SPÓŹNIONY. CZYTAM MROŻKA TERAPEUTYCZNIE. Kobieta od okna wyraźnie się wciągnęła, bo czuję, jak się wgapia. Za Miechowem nie wyrabia: „Zdjęłabym trochę z boku, jedno ciachnięcie”. „Hm – myślę – śmiało” – bo czytam akurat „Antropocentryzm”. Ona: „Przepraszam, choroba zawodowa. Szkoda, że wcześniej nie pomyślałam, to bym pani na trasie poprawiła. W toalecie”. „Aha”. „Ta grzywka mnie od Warszawy dręczy. Podatna głowa, podatna”.

PARK MORSKIE OKO, PO PRZEMARSZU WIELOKROTNYM WOKÓŁ stawu siadam w końcu na ławce, by ujarzmić wewnętrzny tupot. Wyciągam książkę, włączam latarkę w komórce. Po chwili głos z ławki sąsiedniej: „Tych okrażeń to ma być siedem?”. Zgłupiałam: „Yyy, nie”. „Ciekawy sport”. Gość z grubsza w moim wieku, z papierosem doklejonym do wargi dolnej „na Hłaskę”. „Co pani czyta?”. „Sama nie wiem”. Przytomnieję: „A wiersze czytam, Wierzyńskiego”. „Dziwna lektura, jak na park”. Milczymy. „A parkowa... to że rozrywka?” – pytam. „Nieee, tak mi się powiedziało”. Dodaje po chwili: „Ja zawsze przychodzę z książką”. „Uhm”. „I nigdy jej nie wyciągam”. „Heh”. „Teraz mam Becketta. Głupio”. „Nie, dlaczego głupio?”. „Głupio, bo nie mam siły czytać”. „Aha”. „Miesiąc temu chodziłem z Mannem. »Doktor Faustus«. Nie podrywam na książki”. Śmiejemy się. „Czy ja wiem, na Manna można by, wojackowy klimat”. „Trzeba by wyciągnąć z plecaka najpierw”. Chwila ciszy. „Bo wiesz – przestał paniować – kiedyś maniacko dużo czytałem. Potem rzuciłem książki. A teraz biorę je ze sobą jak kogoś, kto rozumie”. „Powiernik stanów”. „Tak. Mało pamiętam z Becketta, ale on pasuje. Mann już nie”. „Bywa”. „Ciemność wokół jest inna, inna”.

DZWONI STARUSZKA OD CIŚNIENIA: „PANI ELIZO, ŻYJE PANI?”. „Tak, ciągniemy”. „No to dobrze”. „Niech się pani nie przejmuję”. „Gdzie tam, przeciwnie. Mam w tym swój interes”. „Co mam zrobić?”. „Zaraz: zrobić. Nie zna pani przyjemności kontrolowania bliźnich?”. „A niezbyt”. „To niech się pani wczuje. Dzwonię do Kąckiej i wyobrażam sobie, że z nerwów znosi jajo”. „No świetnie, dziękuję”. „Proszę nie dziękować. Wbrew pozorom, służymy sobie”. „W sensie?”. „Ja się cieszę, że pani istnieje, a pani wie, że świat nie przestaje sprawdzać”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono”.

EKOBOJSTWA NIE BYŁO

Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej mieli nadmiernie eksploatować środowisko i doprowadzić swoją cywilizację na skraj zagłady.

Ich historia miała być przestrogą dla nas wszystkich.

Wyniki nowych badań podważają jednak ten mit o upadku.

KAMIL KOPIJ

Mit o upadku

Jednocześnie ludzkość od zawsze zafascynowana była opowieściami o upadku – zarówno jednostek, jak i całych kultur. Zwykle były one niczym innym niż moralizatorskimi przypowieściami o szlachetnych ludziach, którzy porzucili swoje obyczaje, zgnuśniali i przez to doprowadzili do własnej zguby. Tak można odczytać choćby przekazany nam przez Platona mit o Atlantydzie. W takim duchu o zastąpieniu imperium asyryjskiego przez Medów Dejokesa pisał Herodot. Tak też przed wygodami życia w cywilizacji, opisując surowe obyczaje Germanów, ostrzegał Rzymian Tacyt. Taka narracja jest obecna i dziś, co widać w internetowych memach głoszących, że „dobre czasy tworzą słabych ludzi”.

Poza takimi stałymi toposami o demoralizujących skutkach wygodnego życia, dziś – w związku z wyzwaniem, które sami na siebie sprowadziliśmy, głównie dewastacją środowiska i kryzysem klimatycznym – szukamy nowych

*Posągi moai
na Wyspie Wielkanocnej*

KONCEPCJA „SZLACHETNEGO DZIKUSA” często jest przedstawiana jako antyteza współczesnej cywilizacji. Zgodnie z tym poglądem, podczas gdy społeczeństwa rozwinięte technologicznie powodują zanieczyszczenia i degradację środowiska naturalnego, hipotetyczne społeczności pierwotne miałyby żyć w harmonii z naturą, przypominając biblijny obraz opiekunów rajskiego ogrodu. W przeciwieństwie do praktyk masowych polowań dla przyjemności lub z chęci zysku, które doprowadziły wiele gatunków na skraj wyginięcia, „szlachetny dzikus” miał pozyskiwać z natury jedynie niezbędne minimum do przetrwania, kierując się zasadą zrównoważonego wykorzystania zasobów. Podczas gdy współczesne społeczeństwa często są krytykowane za promowanie wartości materialistycznych i egocentryzmu, kultury tradycyjne są idealizowane jako przykłady hojności i altruizmu. Ta romantyczna wizja przedstawia „szlachetnego dzikusa” jako ucieleśnienie cnót i wartości, które rzekomo zostały utracone w procesie rozwoju cywilizacji.

opowieści ostrzegających przed upadkiem. Choć wiemy, że przyczyniliśmy się do przetrzeźwienia megafauny w Eurazji i Amerykach, niedługo po tym, gdy nasi przodkowie się tam pojawili, a nie wykluczone, że maczaliśmy palce również w zniknięciu naszych starszych kuzynów – neandertalczyków – działania te nie spowodowały katastrofy. Nie nadają się więc na pouczającą przypowieść. I choć w przypadku upadku wielu cywilizacji – mezopotamskiej pod koniec III tysiąclecia p.n.e., majańskiej czy Doliny Indusu – pojawiały się hipotezy o nadmiernym wykorzystaniu zasobów, żaden przykład nie stał się tak znany jak zagłada cywilizacji Wyspy Wielkanocnej (Rapa Nui). Choć eksperci zawsze kwestionowali jej prawdziwość, narrację tę spopularyzował film „Rapa Nui” (1994) i książka „Upadek. Dlaczego nie-

które społeczeństwa upadły, a innym się udało” (2004, polskie wydanie 2007) Jareda Diamonda. Nowe odkrycia mogą wreszcie wbić ostatni gwóźdź do trumny hipotezy o tym, że mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej dokonali ekobójstwa, a w konsekwencji doprowadzili do własnego upadku.

Termin ekobójstwo (ang. *ecocide*) oznacza masowe niszczenie przyrody, powodujące trwałe i poważne szkody w ekosystemach. Zwykle wynika z działań człowieka, takich jak zanieczyszczenie, wylesianie, nieodpowiedzialna eksploatacja zasobów czy konflikty zbrojne, które negatywnie wpływają na bioróżnorodność, klimat oraz warunki życia ludzi i innych organizmów. Jakiego ekobójstwa mieli dokonać mieszkańcy Rapa Nui?

Wielkanocne odkrycie

Zanim odpowiemy na to pytanie, cofnijmy się do 5 kwietnia 1722 r., niedzieli wielkanocnej, która dała wyspie jej „międzynarodową” nazwę. Tego dnia holenderski statek pod wodzą Jacoba Roggeveena „odkrył” Wyspę Wielkanocną. Wielkie zdumienie u europejskich marynarzy wywołały charakterystyczne dla wyspy gigantyczne kamienne posągi zwane *moai*. Niektóre sięgały dziesięciu metrów wysokości, a waga najcięższych

ocierała się o sto ton. Nie mogli pojąć, jak prości tubylcy mieliby je stworzyć.

Sam Roggeveen w „Dzienniku podróży” pisał: „Początkowo te kamienne figury wprawiły nas w zdumienie, ponieważ nie mogliśmy zrozumieć, jak to możliwe, że ludzie pozbawieni ciężkiego lub grubego drewna, a także mocnych sznurów, z których można by zbudować maszyny, byli w stanie je wznieść; a jednak niektóre z tych posągów miały dobre 30 stóp wysokości i były proporcjonalnie do tego szerokie”.

Ostatecznie dysonans poznawczy zredukowali dochodząc do fałszywego wniosku, że posągi wykonano z gliny. Późniejsi podróżnicy i chrześcijańscy misjonarze, choć poprawili ten błąd, nadal wątpili, by mieszkańcy wyspy mogli wyrzeźbić, przetransportować i ustawić *moai*. J. Linton Palmer, lekarz okrętowy podróżujący po Pacyfiku w latach 50. i 60. XIX w., uważał, że brak dźwut wyklucza tubylców jako twórców *moai*. Misjonarze, którzy chrystianizowali tubylców w tym czasie, wprost już mówili o tym, że gigantyczne posągi musiały być dziełem jakiejś wcześniejszej, potężniejszej rasy. Wkrótce też europejscy uczeni zaczęli wskazywać na Peru, dostrzegając podobieństwo do rzeźb andyjskiej kultury Tiwanaku. Oczywiście nie brakowało również badaczy, którzy twierdzili, że nic nie stało na przeszkodzie, żeby to rdzenna ludność wykonała *moai*, co ostatecznie stało się obowiązującym poglądem pod koniec XIX w. To jednak nie pobudzało wyobraźni w takim stopniu jak bajania o potężnych, zaginionych cywilizacjach. Nic więc dziwnego, że niesławny Erich von Däniken, popularyzator pseudonaukowych koncepcji, też zainteresował się Rapa Nui, dochodząc do wniosku, że *moai* stworzyli z nudów kosmici, którzy utknęli na wyspie.

Długą drogę przeszli więc mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej – od prymitywnych dzikusów, którzy nie byli w stanie stworzyć *moai*, do sztandarowego przykładu totalnego wyniszczenia środowiska naturalnego. Ukoronowaniem tego trendu była działalność antropologa, historyka i publicysty naukowego Jareda Diamonda. W leadzie do swojego artykułu w „Discover Magazine” ➔



→ w sierpniu 1995 r. pisał on: „W ciągu zaledwie kilku stuleci mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej wytrzebili swoje lasy, doprowadzili do wyginięcia roślin i zwierząt, a ich złożone społeczeństwo pogrążyło się w chaosie i kanibalizmie. Czy wkrótce pójdziemy w ich ślady?”. Choć w wydanej niemal dziesięć lat później książce obraz jest nieco bardziej zniuansowany, jego pytanie nadal mocno wybrzmiewa.

Kto wyciął drzewa

Aby dobrze zrozumieć tę historię, musimy cofnąć się do początków zasiedlenia wyspy. Naukowcy wciąż spierają się o dokładną datę tego wydarzenia. Najczęściej mówi się, że pierwsi polinezyjscy żeglarze przybyli na Rapa Nui około 800-900 r., choć pojawiają się również pojedyncze głosy o wcześniejszym (ok. 300 r. n.e.) lub późniejszym (około 1200 r.) osadnictwie. Przez kilka stuleci wpływ osadników na środowisko był niewielki, ale stały wzrost populacji (początkowo wynoszącej ledwie kilkadziesiąt, maksymalnie 150 osób) sprawił, że około 1200 r. rozpoczęto intensywną wycinkę lasów palmowych na potrzeby rolnictwa, budownictwa i szkutnictwa, a także na opał, co stopniowo doprowadziło do degradacji środowiska.

Brak drewna miał nie tylko negatywne skutki bezpośrednie – brak budulca, opału, ograniczenie bazy pokarmowej – ale również pośredni; przyspieszał erozję gleb, co dodatkowo obniżało plony. W XVI-XVII w. wzrost populacji i wyczerpanie zasobów naturalnych miały wywołać wojnę domową, głód i doprowadzić do kanibalizmu. Kluczowe dla zrozumienia tego scenariusza są szacunki dotyczące wielkości i dynamiki populacji wyspy. Nietrudno się domyślić, że opowieść o upadku populacji opiera się głównie na koncepcji dużej i długoterminowo niestabilnej populacji, jednak odtworzenie rzeczywistej liczebności jest skomplikowane i opiera się na wielu danych pośrednich. Nie mając spisów ludności, archeolodzy i paleodemografowie stosują różne metody szacowania populacji, m.in. w oparciu o liczbę osad lub komentarzy z różnych okresów, i próbują określić średnią wielkość gospodarstwa domowego. Co ciekawe, nawet przy tych samych danych, szacunki mogą się znacznie różnić, zależnie od założeń badaczy. W przypadku Rapa Nui szacuje się, że

Misjonarze, którzy chrystianizowali tubylców w XIX w., twierdzili, że gigantyczne posągi musiały być dziełem jakiejś wcześniejszej, potężniejszej rasy.

maksymalna liczba ludności wynosiła od 3 tys. do 20 tys. osób.

Zanim zagłębimy się w te liczby, warto zaznaczyć, że ludzie niewątpliwie wpłynęli na środowisko naturalne Wyspy Wielkanocnej. Badania pyłków roślinnych z nawarstwień archeologicznych pokazują stopniowe zmniejszanie się pokrywy leśnej. Kiedyś winiono za to transport i stawianie *moai*, ale eksperymenty pokazały, że można to zrobić przy minimalnym użyciu drewna, a nawet zupełnie bez niego, używając jedynie lin i siły ludzkich mięśni. Pojawiają się też opinie, jak ta Richarda „Huntera” Andersona, amerykańskiego specjalisty ds. środowiska naturalnego, że wylesianie zaczęło się przed przybyciem ludzi, a zapoczątkowały je zmiany klimatu. Niektórzy twierdzą, że prócz ludzi to przywiezione przez nich szczury (które Polinezyjczycy hodują jako źródło pokarmu) zjadały nasioną palm, hamując odnowę gajów palmowych. Nawet jeśli to prawda, mieszkańcy Rapa Nui na pewno przyspieszyli proces.

Wyrok: niewinni!

Znaleziska wskazują na spadek ilości śladów węgla drzewnego z czasem, co potwierdza kurczenie się lasów. W 2015 r. Gunnar Brandt i Agostino Merico z Leibniz-Zentrum für Marine Tropenforschung w Bremie stworzyli symulacje różnych scenariuszy „upadku”. Dane oparte na 83 próbkach pozostałości węgla drzewnego z różnych miejsc na wyspie pasowały bardziej do powolnego schyłku cywilizacji niż do katastrofy ekologicznej. Założyli oni jednak, że liczba tych śladów pośrednio mówi nam o wielkości populacji ludzi, tymczasem co najwyżej mówi nam o liczbie drzew na wyspie. Szczególnie że zebrane przez Terry’ego L. Hunta z Uniwersytetu Hawajów w Mānoa i Carla P. Lipo z California State University w Long Beach dane dotyczące datowa-

nia narzędzi obsydianowych pokazują załamanie produkcji przedmiotów z tego surowca dopiero po kontakcie z Europejczykami. Populacja mogła prosperować nawet przy malejącej liczbie drzew.

W scenariuszu załamania ekologicznego wycinka lasów miała przyspieszyć erozję gleb i zmniejszyć ich żyzność, a także utrudnić budowę łodzi do połowów. Fakty są jednak inne. Polinezyjczycy rzadko używali drewna palmowego do budowy łodzi. Świetnie radzili sobie, tworząc je z mniejszych kawałków różnego rodzaju drewna, a nawet kory, więc nie brakowało im ryb i owoców morza. A co z rolnictwem? Nowsze badania wskazują, że gleby na Rapa Nui raczej nigdy nie były szczególnie żyzne, nawet jak na warunki polinezyjskie. Mieszkańcy musieli stosować więc różne metody, by ograniczyć erozję i zachować wilgoć gleby. W tym celu używali m.in. *manawai* – kamiennych kręgów, znanych też z innych wysp Pacyfiku. Te rozwiązania pomagały im utrzymać produkcję żywności mimo trudnych warunków.

Powróćmy do samych ocen wielkości populacji Rapa Nui. Wiosną 2024 r. grupa Dylana S. Davisa z Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku opublikowała w „Science” artykuł, w którym na nowo oszacowali liczbę *manawai*, a następnie zastanowili się, jak dużą populację mogły one wyżywić. Choć nie podają konkretnych liczb, wnioskują, że większość wcześniejszych oszacowań była mocno zawyżona. Wyniki te wspierają najnowsze badania paleogenetyczne opublikowane w „Nature”. Zespół J. Víctora Moreno-Mayara z Uniwersytetu Kopenhaskiego odtworzył genetyczną historię mieszkańców Wyspy Wielkanocnej, analizując genom 15 osób pochowanych między 1670 a 1950 r. Na tej podstawie przeprowadzono symulacje populacyjne, które wykluczyły scenariusz zabójstwa ekologicznego. Co więcej, potwierdziły one, że maksymalna populacja wyspy wynosiła jedynie 2000-3000 osób.

Dodatkowo, potwierdzają one kontakty ludności Rapa Nui z mieszkańcami wybrzeży Ameryki Południowej. Ale to już temat na inną okazję. Tymczasem bowiem musimy dalej ku przestrodze szukać mitu, w którym upadek byłby skutkiem ekobójstwa. Obyśmy kiedyś sami nie stali się bohaterami takiej opowieści.

Instytucje, które działają

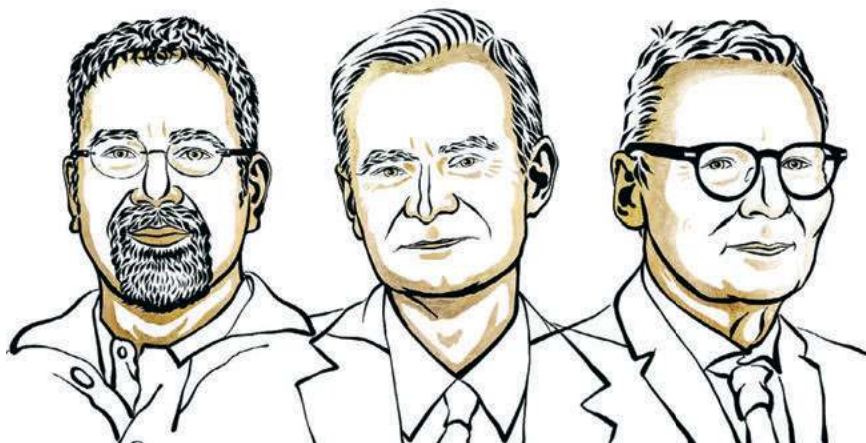
STEFAN SĘKOWSKI

Tegoroczni nobliści z ekonomii przekonują, że o bogactwie narodów decydują reguły kierujące życiem politycznym i gospodarczym.

MIESZKAŃCY KOREI POŁUDNIOWEJ cieszą się dobrobytem porównywalnym do Nowej Zelandii, są też wzorem dla innych krajów, jeśli chodzi o innowacyjność gospodarki. Ich północnokoreańscy krewniacy żyją za równowartość 150 dolarów miesięcznie i prawie co drugi z nich nie ma dostępu do elektryczności. Jak to możliwe, skoro mieszkańcy obu państw nie różnią się między sobą kulturowo, etnicznie i geograficznie? To efekt skrajnie różnych instytucji, jakie kształtują życie gospodarcze w obu krajach – odpowiadają tegoroczni laureaci Nagrody Nobla z ekonomii, Daron Acemoğlu, Simon Johnson (oba z Massachusetts Institute of Technology) oraz James A. Robinson (University of Chicago).

Zasady gry

W języku nauk społecznych instytucje to zasady gry, regulujące życie społeczne. Dobrze ukształtowane są smarem kół zębatych, dzięki którym rusza się gospodarka. Nie jest to pierwszy Nobel za badania nad nimi (choćby pierwsza w historii noblistka z ekonomii, Elinor Ostrom, zajmowała się pokrewnymi tematami), jednak tegoroczni laureaci ukazali po raz pierwszy ich fundamentalne znaczenie dla odpowiedzi na pytanie, które nurtuje ekonomistów od czasów Adama Smitha: dlaczego jedne narody mają silne, a inne słabe gospodarki. Co nie jest bez znaczenia, zrobili to w sposób bardzo przystępny, snując opowieści, w których



Laureaci Nagrody Nobla z ekonomii, Daron Acemoğlu, Simon Johnson oraz James A. Robinson

swoją rolę odgrywają zarówno historyczni konkwistadorzy, władcy i przedsiębiorcy, jak też Gilgamesz, Tezeusz czy Królowa Kier z „Alicji w Krainie Czarów”. Zwłaszcza duet Acemoğlu i Robinson to zarówno naukowcy, jak i autorzy bestsellerowych książek, w których przedstawiają swoje teorie.

Żeby dowiedzieć się, dlaczego jedne narody wygrywają, a inne przegrywają, tegoroczni nobliści przyjrzeni się historii państw kolonialnych, które po wybicie się na niepodległość wiodą skrajnie różne gospodarczo losy. Mieszkańcy Nogales w amerykańskim stanie Arizona zarabiają trzykrotnie więcej niż mieszkańcy Nogales w meksykańskim stanie Sonora, znajdującym się po drugiej stronie granicy. Dlaczego tak się dzieje? Ekonomisci dochodzą do wniosku, że znaczenia nie ma tutaj klimat czy kultura, ale to, że w USA przeważają włączające instytucje gospodarcze. To m.in. poszanowanie praw własności, bezstronne prawo, swoboda zawierania umów i usługi publiczne, takie jak szeroko dostępna edukacja publiczna. W Meksyku jest inaczej. Choć sytuacja ma się coraz lepiej, od dekad życie kształtują przede wszystkim instytucje wyzyskujące, tworzące bariery wejścia na rynek, zarówno polityczny, jak i gospodarczy. Efektem jest m.in. szerząca się korupcja i masowa emigracja na północ, z którą chce walczyć Donald Trump.

Elity kontra lud

Choć Acemoğlu, Johnson i Robinson rysują instytucje w ogólnikowy sposób, dzielą je według dość czytelnej zasady. Instytucje włączające to te, dzięki którym więcej osób ma możliwość brać aktywny udział w życiu politycznym i gospodarczym. Wyzyskujące to takie, przez które taką możliwość ma mniej osób, w efekcie czego wąskie elity, które

taką opcję mają, mogą osiągać korzyści kosztem pozostałych mieszkańców. Instytucje polityczne i gospodarcze wchodzi ze sobą w synergię: tegoroczni nobliści wskazują, że za tworzenie się gospodarczych instytucji wyzyskujących odpowiadają wyzyskujące instytucje polityczne. To ujęcie wymyka się prostym podziałom ideologicznym: instytucje wyzyskujące występują w feudalizmie, realnym socjalizmie, jak również w kapitalizmie kolesi.

Instytucje te ukształtowały się na przestrzeni setek lat – a w państwach starszych bywa nawet, że tysięcy. Dlatego tak trudno jest pozbyć się instytucji wyzyskujących. Możliwe jest to, jeśli mieszkańcy danego kraju znajdą się w „wąskim korytarzu” między wszechwładzą państwa a bezprawiem. Państwo jest potrzebne po to, by chronić obywateli przed przemocą, ustanawiać prawa i świadczyć usługi publiczne – ale także by w ryzach trzymać oddolne formy zniewolenia, np. w małych społecznościach. Nie wystarczy jednak ustanowić system kontroli i równowagi władz wewnątrz państwa, potrzebne jest także społeczeństwo, które władzy pilnuje.

I to nieustannie. W książce „Dlaczego narody przegrywają” możemy przeczytać uniwersalną przestrożę, że „kiedy w warunkach wyzyskujących instytucji politycznych udaje się dojść do władzy jakimś nowym jednostkom lub grupom, owi nowicjusze, znalazłszy się już raz w jej kregu, także natrafiają na znikome ograniczenia; staje się to dla nich zachętą, aby tworzyć system instytucji gospodarczych podobny do dotychczasowego”. ©

Korzystałem z książek „Dlaczego narody przegrywają” oraz „Wąski korytarz. Państwa, społeczeństwa i losy wolności” Darona Acemoğlu i Jamesa A. Robinsona.

WYBRAŃCY

Czy film może zdecydować o wyniku wyborów prezydenckich? Tego nie wiemy na pewno, ale czemu by nie spróbować?

PIOTR TARCZYŃSKI

W AMERYKAŃSKIEJ TRADYCJI politycznej istnieje coś takiego jak „październikowa niespodzianka”, czyli wydarzenie, które w ostatnim pełnym miesiącu kampanii wyborczej zmienia jej dynamikę: sprawia, że załamuje się poparcie kandydata, który prowadzi w sondażach. W epoce mediów operujących dwadzieścia cztery godziny na dobę i wiecznie głodnych nowych „łamiących wiadomości”, wszystko może być okrzyknięte mianem „październikowej niespodzianki”, nie musi się nawet wydarzyć w październiku – nie brakuje przykładów, że końcówka września i początek listopada też wchodzi w grę.

Wielka, większa...

W 2008 r. kampanię miała zmienić informacja z 1 listopada, że przyrodnia siostra ojca kandydata Demokratów, Baracka Obamy, mieszka w Bostonie bez legalnych dokumentów migracyjnych. I jakby tego było mało, mimo że tylko amerykańscy obywatele i posiadacze tzw. zielonych kart mogą dokonywać datków na kampanię wyborczą, nielegalnie wpłaciła na kampanię wyborczą swojego bratanka 265 dolarów. Oczywiście nijak to nie wpłynęło na wynik wyborów, Obama bez problemu pokonał Johna McCaina.

Kolejne „październikowe niespodzianki” miały już większe znaczenie, zwłaszcza w 2016 r., który wprost w nie obfitował. 7 października do mediów wyciekła tzw. taśma Access Hollywood (od nazwy telewizyjnego programu plotkar-

skiego) z 2005 r., na której Donald Trump – gospodarz reality show „The Apprentice” mówi prowadzącemu (skądinąd kuzynowi prezydenta George’a W. Busha), że – nieco upraszczając – „kiedy jesteś gwiazdą, możesz robić z kobietami co ci się żywnie podoba, nawet łapać je za cipki”.

Wydawało się, że Trump jest skończony: oto kandydat konserwatywnej partii *de facto* przyznaje się do seksualnych napaści. Część polityków republikańskich wezwała go do zrezygnowania z wyścigu, inni publicznie wycofali swoje poparcie. Tego samego dnia gruchnęła jednak inna niespodzianka: WikiLeaks zaczęło publikować e-maile wykradzione przez hakerów (rosyjskich, jak się okazało) z konta szefa kampanii kandydatki Demokratów. 20 tysięcy e-maili – ważnych i nieważnych, dało wgląd w trzewia kampanii Hillary Clinton, często stawiając w złym świetle kierownictwo Partii Demokratycznej.

Wreszcie największa z niespodzianek – i to taka, która faktycznie mogła mieć wpływ na ostateczny wynik wyborów prezydenckich. 28 października James Comey, dyrektor FBI, powiadomił Kongres, że pojawiły się nowe dowody w sprawie tzw. e-maili Hillary. Jako sekretarzyni stanu Clinton używała swojego prywatnego e-maila do załatwiania niektórych spraw – nierozsądnie i niezgodnie z przepisami, ale jeszcze w lipcu FBI uznało, że nie ma podstaw do postawienia Clinton zarzutów.

List Comeya sprawił, że na dwa tygodnie przed dniem wyborów cała sprawa



MATERIAŁY PRASOWE M2 FILMS

wróciła na pierwsze strony gazet. Wprawdzie dwa dni przed wyborami, 6 listopada, Comey znów potwierdził, że Clinton nie złamała prawa, ale ogólnokrajowe poparcie dla demokratki spadło o 3 punkty procentowe – co w kluczowych stanach mogło okazać się decydujące.

Największa?

W tym roku znowu mamy wybory i znów trwa poszukiwanie „październikowej niespodzianki”: czy tym razem ma nią być film biograficzny? 11 października do amerykańskich kin wszedł film „Wybraniec” (tytuł oryginalny „The Apprentice”) w reżyserii Aliego Abbasiego, twórcy fantastycznego „Holy Spider” sprzed dwóch lat. Opowiada o początkach kariery Donalda Trumpa (Sebastian



*Maria Bakalova jako Ivana Trump oraz Sebastian Stan jako Donald Trump w filmie „Wybraniec”, reżyseria Ali Abbasi, 2024 r.
W polskich kinach od 18 października.*

Stan) – jego przemocowym małżeństwie z Ivaną Zelnickovą (Maria Bakalova), ale przede wszystkim o relacji z jego prawnikiem i mentorem, Royem Cohnem (znany z „Sukcesji” Jeremy Strong).

Cohn był w latach 50. głównym współpracownikiem senatora Josepha McCarthy’ego i pomógł mu rozpętać antykomunistyczną panikę, której skutkiem były m.in. „polowania na czarownice”, nagonka na komunistów prawdziwych i urojonych. W 1953 r. pomógł posłać na krzesło elektryczne małżeństwo Juliusa i Ethel Rosenbergów, oskarżonych o szpiegowanie na rzecz Związku Radzieckiego. Julius był winny – to nie ulega dziś wątpliwości, ale Ethel, choć wiedziała o działalności męża, nie była agentką i na pewno nie zasługiwała

na najwyższy wymiar kary. Cohnowi zależało jednak na straceniu Rosenbergów, żeby wysłać sygnał: w walce z komunizmem nie ma miejsca na kompromisy.

Elementem „czerwonej paniki” była też „lawendowa panika” – nagonka na homoseksualistów, która zniszczyła karierę wielu pracownikom państwowej administracji. Ironia (ale też tragedia) polega na tym, że Cohn miał kontakty seksualne z mężczyznami, choć sam nigdy nie określiłby się mianem „geja”. To słowo kojarzyło mu się ze słabością, podczas gdy jego największymi fetyszami były siła i władza.

Po odejściu z Waszyngtonu Cohn został wpływowym nowojorskim prawnikiem: bezwzględnym fikserem, czyli „załatwiaczem”, znanym z kontaktów

w przestępczym półświatku – w pewnej chwili był prawnikiem pięciu głównych mafijnych rodzin Nowego Jorku. W latach 70. wziął pod skrzydła młodego Donalda Trumpa, który usiłował wydostać się spod kurateli despotycznego ojca i zrobić samodzielnie (choć za ojcowskie pieniądze) karierę w świecie nowojorskiej deweloperki. „Ludzie są albo zwycięzcami, albo przegrywanymi”, mówi Donaldowi ojciec, Fred (Martin Donovan).

Tym, co interesuje Abbasię, jest właśnie relacja dwóch mężczyzn, która trwała do śmierci Cohna z powodu AIDS w 1986 r. To Cohn ukształtował Trumpa jako bezwzględnego przemocowca, który idzie do celu po trupach; to on nauczył swojego podopiecznego trzech najważniejszych zasad, którymi przyszły

*Dennis Quaid jako Ronald Reagan
i Penelope Ann Miller jako Nancy Reagan
w filmie „Reagan”,
reżyseria Sean McNamara, 2023 r.*

→ prezydent miał się kierować przez całe swoje życie – jako biznesmen, celebryta, a wreszcie polityk. Po pierwsze: atakuj, atakuj, zawsze atakuj. Po drugie: jeśli cię złapią: zaprzeczaj. Po trzecie: nigdy nie przyznawaj się do porażki. Właśnie tak postępował Donald Trump w ostatnich wyborach prezydenckich. Jak to ujęła kiedyś jego obecna żona, Melania: „Jeśli zaatakujesz Donalda, odda ci dziesięć razy mocniej”.

Relacja z Cohnem ma być też powodem Trumpowej fascynacji „silnymi mężczyznami”, którzy nie przestrzegają reguł, ale sami biorą siłą to, co im się rzekomo należy – i może tłumaczyć jego stosunek do dyktatorów: Kim Dzong Un, Xi Jinpinga czy, zwłaszcza, Władimira Putina. Trump po prostu zazdrości im władzy – a co za tym idzie: swobody, z jaką mogą działać.

Jako szef Trump Organization był do tego przyzwyczajony: otoczony lojalnymi podwładnymi gotowymi wykonać jego każde polecenie, z pomocą zdolnych i bezwzględnych prawników mógł naginać (a nawet łamać) przepisy, a przylapany stosować swoje trzy zasady: zaprzeczać, atakować i zasypywać przeciwników kontrpozwami. Władza, jaką dysponuje prezydent Stanów Zjednoczonych, rzekomo najpotężniejszy człowiek na świecie, okazała się dla niego pewnym rozczarowaniem. „Gdzie jest mój Roy Cohn?” – pytał retorycznie w 2017 r., kiedy okazało się, że ani dyrektor FBI, ani prokurator generalny nie zamierzają pełnić roli Trumpowego „załatwiacza”.

Ten szmelc to fikcja

Po premierze „Wybrańca” na festiwalu w Cannes w maju tego roku (przyjętej ośmiominutową owacją) prawnicy Trumpa wysłali list domagający się wstrzymania amerykańskiej premiery filmu pod groźbą pozwów – czyli stosując w praktyce jedną z zasad, jakie wpoił Trumpowi Roy Cohn. Groźby zadziałały: „Wybrańca” – mimo że jest dziełem uznanego reżysera, występują w nim ceni i nagradzani aktorzy, miał poważne problemy ze znalezieniem dystrybutora w Stanach Zjednoczonych. Obawiając



BETH DUBBER / MATERIAŁY PRASOWE MONOLITH FILMS

się nie tylko pozwów, ale potencjalnych bojkotów, utraty klientów, a zapewne też zemsty Trumpa, jeśli zwycięży w listopadzie, firmy zaczęły dystansować się od projektu.

Premierę „Wybrańca” próbował też zablokować miliarder Daniel Snyder, którego spółka Kinematics sfinansowała prawie połowę budżetu filmu. Kiedy puszczono mu wczesną wersję, miał wzburzony wyjść z sali kinowej. Miliarder twierdzi wprawdzie, że jego sprzeciw bierze się wyłącznie z „różnic artystycznych”, ale trudno w to uwierzyć, zwąszywszy na to, że Snyder jest sympatykiem Trumpa oraz darczyńcą jego kampanii prezydenckiej.

Bogaci poplecznicy Trumpa już wcześniej stosowali taktykę „przechwycić i zabić”, np. w przypadku historii romansu Trumpa z modelką Karen McDougal. Wyłączne prawo do jej opowieści wykupił wydawca tabloidu „National Enquirer” po to, żeby nigdy nie ujrzała światła dziennego – a przynajmniej nie przed wyborami prezydenckimi w 2016 r. Ostatecznie Snyder sprzedał swoje udziały w „Wybrańcu”, a prawo do dystrybucji filmu nabyła spółka Briarcliff, która swego czasu rozprowadzała w Stanach filmy lewicowego dokumentalisty Michaela Moore’a, a w 2020 r. uratowała przed wylądowaniem na półkach film dokumentalny „The Dissident” o zamordowanym przez Saudyjczyków dziennikarzu Jamalowi Khashoggim. Ale i tu w grę wchodzi także polityka: właścicielem

Briarcliff jest milioner Tom Ortenberg, zwolennik lewicowego senatora Berniego Sandersa.

Kiedy okazało się, że premiery nie da się jednak powstrzymać, rzecznik kampanii Trumpa, Steven Cheung, wydał oświadczenie: „Ten szmelc to czysta fikcja, która jedzie na kłamstwach dawno już obalonych”. Kampania byłego prezydenta oficjalnie określiła „Wybrańca” mianem „filmu” (w cudzysłowie), który „nie nadaje się nawet na półkę z przecenionymi DVD w likwidowanym sklepie, tylko powinien trafić prosto do śmietnika”.

Skąd taka niechęć sztabu byłego prezydenta do „Wybrańca”? Nie chodzi tylko o ukazanie relacji Donalda Trumpa z Royem Cohnem, która przecież nigdy nie była tajemnicą. O liposukcji i przeszczepie włosów, jakim miał się poddać w latach 80., też donosiły już biografie, ale niewątpliwie jest to cios w ego Trumpa, obsesyjnie skupionego na swoim wizerunku. Przede wszystkim jednak kontrowersje wzbudza scena gwałtu małżeńskiego na Iwanie Trump – oparta na zeznaniach samej Iwany, które złożyła pod przysięgą w trakcie postępowania rozwodowego w roku 1990. Później się z tych twierdzeń wycofała, twierdząc, że słowa „gwałt” nie należy rozumieć „dosłownie” i „w znaczeniu procesowym”. Wiadomo, że Snyder bezskutecznie domagał się usunięcia tej sceny z ostatecznej wersji filmu.

Trump oraz jego kandydat na wiceprezydenta, J.D. Vance, przedstawiają się jako zwolennicy bezwzględnej wolności

słowa. W trakcie kampanii bez przerwy oskarżają Demokratów o próby cenzurowania Internetu i blokowania prawicowych treści. Teraz Trump, grożąc pozwami, usiłuje zablokować film. „Jest to próba wpłynięcia na wynik wyborów przez hollywoodzkie elity”, oświadczył rzecznik Cheung, „tak samo jak [wytoczone Trumpowi] nielegalne procesy”.

Widzowie i wyborcy

Historia kontrowersyjnych premier w okolicach wyborów prezydenckich sięga aż roku 1932, kiedy w szczycie Wielkiego Kryzysu o Białym Domu walczył Franklin Delano Roosevelt. William Randolph Hearst, medialny potentat i sprzyjający Demokratom populistą, sfinansował film „Gabriel nad Białym Domem” – opowieść o fikcyjnym prezydencie, który w środku kryzysu gospodarczego ratuje kraj, wprowadzając rządy żelaznej ręki, m.in. zawieszając Kongres, aresztując przestępców bez zgody sądu itd. Premiera miała miejsce dwa tygodnie po inauguracji Roosevelta – miał oswoić Amerykanów z silną, aktywną prezydenturą. Roosevelt widział wczesne wersje filmu, proponował pewne zmiany scenariuszowe i ostatecznie zaaprobował film jako „bardzo pożyteczny”.

W styczniu 1964 r. do kin weszły filmy stanowiące reakcję na groźbę nuklearnej zagłady, przed którą stanęła Ameryka niecałe dwa lata wcześniej, w trakcie kryzysu kubańskiego: „Czerwona linia” („Fail-Safe”) Sidneya Lumeta oraz „Doktor Strangelove, czyli jak przestałem się martwić i pokochałem bombę” Stanleya Kubricka. Kandydat Republikanów, senator Barry Goldwater, z dużą dezynwolturą mówił o perspektywie wojny ze Związkiem Radzieckim czy „zrzuceniu bomby na toaletę na Kremlu”, co Demokraci skrzętnie wykorzystywali. Kampania Lyndona Johnsona niezbyt subtelnie ostrzegała Amerykanów przed „szaleńcem” w Białym Domu, wiedząc, że ci dopiero co widzieli w kinach „Doktora Strangelove” i „Czerwoną linię” – w których nie udaje się uniknąć atomowej katastrofy.

W roku wyborczym 2008 – także w październiku – do kin wszedł „W” Olivera Stone’a, złośliwy komediodramat o wciąż jeszcze wówczas urzędującym republikańskim prezydencie George’u W. Bushu. Wprawdzie kandyda-

Wypuszczanie politycznych filmów w czasie wyborczym jest normalną praktyką w USA.

Teraz sondaże w kluczowych stanach idą łeb w łeb,

a o rezultacie wyborów może zdecydować kilkanaście tysięcy głosów, podjętych pod wpływem impulsu.

tem Republikanów był wówczas John McCain, znany z niełatwych relacji z administracją Busha, ale część prawicowych komentatorów twierdziła, że film Stone’a mógł nakłonić wyborców do głosowania na kandydata Demokratów, Baracka Obamę. Być może z tego powodu cztery lata później Steven Spielberg zażył sobie, żeby premiera jego „Lincolna” miała miejsce w listopadzie – już po głosowaniu – aby nikt nie próbował wpisywać jego biografii Lincolna w kontekst wyborczy.

Czy premiera „Wybrańca” tuż przed wyborami jest celowa? Scenarzysta filmu, Gabriel Sherman podkreśla, że pierwszą wersję scenariusza napisał już siedem lat temu. Może i tak, ale faktem jest, że zdjęcia ruszyły dopiero w listopadzie ubiegłego roku – kiedy już wiadomo było, że Trump zamierza ubiegać się o republikańską nominację prezydencką. Trudno też uznać za przypadek, że trailer filmu wypuszczono akurat 10 września, w dzień debaty prezydenckiej między Trumpem a Kamalą Harris. Sherman zapewnia jednak, że film jest przede wszystkim ponadczasową opowieścią o uczniu, który prześciga swojego mistrza, a także komentarzem na temat darwinizmu społecznego, który jest bardzo głęboko zakorzeniony w amerykańskim społeczeństwie.

Impuls

Wypuszczanie politycznych filmów w roku wyborczym jest normalną praktyką. Niecałe dwa miesiące – ostatniego

dnia sierpnia – do amerykańskich kin wszedł przecież także „Reagan” (reż. Sean McNamara) z Dennisem Quaidem w roli tytułowej: hagiograficzna opowieść o bożym pomazańcu, w pojedynkę walczącym z komunizmem. Republikański polityk Mike Huckabee, były gubernator Arkansas, wezwał konserwatystów do „buy-cottu”: zamiast kupować bilety na „Wybrańca”, powinni chodzić do kina właśnie na „Reagana”. O kiepskie wyniki finansowe tego filmu oskarżył przy okazji Facebook, który ma jakoby wyciszać wszelkie doniesienia na temat reaganowskiej hagiografii.

W „Reaganie” Reagan jest świętym – w „Wybrańcu” Trump jest wielowymiarową, pod pewnym względem nawet tragiczną postacią: skrzywdzonym i skrzywionym przez ojca niepewnym siebie młodym człowiekiem, który pod wpływem konkretnych ludzi i konkretnego ducha czasu stopniowo traci człowieczeństwo i zmienia się (także fizycznie) w potwora, „istotę doktora Frankenstein’a/Cohna”. Z tego powodu na lewicy pojawiły się nawet głosy, że film Abbasięgo jest... niedostatecznie krytyczny wobec przyszłego/byłego prezydenta, nadmiernie go humanizujący, a nawet rzekomo „pro-Trumpowski” (sic!).

Czy jakikolwiek film może naprawdę być „październikową niespodzianką” i realnie wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich? W sytuacji, gdy sondaże w kluczowych stanach idą łeb w łeb, a o rezultacie wyborów może zdecydować kilkanaście tysięcy głosów, nie jest to nie do pomyślenia. Badania pokazują w końcu, że niezdecydowani wyborcy czasem podejmują decyzje pod wpływem impulsu. Być może ktoś obejrzy „Wybrańca” w weekend przed dniem głosowania i wyjdzie z kina zniesmaczony tym, czego się dowiedział o początkach kariery Trumpa?

Wyobrażam sobie jednak, że ktoś inny może w „Wybrańcu” zobaczyć młodego, idealistycznego przedsiębiorcę, który na przekór wszystkim wierzy w Nowy Jork i w to, że da się go znowu „uczynić wielkim” – i uznać, że dzisiejszy Trump jest wciąż tamtym człowiekiem.

© PIOTR TARCZYŃSKI

Autor jest amerykańistą, pisarzem i tłumaczem. Współprowadzący „Podcastu amerykańskiego”. Niedawno wydał książkę „Rozkład. O niedemokracji w Ameryce”.

Bardziej widmo

PIOTR PAZIŃSKI

W.G. Sebald nie tylko utożsamiał się z innymi ludźmi, ale niejako wchłaniał ich los. Ile było w tym autentycznego współczucia, ile narcyzmu – trudno przesądzać.

JEŚLI WIERZYĆ LUDZIOM, KTÓRZY GO ZNALI, W.G. Sebald był przeświadczony, że przez całe życie nawiedzają go umarli. Patrzą na niego z fotografii, mijają go na ulicy, wyłaniają z się mgły, nakładają własne oblicze na twarz bliskiej mu osoby.

Stąd zainteresowanie miejscami dawno nieistniejącymi, albo takimi, w których zdeponowano czas miniony czy ruiny czasu: muzeami, archiwami, bibliotekami, gabinetami osobliwości. Stąd potrzeba podążania śladem zmarłych, odkrywania ich dyskretniej obecności w świecie, która z czasem, jak zaświadcza bliscy pisarza, zmieniła się w przymus pójsia w ich ślady.

Pasma czasu

Książki Sebalda doczekały się wielu interpretacji, lepszych, gorszych, przynależnych do któregoś z modnych kierunków współczesnej humanistyki, albo (co zazwyczaj ciekawsze) osobnych, świadczących o tym, że pisarstwo odludka z Norwich poruszyło do trzewi. Ta, którą zaraz przytoczę, wydaje mi się wspaniała. Otóż w posłowie do drugiego polskiego wydania „Pierścieni Saturna” (Wrocław 2021) Maciej Płaza, tłumacz i prozaik oraz, rzecz tu nie bez znaczenia, znawca i koneser literatury grozy, dzieli się spostrzeżeniem, że samotną pielgrzymkę wybrzeżem hrabstwa Suffolk odbywa tu umarli.

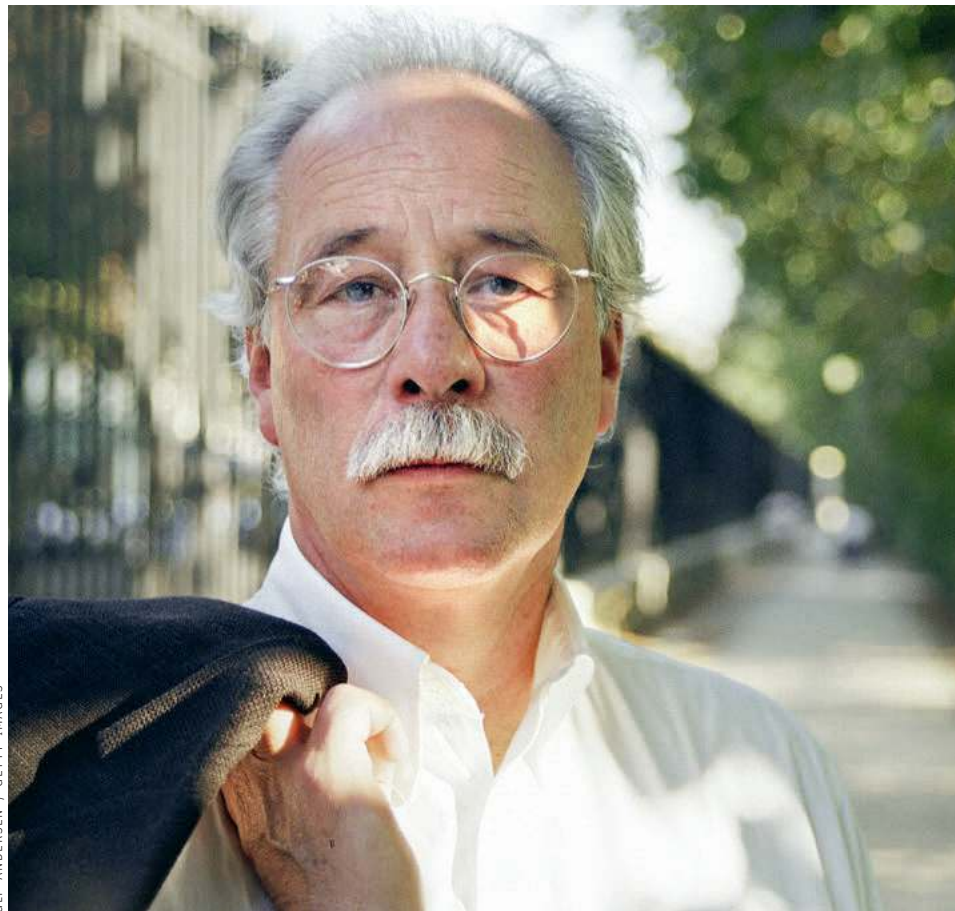
Na poparcie swojej tezy Płaza przytacza aluzje poukrywane w tekście książki. A to cytaty z „Pamiętników zza grobu” Chateaubrianda („jestem już poniekąd jak umarły”), to rzucaną *en passant* obser-

wację, że terminal amsterdamskiego lotniska Schiphol, pełen pasażerów, którzy snują się jak po zażyciu środków uspokajających albo zastygli gdzie popadło, przypomina zaświaty.

Ale nawet jeżeli wędrowiec z Suffolk, niekiedy tożsamy z Sebaldem, a czasem odległy od niego o całe mile, jest żywy, to trudno opędzić się od myśli, że na swej drodze wciąż spotyka umarłych. I to umarłych dwojakiego rodzaju.

Po pierwsze, ludzi, o których dałoby się powiedzieć, że skoro oficjalne daty ich życia odsyłają do minionych stuleci, to oni sami raczej na pewno (czy u Sebaldy jest coś na pewno?), przynajmniej w sensie cielesnego bytowania, rozstali się z tym światem.

Po drugie, osoby o nieokreślonym statusie, może żywe, może nieżywe, albo z rozmaitych powodów trwające w osobliwym zawieszeniu między różnymi pasmami czasu. Jak łatwo zauważyć, przedstawiciele obydwu typów władni są nawiedzać żyjących, mogą się pod nich podszywać lub znienacka wychynąć z odmętów ich pamięci, dodatkowo potęgując zamieszanie na styku istnienia i nicości.

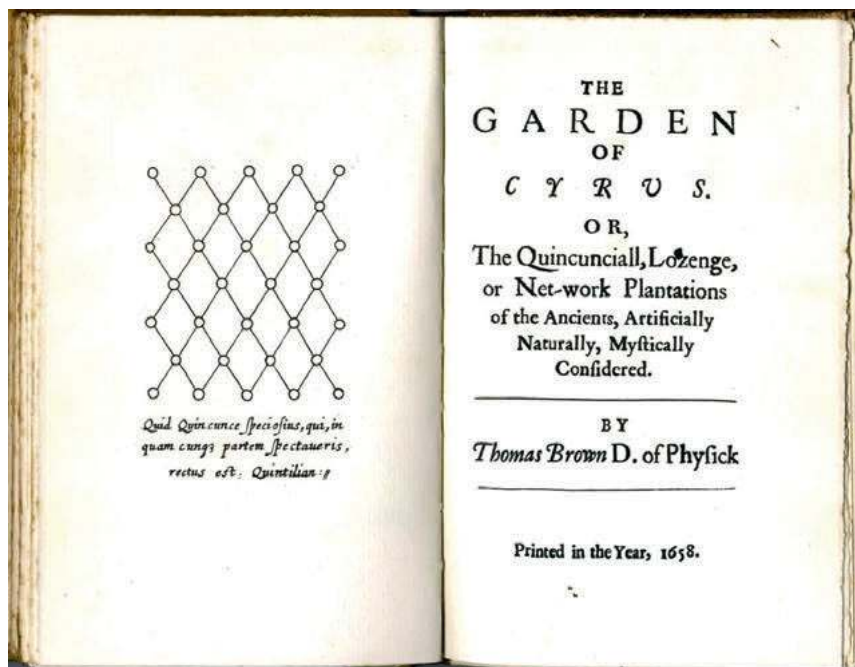


ULF ANDERSEN / GETTY IMAGES

Umarli

Obsesją śmierci tłumaczyć można zainteresowanie Sebaldy historią zwyczajów i obrzędów pogrzebowych. Jego ślady odnajdujemy w „Pierścieniach Saturna”, gdzie mowa o urnach z hrabstwa Norfolk, odkrytych w XVII wieku, w epoce lekarza i polihistora Thomasa Browne’a (kto wie, czy nie najważniejszego, obok Kafki, pisarza Sebaldy) i w niestety nieukończonych książkach o Korsyce. Jej piękny fragment – o umarłych, którzy zjawiają się w naszym świecie w doczesnych powłokach, ale jakby rozmyci na brzegach i o pięć niżsi niż za życia – trafił do „Austerlitz” (2001).

W żadnym razie nie idzie o niewinny zapis etnograficzny. Relacja nieżyjącego dziadka szewca Evana, który jakoby widywał duchy, w dzieciństwie zasłyszana i zapamiętana przez Jacquesa Austerlitz, odtworzona po latach z pamięci, opowiedziana narratorowi i skrupulatnie (?) zanotowana, staje się aluzją do losów zamordowanych członków rodziny Austerlitzów. Mali wędrownicy z walijskiego pustkowiecia ukażą się na powrót, znów jako rozmyte widma, na celuloidowej taśmie propagandowego



WIKIPEDIA

Frontyspis dzieła Thomasa Browne'a „The Garden of Cyrus” (1658).
Po lewej stronie quincunx i sentencja wzięta z „Institutio Oratoria” Kwintyliana:
„Co jest piękniejsze niż quincunx, który, bez względu na to,
z której strony na niego patrzysz, przedstawia linie proste?”

Po lewej: Winfried George Maximilian Sebald (1944-2001). Paryż, 8 września 1999 r.

filmu nakręconego w hitlerowskim obozie Theresienstadt.

Może nie wszystkie przypadki są równie dramatyczne, niemniej z umarłymi trzeba ostrożnie. Zmarli to przecież – pisarz przypomni korsykańską legendę, chyba w tym celu, by rozciągnąć ją na innych zmarłych, więc także na siebie – istoty przewrażliwione, tworzące solidarną wspólnotę przeciwko żywym. I mają po temu swoje racje.

W rzeczy samej, Sebaldowska pre-dylekcja do wypatrywania ruin świata – na fotografiach zbombardowanych niemieckich miast, w muzeum historii naturalnej, splądrowanym dworze, porzuconej bazie wojskowej, relikwach przemysłowego Manchesteru, wyeksploatowanej ławicy śledzi czy zakładzie dla obłąkanych – i dostrzegania śladów minionych katastrof, albo zapowiedzi katastrofy kolejnej, wynika tyleż z trwogi wobec zaświatów, co z przekonania, że jesteśmy dłużnikami stworzeń, których już nie ma. Także w tym sensie, że niesiemy dalej ich krzywdy oraz ich winy.

Powie ktoś, temperament melancholijny każe wybierać pisarzowi te elementy świata, które pasują do jego wi-

zji, a pomijać inne. Bywało, że zarzucano Sebaldowi, iż nadmiernie nasycił świat smutkiem i wszędzie widzi tylko przejawy „historii naturalnej zniszczenia”. Jednak melancholia to nie tylko poczucie utraty i nieskończoność enumeracji. To także – na pewno u Sebalda – poszukiwanie jakiejś organizującej zasady, która pozwoliłaby choćby na moment okiełznać dręczącą widmowość świata.

Przeploty

Kto raz czytał Sebalda i zachwyił się jego prozą, pamięta kunsztownie splecione wątki, obrazy i cytaty z kultury, tworzące gęstą sieć o hipnotycznej mocy. Na pewno nie idzie tylko o literacką pozę, popisywanie się erudycją. Sebald, z książki na książkę doskonalący metodę patchworku i z upodobaniem odnotowujący koincydencje i przypadki obiektywne, próbuje w ten sposób odsłonić sieć tajemnych powiązań pomiędzy rzeczami.

Czy istotnie układa się ona, jak utrzymuje Thomas Browne (1605-1692), w geometryczny wzór *quincunx* – nie wiadomo. Być może dzieje się tak w tych rzadkich chwilach iluminacji, gdy świadomość, przejściowo zwolniona z innych zadań,

scala siebie i świat wokół. Zazwyczaj wzór pozostaje niewidoczny, a rzeczywistość się wymyka. Dlatego trzeba nam, mówi Sebald, zadowolić się fragmentem, zarysem przedmiotu, konturem zjawiska, widmem człowieka. Jeżeli *quincunx* naprawdę istnieje w przyrodzie (relacjonując poglądy Browne'a w „Pierścieniach Saturna”, Sebald przytomnie dodaje słówko „rzekomo”), to tylko jako podszełka. Na powierzchni kłębi się mgła.

Z tego względu pisanie książek jest tyleż próbą odzyskania wzoru, co tworzeniem brikolazji, składaniem tekstu z tego, co wpadnie pod rękę, a co wzór odlegle przypomina. A więc również z atrap i falsyfikatów, te bowiem, niekiedy tak się zdarza, lepiej przylegają do świata, skuteczniej uruchamiają pamięć i wyobraźnię i opisują konkretne zjawisko, niż historie „autentyczne”. Tym bardziej, że przeszłość, a więc prawda historyczna i osobista, złożona jest w równych proporcjach z faktów i zmyśleń, z przeżyć i z mitów, z zapożyczeń, mniemań, przekreślonych wspomnień, wzmówionych sobie cytatów. Jest opowieścią. Ale o tym wie każdy człowiek, nie tylko pisarz.

Tyle że nie wszystko – mówi nam Sebald – jest atrapą i falsyfikatem. Nasz własny zawrót głowy, nazwijcie go zachwytem, nazwijcie przerażeniem albo niepewnością – falsyfikatem nie jest. Zawrót głowy, pierwszy człon polskiego tytułu debiutanckiej książki Sebalda, to w oryginalne „Schwindel”. Stare niemieckie słowo pochodzi od czasownika „swinden”, znaczącego pierwotnie tyle, co „marnieć” albo „tracić świadomość”. Ale przynajmniej od nowożytności rzeczownik „Schwindel” posiada także inne konotacje: „oszustwo”, „złudzenie”. Polszczyzna, pożyczając szwindel od Niemców, zachowała tylko to drugie. Tymczasem niemiecki „Schwindel” jest nadal słowem wirującym. Jest w nim miejsce i na rozmyślne wprowadzanie w błąd, i na utratę świadomości, jak też (co u Sebalda chyba kluczowe) na zasadnicze poczucie niepewności co do statusu doświadczanego świata. →



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

Widma

→ Metoda pisarska Sebald i towarzyszące jej kontrowersje (kłamał czy nie kłamał?) stały się jedną z osi fabularnych obszernej biografii, pióra angielskiej pisarki i dziennikarki Carole Angier. Najogólniej mówiąc, idzie o dość swobodny stosunek do prawdy materialnej i o znane z reporterskiego poletka spory o tożsamość postaci i o to, do kogo należy życiorys człowieka – do osoby, na której życie się składa, czy do pisarza, który robi z niego użytek, wybierze interesujące fragmenty, to i owo zmieni, układając własny patchwork? Tu dziejez do kogo człowiek należy po śmierci? Do społeczeństwa i czytelników, także tych, którzy łakną sensacji albo przebiegają nogami, żeby osądzić artystę i wyrzucić jego dzieło? Do rodziny i spadkobierców? A może tylko do siebie? Ale skoro tak, czy wtenczas sam Sebald miał prawo, jako pisarz, do tego niemiecki, wykorzystywać życiorysy innych ludzi, zwłaszcza w tak niewralgicznej sferze, jak dzieje żydowskich ocalańców z Zagłady?

To właśnie między innymi dzięki skrupulatnym śledztwom i kwerendum Angier wiadomo, że Sebald zmyślał jako autor pozornie dokumentarnej prozy i jako człowiek przepytany przez dziennikarzy ze swego życia i warsztatu. Bezceremonialnie poczynił sobie z pierwowzorami postaci, wykorzystywał prywatne fakty z ich życia, inne fingował, z wielu osób skleił jedną, i odwrotnie, rysami jednego człowieka obdzielał kilku innych. Gwoli kompozycji zmieniał kolejność wydarzeń, nakładał na siebie plany czasowe, modyfikował szczegóły, przetwarzał cudze opowieści, pożyczal fabuły, zmieniał cytaty, wstawiał w tekst sfingowane dokumenty i fałszywe fotografie... Bawił się z czytelnikami w kotka i myszkę, a potem zacierał ślady, choć nie na tyle, by zainteresowane osoby nie rozpoznały się w jego prozie. Literacki brikolaz składał z setek kawałków i w dodatku kręcił w wywiadach.

Opublikowana w 2021 r., w dwudziestą rocznicę śmierci autora „Wojny powietrznej”, biografia pisarza właśnie ukazuje się w polskim przekładzie. Carole Angier, wyraźnie zafascynowana swoim bohaterem, z którym ongiś przeprowadzała wywiad z okazji premiery książki „Wyjechali”, skrupulatnie rekonstruuje jego życie – od narodzin Winfrieda Georga w bawarskiej wsi Wertach w 1944 r., po śmierć W.G. (Sebald porzucił imiona

Sebald w komplecie



■ **CZUJĘ. ZAWRÓT GŁOWY** (1990)
Punktem wyjścia dla niezwykle wędrowki jest legenda o myśliwym Grakhusie, człowieku, który nie całkiem umarł. Narrator podąża

śladami Stendhala, Kafki, podróżuje po Austrii i Włoszech, ale tylko po to, by na koniec dotrzeć do samego siebie z odległej przeszłości. Pierwsza i ostatnia tak otwarcie autobiograficzna książka Sebald.



■ **WYJECHALI** (1992)
Cztery opowieści o emigrantach i ludziach wykorzenionych, których historia i prześladowania zmusiły do zatarcia własnego życiorysu

albo skazały na tułaczkę. Uniwersalny traktat o widmowej przeszłości i szczątkach dawnego świata. Sebald doskonalił swój warsztat, swobodnie łącząc prozę dokumentarną z literacką fikcją.



■ **PIERŚCIEŃ SATURNA** (1995)
Nadmorska wędrowka odludnym wybrzeżem angielskiego hrabstwa Suffolk staje się pretekstem do snucia opowieści o przejawach historii

naturalnej zniszczenia i jej śladach, widocznych w pejzażu, na fotografiach i w dokumentach. Pielgrzymce patronuje Thomas Browne, a centralnym motywem jest jedwabna nici.



■ **AUSTERLITZ** (2001)
Literacka rekonstrukcja życiorysu fikcyjnego Jacquesa Austerlitz, żydowskiego chłopca z Pragi ewakuowanego do Wielkiej Brytanii, przepleciona rozważaniami o pamięci

i zapomnieniu, kłopotach z tożsamością i widmach umarłych w naszym świecie. Patronem peregrinacji bohatera jest Ludwig Wittgenstein, a ponurym memento – budowie forteczne nowożytnej Europy. Wszystkie książki w przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz. ©

jako zbyt germańskie) na angielskiej szosie w grudniu 2001.

Oto kolejno wylania się Sebald chłopiec i zbuntowany, skłócony z ojcem nastolatek, student filologii germańskich we Fryburgu, emigrant, nauczyciel akademicki w Manchesterze i Norwich, zadzierzasty krytyk rewidujący kanon powojennej literatury niemieckiej, melancholik ze skłonnością do depresji, maniakalnie pedantyczny pisarz, pracoholik i autor kilku tomów dziwnej prozy, które przyniosły mu zasłużoną sławę, ale też wyssały z sił i odebrały resztki zdrowia.

Swoją opowieść Angier obficie inkrukuje archiwalnymi fotografiami, naśladując graficzny kształt jego książek. Biografia wychodzi to na dobre i na złe. Złe, bo trudno oprzeć się wrażeniu, że obcujemy z irytującą imitacją „Czuje. Zawrót głowy” czy „Austerlitz”, do czego przyczynia się pretensjonalny, siłą się na Sebaldowską enigmatyczność tytuł: „Ciszo, przemów”. Dobrze, bo łącząc możliwie najściślej pisarstwo Sebald z jego życiem, Angier odkrywa powinowactwa głębsze niż trywialny schemat autobiograficzny. Przeplata życiorys Sebald z życiorysami jego postaci (bohaterowie zbioru „Wyjechali” otrzymali wręcz własne podrzdziały odpowiadające konkretnym etapom życia ich autora), sprawiając, że tworzą frapującą tkaninę. Nauczyciel Paul Berreyter, maniak kolei, czy Ambros Adelwarth, butler i towarzysz dziedzica bankierskiej fortuny Cosmo Salomona nie tylko mają coś z Sebald, ale rewanżują się tym samym, udzielają mu części własnego istnienia. W rezultacie Sebald jawi się jako istota o dalece niestabilnej ontologii. Bardziej widmo niż żywy człowiek.

Milczenia

Chciałoby się powiedzieć: imponująca praca i próżny trud. Kopiując metodę Sebald, jego biografka wpada w pułapkę, jaką na nią zastawił (i jest tego świadoma). Albowiem Sebald nie pozwala się przyszpilić. Jego biografia jest jak mgławica. Pełna dziur i zgęstek narracyjnych, literackich kryptocytatów i podkradzionych elementów cudzych życiorysów, raz zbyt spoista, innym razem niepokojąco ulotna, pozbawiona substratu, być może faktycznie, jak proponuje Katarzyna Kończal (autorka „Sygnatur Sebald”), odzwierciedla nieciągłą, widmową naturę rzeczywistości.

Literackim wyrazem tejże widmowości są liczne imiona oraz to, jak o autorze „Austerlitz” pamięta się i mówi. Oraz nie pamięta się i nie mówi, bynajmniej nie tylko dlatego, że część potencjalnych rozmówców już umarła. Angier odsłania niemało problemów z pamiętaniem i mówieniem. Już na wstępie wylicza osoby, które odmawiając rozmowy o pisarzu, wydatnie powiększyły białe plamy: żona, córka, najbliższy przyjaciel, zaufany redaktor. Spadkobiercy nie tylko zablokowali biografce dostęp do archiwów i prywatnej korespondencji, ale także zabronili cytować jego utwory i publiczne wypowiedzi. „Historia życia pisarza jest bardzo dziurawą siecią” – podsumowuje Angier historię swego tkania. I faktycznie, niektóre partie książki, skądinąd przegadanej i nie wolnej od dłużyń, składają się w większej części z milczenia niż z mowy.

Milczał również sam Sebald. Owszem, w ostatniej dekadzie życia udzielał wywiadów, ale mylił tropy, zasłaniał się niepamięcią, kluczył. Osobliwe wrażenie: jego niechęć do wynurzeń koresponduje z niechęcią niemieckich dziadków i rodziców,

C W ramach
Festiwalu Conrada
PIOTR PAZIŃSKI
poprowadzi spotkanie
z **REINEREM STACHEM**,
biografem Franza Kafki.
23 października o godz. 16:00
na Scenie MOS
Teatru Słowackiego,
przy ul. Rajskiej 12

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

żeby mówić o Trzeciej Rzeszy, oraz ze strachem ocalańców z Zagłady, którzy po wojnie pragnęli całkowicie zatrzeć ślady dawnej tożsamości. Tak jakby walcząc z udawaną amnezją ojca i odszyfrowując sfingowane życiorysy żydowskich dzieci ewakuowanych do Anglii w Kindertransportach, nasiąkł ich milczeniem.

W ogóle miał skłonność do nasiąkania. Sebald, zauważa biografka, a wtórują jej

przyjaciele i znajomi pisarza, nie tylko nazbyt utożsamiał się z innymi ludźmi, ale niejako wchłaniał ich los. Ile było w tym autentycznego współczucia, ile narcyzmu – trudno przesądzać. Nie ulega kwestii, że przewrażliwienie i zmysły wyostrzone do granic wydolności kosztowały go wiele. Pod koniec życia Max (imię zarezerwowane dla najbliższych) spalał się w zawrotnym tempie.

W swoim ostatnim wykładzie, wygłoszonym w Stuttgarcie miesiąc przed śmiercią, który stał się czymś w rodzaju testamentu, mocno podkreślił restytucyjny wymiar pisania. Służy ono nie tylko zapisowi faktów czy poznaniu naukowemu, ale odzyskiwaniu tego, co utracone, może wręcz ożywianiu umarłych. Wziąwszy sobie ten postulat do serca, Carole Angier spróbowała ożywić Sebalda. Ale on wymknął się jak duch. Tylko umarli tak potrafią.

© PIOTR PAZIŃSKI

Carole Angier, **CISZO, PRZEMÓW. SZUKAJĄC W.G. SEBALDA**, przełożył Maciej Stroiński, Znak, Kraków 2024

REKLAMA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

Oglądaj finał konkursu
Nagroda POLIN 2024!

28 października, g. 20:00

Współna instytucja kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Warszawa

STOWARZYSZENIE
HISTORICAL INSTITUTE
HISTORICAL INSTITUTE

Meccenas Museum

Sponsor strategiczny Museum

Oficjalny przewoźnik Museum

ORLEN

tvn

WARNER BROS.
DISCOVERY

LOT

Dofinansowano:

F

Federalne Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Współorganizator

Meccenas konkursu (gł. finałowej)

STOWARZYSZENIE
HISTORICAL INSTITUTE
HISTORICAL INSTITUTE

Jankilevitch Foundation



Przeczytane, nierozliczone

MONIKA OCHĘDOWSKA

Legimi nie płaci za sprzedawane i wypożyczane książki – twierdzą wydawcy. Konflikt z prywatną platformą streamingową sprawił, że dostęp do nowości stracili przede wszystkim czytelnicy publicznych bibliotek.

LEGIMI TO PIERWSZA PLATFORMA, KTÓRA pozwoliła Polakom czytać w streamingu. Nie trzeba z góry decydować o tym, co chcemy kupić. Możemy, jak w księgarni, najpierw przekartkować wybrane pozycje albo wysłuchać fragmentu audiobooka. Opłacając miesięczny abonament, podobnie jak robimy to korzystając ze Spotify czy Netflix, zyskujemy dostęp do nieprzebranej oferty nowości w formie cyfrowej.

Jak być nie powinno

Jeśli jednak w domowym budżecie nie mamy akurat wystarczających środków, z pomocą przychodzą miejskie biblioteki. Wiele z nich, każdego miesiąca, udostępnia setki dostępów do Legimi, płacąc za nie uprzednio z publicznych pieniędzy (jedna tylko wypożyczalnia w małym mieście na południu kraju udostępnia rocznie, jak wynika z umowy przedstawionej do wglądu „Tygodnikowi”, 1200 abonamentów Legimi, za każdy z nich płacąc platformie 17 zł).

Kiedy przeczytamy lub przesłuchamy co najmniej 10 proc. książki, następuje odpowiednio jej wypożyczenie lub zakup, tzn. nasza decyzja zostaje zaraportowana do Legimi i – co za tym idzie – do platformy dystrybucyjnej wydawnictwa. Transakcję widzi zarówno sklep, operator platformy, który dostarcza pliki, jak i sam wydawca. A przynajmniej – tak powinno być.

Tymczasem, „z powodów technicznych”, jak twierdzi Legimi, przez co naj-

mniej kilka miesięcy, począwszy od kwietnia, książki były co prawda dostarczane do czytelników, ale ten fakt nie zawsze był odnotowywany w raportach wydawców. Co za tym idzie – ani wydawca, ani autor nie otrzymywali wynagrodzenia za kupione i wypożyczone przez Legimi książki.

– Stwierdziliśmy dwie nieprawidłowości – wyjaśnia w rozmowie z „Tygodnikiem” Marek Dobrowolski, wiceprezes ds. handlowych wydawnictwa Nasza Księgarnia. – Po pierwsze, kolejni wydawcy zgłaszali sobie nawzajem brak w systemie transakcyjnym rozliczeń tytułów, które na pewno były słuchane lub czytane. Pojedyncze przypadki, ale znamienne. To dało nam do myślenia i zaczęliśmy sprawdzać swoje oferty na Legimi.

Nasza Księgarnia korzysta z usług Platformy Dystrybucyjnej Wydawnictw, którą powołała do życia ponad dziesięć lat temu grupa dużych wydawców. PDW dostarcza pliki do sklepów internetowych, takich jak Legimi, iTunes czy EmpikGo. To ułatwienie dla obu stron – sklepy negocjują i rozliczają się z jednym podmiotem, który ma tytuły ponad 50 wydawców na wyłączność. Poszczególni wydawcy nie potrzebują z kolei osobnej platformy do przechowywania plików, ich zabezpieczenia, fakturowania itd. Jak się okazało, współpraca z PDW ułatwiła właścicielom wydawnictw również wykrycie nieprawidłowości.

– Wpadliśmy na pomysł, żeby odczyty i odsłuchy w aplikacjach Legimi potwier-

dzić notarialnie – opowiada Dobrowolski. – A potem – także notarialnie – potwierdzić dane również w systemie rejestrującym transakcje. Okazało się, że w rozliczeniach Legimi brakuje średnio 50 proc. czytanych i słuchanych tytułów.

Z aktami notarialnymi w rękach przedstawicieli wydawców udali się na rozmowy z Legimi, żądając, pod groźbą skierowania sprawy na drogę procesową, wiarygodnych danych oraz pełnego audytu systemu Legimi. Finalnie okazało się, że od kwietnia nie zarejestrowano co najmniej kilkudziesięciu tysięcy transakcji.

Te liczby potwierdza w rozmowie z „Tygodnikiem” prezes PDW, Adam Nowicki, uprzedzając jednak, że mogą być niedoszacowane, ponieważ Legimi cały czas dostarcza kolejne dane.

– Na nasze pytanie, co działo się wcześniej, a więc przed kwietniem 2024, dostaliśmy odpowiedź, że „wszystko było ok” – żadnych danych, dowodów, audytów – mówi rozgoryczony Dobrowolski.

Czy był to rzeczywiście problem technologiczny? Albo, jak napisało w oficjalnym piśmie Legimi, błąd wynikający z tego, że „rzeczywistość technologiczna jest złożona”?

– Nasi informatycy uważają, że nie szło tego „problemu” nie zauważyć – twierdzi Nowicki. – Jeśli rzeczywiście doszłoby do awarii, prawdopodobnie na drugi, trzeci dzień mieliby w Legimi jasny komunikat, że coś nie gra. Jesteśmy na etapie wyjaśniania, dlaczego nikt nie alarmował.



PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Za ułamek kwoty

Wydawcy są rozgoryczeni nie tylko z powodu niezafakturowanych transakcji. Zresztą, jak mówią nieoficjalnie ci mniejsi, niezrzeszeni w PDW – branża przeczuwała, że nie jest rozliczana *fair*, ale umowy z Legimi i tak były dużo korzystniejsze od tych, które proponuje konkurencyjny Empik. Brak na rynku dużego gracza, który płaci „w miarę uczciwie”, oznaczałby dla wielu małych wydawców katastrofę. Właśnie do tych argumentów zdaje się odwoływać w swoim oficjalnym stanowisku Legimi. Ale na problemach z fakturowaniem nie kończą się zarzuty pod adresem platformy.

– Równocześnie z pierwszymi próbami zrozumienia, dlaczego transakcje nie są rejestrowane, stwierdziliśmy, że oferta wydawców kierowana do bibliotek publicznych na specjalnych, bardzo korzystnych dla Legimi warunkach jest dostępna także w komercyjnych usługach dla pracowników dużych, bogatych firm, w ramach oferty MultiLife – mówi Dobrowolski.

Słowem: Legimi oferowało abonament z pełną ofertą biblioteczną za ułamek kwoty, którą powinien płacić wydawcy pracodawca oferujący w swojej firmie książki w ramach pracowniczego benefitu. Ile było tych tzw. bibliotek zakładowych, które otrzymały abonament skierowany do bibliotek publicznych?

Nowicki: – Naliczyłem ponad 40 klientów korporacyjnych, czyli podmiotów, które nie były bibliotekami, a były zaopatrywane przez Legimi na tych warunkach, na których my, jako PDW, ale też wydawcy, których obsługujemy, zgodziliśmy się dystrybuować książki bibliotekom.

17 zł wynosi koszt pojedynczego dostępu bibliotecznego do Legimi.

2040 bibliotek otrzymuje dofinansowanie na zakup książek, także w wersji cyfrowej.

26 tys. książek dostarcza w ofercie bibliotecznego dla Legimi Platforma Dystrybucyjna Wydawnictw (PDW), zrzeszająca ponad 50 wydawców.

92 tys. audiobooków i e-booków kupiły łącznie w zeszłym roku biblioteki publiczne. Ile tytułów zakupiono poprzez Legimi? Nikt nie prowadzi takiej ewidencji. Biblioteki wykazują jedynie całość wydatków na książki. Żadna z pytaných przez nas instytucji – Biblioteka Narodowa, Instytut Książki, Polska Izba Książki, Biblioteka Analiz, GUS – nie posiada danych obrazujących wielkość zakupów bibliotek od poszczególnych dostawców.

879 tys. kodów do platform cyfrowych (abonamentów) udostępniono w zeszłym roku czytelnikom bibliotek.

375 mln zł wart jest mniej więcej rynek książki elektronicznej w Polsce.

– Legimi twierdzi, że oferta biblioteczna może obejmować pracowników firm, bo są tam pracownice biblioteki – dodaje Dobrowolski. – To oczywiście nieprawda, ale nikt tego nie zweryfikuje. My dowodzimy, że to nadużycie, ponieważ o niczym takim nie mówią nasze umowy z Legimi. Więcej, mamy w nich jasno zapisane, czym jest biblioteka oraz jaka powinna być „fizyczna” procedura nadawania czytelnikowi uprawnień do korzystania z naszych plików.

– Kiedy tworzyliśmy ofertę dla bibliotek w kwietniu 2020 r., zależało nam, by dotrzeć do ludzi, którzy lubią czytać, a których nie stać na książki – opowiada Nowicki. – Albo do takich, którzy mają daleko do księgarni, ale mają niedaleko małą bibliotekę wiejską. Do tych, którzy lubią biblioteki i korzystają z czytników książek elektronicznych. W pewnym momencie jednak Legimi zaczęło ją udostępniać podmiotom, które powinny kupować książki w regularnych cenach bez preferencji w zakupie.

Ostatecznie wydawcy – na czas ustaleń z Legimi – postanowili wycofać swoje tytuły z oferty bibliotecznego. Wszystkie biblioteki, które kupowały dla swoich czytelniczek i czytelników dostęp do platformy Legimi, z dnia na dzień straciły z półek ok. 26 tys. cyfrowych książek – głównie nowości. Platforma podniosła też ceny abonamentów, tłumacząc swoją decyzję zmianami w prawie autorskim. Od 22 października będzie oferować tzw. Katalog Klubowy, w którym oprócz standardowej subskrypcji trzeba będzie ponosić dodatkowe opłaty za dostęp do książki. ©P

REKLAMA

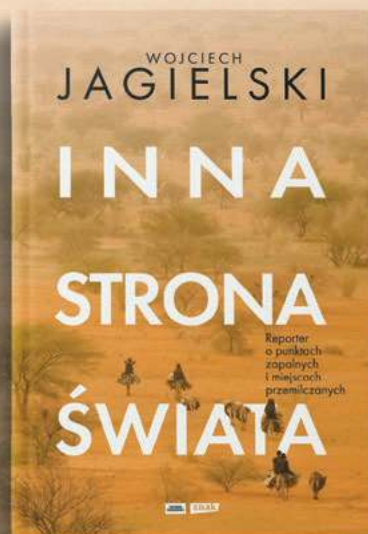
WOJCIECH JAGIELSKI o punktach zapalnych i miejscach przemilczanych

PREMIERA 23 PAŹDZIERNIKA

TYGODNIK
POWSZECHNY

znak

znak



Powrót króla

ANITA PIOTROWSKA

„Dahomej” to filmowa hybryda, chwilami bliska sztuce wideo, poetyckiej medytacji czy, dla odmiany, zapisem konferencji z dziedziny studiów postkolonialnych. Jednocześnie może być dowodem na to, ile dzisiaj znaczy kino dokumentalne.

MIELIŚMY JUŻ KINO FABULARNE KRĘcone z perspektywy martwego bohatera i historie opowiadane na ekranie przez duchy. Ale dokumentu, gdzie tym, kto patrzy, jest zrabowany ongiś królewski posąg, a narratorem dusza całego narodu, jeszcze nie było. Film „Dahomej” Mati Diop stosuje takie udziwnienia nie dla samej ich atrakcyjności. Wydarzenie, jakim był przed dwoma lat zwrot Republiki Beninu dwudziestu sześciu cennych obiektów, złupionych przez Francuzów w czasach kolonialnych, stało się pretekstem dla stworzenia oryginalnego filmowego eseju. Trwa zaledwie godzinę, lecz dotyka kwestii związanych z tożsamością, zbiorową pamięcią, muzealnictwem, z odzyskiwaniem historii. I mimo że traktuje ściśle o Afryce, niektóre problemy, na przykład dominacji kulturowej, można śmiało odnieść do dużo bliższych nam rejonów świata.

Ktokolwiek odwiedził paryskie muzeum Quai Branly, noszące imię Jacques’a Chiraca, musiał być pod wrażeniem zgromadzonych tam artefaktów, pochodzących z innych niż Europa kontynentów. Najczęściej dla zwiedzającego to po prostu wytwory kultur „egzotycz-

nych”, nazywanych dziś rdzennymi. Jednakże dla osoby bezpośrednio związanej z taką kulturą bywają one czymś więcej aniżeli eksponatami – więcej niż dziełami sztuki czy nawet częścią materialnego dziedzictwa. Tak było z przedmiotami wywiezionymi w 1892 r. z Królestwa Dahomeju (jak nazywał się wówczas Benin) i pochodząca z Senegalu reżyserka próbuje uchwycić tę różnicę. Jej film tylko pozornie przypomina suchą relację z ważnego wydarzenia, o czym świadczy ironiczny początek. Oto gdzieś nad Sekwaną wtopiona w ciemne tło postać sprzedaje wprost z chodnika plastikowe, migoczące światłkami wieże Eiffla, których pierwowzór znajduje się niedaleko wspomnianego muzeum. Tymczasem po rzecze przepływa właśnie stateczek z zadowolonymi turystami. „Połącz kropki”, mówi Diop, zanim zamknie nas w drewnianej skrzyni i zabierze w podróż do Beninu.

Najpierw jednak przygląda się na chłodno przygotowanym do transportu dahomejskich figur, a jeszcze wcześniej dopuszcza do głosu jedną z nich. „Sto trzydzieści lat w niewoli dobiega końca” – słyszymy zza kadru. I, chociaż zachodnioafrykański kraj cieszy się niepodległością siódmą już dekadę, wspomniana „niewola” wykracza daleko poza sytuację polityczną. Jak się za chwilę okaże, ów głos – ni to męski, ni kobiecy, pojedynczy i równocześnie unisono – należy do jednego z królów Dahomeju, a właściwie do jego obrzędowego wcielenia. Teraz drewniany posąg o władze prawie ćwierci tony powraca do ojczyzny. Razem z nim

tron królewski, inne sakralnie nacechowane rzeźby czy intrygująco wykonane przedmioty „do uwieczniania wspomnień o zmarłych”. Wszystkie one filmowane są w sposób szczególny, jakby były istotami ludzkimi. Kamera podpatruje paryską ekipę, gdy ostrożnie pakuje i zabezpiecza benińskie skarby oraz dokumentuje cały proces, by w końcu wysłać przedmioty do Pałacu Prezydenckiego w Kotonu. Podczas tej drobiazgowej rutyny „narrator”, któremu tekst napisał haitański pisarz Makenzy Orcel, dzieli się z nami zarówno ekscytacją, jak i obawami związanymi z powrotem. Wszak dzisiejszy Benin nie jest niegdyśjszym Dahomejem. Dlatego duch, będąc wreszcie na miejscu, błąka się nocą wokół swojej nowej siedziby, w poszukiwaniu zapachów „z dzieciństwa”.

Poza tym spirytualnym tłem dokument Diop może się wydawać ostentacyjnie wręcz nieefektywny. Tak jak pierwsza część skupiała się na inwentaryzacji i logistyce, tak drugą stanowi... rejestracja debaty, jaką benińscy studenci toczą między sobą w związku z odzyskaniem dóbr. Lecz trzeba przyznać, że porywająca jest ta burza mózgów. Odbywa się, rzecz jasna, po francusku, co zresztą też staje się tematem tego bardzo emocjonalnego sporu (ciekawe, czy i na ile podkreścanego przez reżyserkę). Nie wszyscy są zachwyceni faktem, iż drogie przedmioty nareszcie zostały Benińczykom zwrócone. Argumenty są najróżniejsze, zbijają się nawzajem i dopełniają, komentują również polityczność tego gestu. Ale także na jego symboliczny charakter



**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE NOWE HORYZONTY

DAHOMEJ

(Dahomey)

– reż. Mati Diop.

Prod. Francja/

/Senegal/Benin 2024.

Dystyrb.

Stowarzyszenie

Nowe Horyzonty.

W kinach

od 25 października.

Mati Diop
to francuska
reżyserka,
scenarzystka
i aktorka
o korzeniach
senegalskich. Po
nakręceniu kilku
krótkometrażówek
zadebiutowała
w 2019 r. filmem
„Atlantyk”,
kręconym m.in.
w Dakarze
i nagrodzonym
Grand Prix
w Cannes. Jej drugi
film, dokument
„Dahomej”,
zwygrzył tegoroczne
Berlinale i jest
kandydatem
Senegalu do Oscara.

Na zdjęciu: Josée
Guedje w filmie
„Dahomej”,
reż. Mati Diop

w znaczeniu ilościowym, przekazano bowiem zaledwie kroplę w morzu skradzionych dzieł.

„Dahomej” to filmowa hybryda, chwilami bliska sztuce wideo, poetyckiej medytacji czy, dla odmiany, zapisom konferencji z dziedziny studiów postkolonialnych, i w niczym nie przypomina sformatowanych dokumentów sensacyjnych znanych z platform streamingowych. Jednocześnie może być dowodem na to, ile dzisiaj znaczą kino dokumentalne, przynajmniej w obiegu festiwalowym. Nikogo już nie dziwi, iż do głównych konkursów najważniejszych festiwali, sprofilowanych pod fabuły, coraz częściej przyjmuje się właśnie dokumenty. Co więcej – to one je potem wygrywają. Film Diop ze swoim Złotym Niedźwiedziem nie jest tu wyjątkiem. Dwa lata temu z tą statuetką opuścił Berlinale „Adamant” Nicholasa Philiberta, o niezwyklej ośrodku na sekwańskiej barce, pomagającym osobom w kryzysie zdrowia psychicznego. W 2013 r. weneckiego Złotego Lwa otrzymała „Rzymska aureola” Gianfranco Rosiego, który przez dwa lata dokumentował życie toczące się przy drodze szybkiego ruchu. Trzy lata później jego „Fuocoammare. Ogień na morzu”, dokument o kryzysie uchodźczym, zwyciężył na Berlinale, a w roku 2022 „Cale to piękno i krew” Laury Poitras, o walce artystki Nan Goldin z opioidowym gigantem, wygrało Wenecję. Niedawno Europejska Akademia Filmowa ogłosiła, że do nagrody dla najlepszego filmu roku mogą być zgłaszane nie tylko fabuły, co od dawna ma miejsce w przypadku Oscara dla najlepszego filmu międzynarodowego.

Oczywiście można by rzec, iż filmy te po prostu wpisują się w modną obecnie tematykę dawnych krzywd czy obecnych wykluczeń. Dlaczego jednak forma dokumentalna przemawia mocniej? O to należałoby zapytać Mati Diop, której „Atlantyk” był baśniową opowieścią o miłości, wzbogaconą wątkiem desperackiej emigracji z Senegalu do Europy. W dokumentalnym „Dahomeju”, naznaczonym podobnym realizmem magicznym, pojawia się zresztą ten sam złowrogi ocean. To nim płynęły kiedyś statki ze splądrowanego królestwa, to przez niego przepływają się dzisiaj mieszkańcy krajów obarczonych kolonialnym dziedzictwem. Rzuca się w oczy odmiennosc tego filmu i nic dziwnego. Dekolonizacja muzeów towarzyszy dekolonizacja ekranu, bo przecież nie tylko o jej czysto materialny, policzalny wymiar w tym wszystkim chodzi. ©

Lektor: Duchy z Czech



■ OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z JĘZYKA CZESKIEGO

Wybór, wstęp i noty o autorach Andrzej
S. Jagodziński. Tłumacze różni. Państwowy
Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024, ss. 672

ŚWIETNA I PIĘKNA SERIA SPRZED LAT – OBJĘŁA WTEDY PROZĘ francuską, rosyjską i niemiecką – została wznowiona i poszerzona. Dołączyły tomy zawierające opowieści niesamowite z literatury anglojęzycznych, krajów Hispanoameryki, literatury polskiej, włoskiej, a teraz czeskiej.

Duchy z Czech? Jak najbardziej. No i praski Golem, gliniana istota ożywiona przez rabiego Łowa. Najśłynniejsza powieść o Golemie napisana została wprawdzie po niemiecku przez Gustava Meyrinka, ale i w tym tomie się on pojawi, u Aloisa Jiráska, klasyka czeskiej powieści historycznej. Trzydziestu dwóch pisarzy przedstawionych czasem kilkoma tekstami i grono wytrawnych tłumaczy – tom potężny, choć obejmuje zasadniczo okres od romantyzmu po II wojnę światową. Wyjątkiem jest autobiograficzna proza noblisty Jaroslava Seiferta, opublikowana w latach 80. zeszłego wieku, ale wracająca do lat jego młodości. Bo, jak zatytułował swój wstęp znakomity Andrzej S. Jagodziński, znajdujemy się „poza czeskim kanonem”, a niektórzy z autorów byli przez wiele lat zapomniani. Są tu oczywiście postacie dla literatury czeskiej pierwszoplanowe, jak Karel Hynek Mácha, Jan Neruda, Jakub Arbes, Ladislav Klíma, Richard Weiner, Karel Čapek, Jiří Mahen, Jakub Deml, Jaroslav Durych i Vladislav Vančura, ale są też obficie reprezentowani dekadenci, w epoce minionej rzadko wspominani, i twórcy literatury popularnej.

Ciekawe jest śledzenie motywów wspólnych całemu europejskiemu gotycyzmowi czy modernistycznej fantastyce z ezoterycznym tłem. Zresztą w „Pustym fotelu” Karela Švandy ze Semčic pojawia się we własnej osobie mistrz romantycznej fantastyki E.T.A. Hoffmann, a akcja „Fantomu” tegoż autora toczy się wśród młodych pisarzy w przedrewolucyjnym Paryżu. Arthur Breiský, zafascynowany Stevensonem, przełożył jego „Klub samobójców” i opublikował wraz z dwoma własnymi opowiadaniem (są w antologii), podając je za dzieła Szkota. Mamy i wątki polskie – u Nerudy polska rodzina omal nie pada ofiarą wampirycznego Greka-malarza (rzecz dzieje się zresztą... na wyspie na Morzu Marmara), a Amálie Vrbová, publikująca jako Jiří Sumin, pseudonim wzięła od postaci z powieści Kraszewskiego. Nie zabrakło czołowego czeskiego dekadenta, a zarazem przyjaciela Polaków, jakim był Jiří Karásek ze Lvovic. Jest co czytać! ©®

OLGA

Drenda:

Po kolana mieli miecze, bo to było średniowiecze



W XII WIEKU POD PEWNYM KRZAKIEM w Chinach turlały się w zabawie dwa puchate kociątko, a z bezpiecznego dystansu ich harcom przyglądała się spokojnie mama. Scena ta przypomina moje codzienne życie domowe z kotami, mogę więc potwierdzić, że jest

wiarygodna. Namalował ją chiński artysta Mao Yi, któremu wychodziły również całkiem urocze pieski (na pewno podobniejsze do psów niż te znane ze sztuki europejskiej, ale ta miała wszak własne konwencje). Trzysta lat później, gdy w Europie stosowano już perspektywę (ale malowane psy nadal umiarkowanie przypominały te prawdziwe), w Korei dynastii Joseon, Yi Am malował słodkie niczym z internetu szczeniaki, które zyskały taką popularność, że pokochano je i przez dekady naśladowano w nieprzyjaznej królestwu Japonii. Taką kopią jest prawdopodobnie wizerunek śmiesznego pieska niosącego w pyszczku pióro, który można zobaczyć w muzeum w Filadelfii. Wygląda jak ilustracja, która mogłaby powstać dziś. Lecz nie tylko dziś kochano te urocze stworzenia – w sposób taki, jaki wydaje się właściwy naszym czasom, czyli skupiając się na tym, że są miłe i zabawne, a nie tylko uznając je np. za alegorię wierności. No ale według współczesnych wyobrażeń w dawnych wiekach nie było miejsca na słodkość: była tylko albo rozpusta, albo pokuta.

Jakiś czas temu po internecie krążyły wycinki z rozmowy z jednym ze współczesnych polskich publicystów-prowokatorów czy etatowych kontrariuszy. Nie mam ochoty pokazywać nikogo

palcem; kto chce, niech znajdzie sam. Ważne jest przekonanie naszego bohatera, że gdyby żył był w średniowieczu, to jego życie byłoby wspaniale proste, bo otrzymałby gotowy scenariusz: śać, żać, mieczem machać, nie zaniedbywać modlitwy i część – żadna zbędna myśl nie mąciłaby głowy. Obawiam się, że niestety za taką wizją stoi ciche pragnienie, by świat przypominał grę RPG, w której zostaje się łotrzykiem, wojownikiem albo mnichem i zbiera kolejne punkty many (a przede wszystkim, by mistrz gry powiedział, co robić). I równie, niestety, całkiem powszechne jest przekonanie, że w jakichś „dawnych czasach” – może w średniowieczu, a może przed II wojną, w każdym razie „kiedyś”, świat mógł taką grę przypominać – każdy rzekomo robił tylko to, co do niego należało, i nadmiernie się nie zastanawiał.

A jednak mamy sporo dowodów, że – zapewne ku zgrozie ludzi marzących o zawężeniu swego horyzontu tylko do tego, co należy – dawni ludzie również rozpyłali się nad śmiesznymi pieskami. Owszem, nierozsądnie byłoby zakładać, że „Jankes na dworze króla Artura” zbijałby ze wszystkimi piątki. Możliwe wręcz, że jakiś krewki kompan naszego tęskniącego za prostymi czasami bohatera w chwili zwyczajnego nieporozumienia, takiego, jakie dzisiaj kończy się łagodnym bluzgiem, rozkwaśiłby naszemu bohaterowi nos – bo, jak przypominał Norbert Elias w swoim wspaniałym studium o przemianach obyczajów w średniowiecznej Europie (oraz znakomita komedia „Goście goście”), była to epoka cechująca się większą niż dziś porywcznością w przeżywaniu namiętności i jeśli poszczono, to o chlebie i wodzie, a jeśli się kłócono, to na noże.

Ale nie możemy powiedzieć, że nie było podobieństw. Anna Brzezińska, mediewistka oraz autorka powieści historycznych i fantastycznych, specjalizuje się w przypominaniu takich dokumentów, które kalibrują nieco wyobraźnię, rozpędzoną albo w marzeniach o tym, że kiedyś istniał doskonale prosty świat, albo wprost przeciwnie – że XXI wiek poprzedzała tylko „śmierć i halucynacje z niedożywienia”. W dokumentach tych przejawiają się migawki „współczesnego” modelu życia, w którym – między rozpustą i pokutą oczywiście – rodzice bawią się wesoło z dziećmi, ojcowie wypełniają obowiązki przy kąpeli niemowlaków, a pieski są kochane. Nie jest to wynalazek „sentymentalnej” rzekomo współczesności, w której jak na złość nikt nie chce chodzić spać w szyszaku.

Najlepszej kalibracji co do „wczoraj” i „dziś” dostarcza jednak uprzytomnienie sobie, jak powszechną i nieśmiertelną jest ludzka skłonność do graffiti i świńskich żartów. Zawsze odwiedzając jakieś zabytkowe miejsce wypatruję podpisów, które ktoś pracowicie wydłubał w kamieniu, zwłaszcza ładnym charakterem pisma. A że sprawy te lubią chodzić w parze – niedawno przypomniałam sobie, że najstarszy odnaleziony sztubacki rysunek, dokładnie taki, jaki widnieje na marginesach zeszytów, ławkach szkolnych i przystankach autobusowych (państwo dobrze wiecie jaki), datowany jest na V lub VI wiek p.n.e. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

Ten piesek
pochodzi
z XXI wieku



PAWEŁ

Bravo:

Ozempic i inne namiętności



DWA DNI I DWIE NOCE BĘDZIESZ DEPTAŁ szorstki pył pustyni Mojave, aż pod samotnym kaktusem dopadniesz jaszczurkę zwaną gilą. Spijesz jej jad z pyska, a to cię uwolni od cielesnych trosk, znów staniesz się pięknym i szczupłym. O ile ci się uda wrócić do

samochodu i dojechać do szpitala. Gdzie ci powiedzą, żeś bez sensu ryzykował, bo zamiast pozyskiwać tłumiący łaknienie hormon GLP-1 z biednych gadów, jak to się robiło na początku wieku, nauczyliśmy się go syntetyzować, nazwaliśmy semaglutynem i sprzedajemy każdemu, kto ma ok. tysiąca złotych miesięcznie.

Byliście wśród pierwszych, którzy w Polsce czytali o tym przełomie w redukowaniu otyłości (leki takie jak Ozempic lub Wegovy). Dlatego należy wam się co jakiś czas raport o dalszych losach tego, co czasopismo „Science” określiło „przełomem naukowym roku 2023”. Nie, jeszcze nie dowiedzieliśmy się o poważnych skutkach ubocznych (mniej poważne, jak obstrukcja, już znamy). Mam nienaukową, ale jednak pewność, że będziemy o tym niebawem pisać, dość wspomnieć koniec lat 90., gdy nagle zakończyła się kariera fenfluraminy (tabletki Isolipan – ktoś je pamięta?), poprzedniego preparatu tak skutecznego, że oprócz apetytu kasował też zastawki w sercu i płuca.

Tymczasem jednak mamy dobrą wiadomość: według miarodajnego, rządowego źródła, wskaźnik otyłości wśród dorosłych w USA nadal wystaje ponad 40 proc. (!), ale spadł w ostatnich trzech latach o dwa punkty. Gazety już ogłosiły „początek końca epidemii otyłości”. Zazwyczaj cyniczny „Financial Times” porównał z entuzjazmem obecny moment do roku 1963, gdy przestała rosnąć w Ameryce sprzedaż papierosów.

Korelacja czasowa z powszechnym stosowaniem Ozempicu jest oczywista. Nic innego się ostatnio nie wydarzyło, co można by podpiąć pod trend. Choć niektórzy epidemiolodzy uważają, że osiągnęliśmy górny pułap biologiczny otyłości. To znaczy, że wszyscy genetycznie predysponowani do chorobliwego przybierania na wadze już się najedli (zamieszkali tam, gdzie łatwo się najieść) i, by tak rzec, się wypłaszczyli.

Zaiste, wielkie to wyzwanie – wskazać zależności w świecie danych niby tak „twardych” jak masa ciała. W dodatku mające kapitalne przełożenie na politykę, budzące wielkie nadzieje i wielkie pieniądze. Ale zaczekajmy z dywagacjami, ludzie o dobrej pamięci – zawsze gotowi zmarnować radosny nagłówek – przypominają, że podobne „wypłaszczenie krzywej” nastąpiło już w 2010 r., a gazety pi-

sały wówczas, że udało się opanować epidemię za sprawą mądrej polityki administracji Obamy, m.in. intensywnej promocji zdrowego odżywiania w szkołach. Za trzy lata nadejdą następne dane, na razie przyjmijmy, że przemawia przez nas potrzeba sprawczości; wiara, że potrafimy sobie poradzić z każdą plagą, że na wszystko znajdzie się sposób i jeszcze będzie cudownie.

Zaciekawiła mnie uwaga badaczy, że jest pułap, powyżej którego populacja nie może przytyć. Och, szczęśliwi przyrodnicy widzący człowieka jedynie w białkowej formie. Jedna rzecz, to ile możemy zjeść, druga, to jak chora i zdegradowana może być ta konsumpcja. Mój kolega najął się do roboty jako kurier aplikacji dostaw do domu. Mam nadzieję, że napisze o tym książkę, bo ma niezłe pióro. Już opowiada rzeczy straszne o tym, jak ludzie posiadający jeszcze dwie nogi i zdrowie każą mu wziąć byle co ze sklepu oddalonego o dwie przecznice. Ciała jednostek więcej może nie urosnąć – tu przyroda stawia barierę – ale społeczność będzie jeszcze długo puchnąć.



Zupa z kasztanów i grochu

0,75 kg kasztanów jadalnych 0,30-0,40 kg suszonego grochu (lub ciecioriki) ■ czosnek ■ rozmaryn ■ liść laurowy ■ nasiona kopru włoskiego

Niestety, są też zdrowe rzeczy, od których (chwilowo) się puchnie. Choćby strączkowe, nasza pociecha na zimne dni. Na pierwsze wieczory czasu zimowego (to już w niedzielę!) możemy zrobić inny niż zwykle wariant grochówki. Wstawiamy **kasztany** do zimnej wody z **laurem** i **koprem włoskim**, doprowadzamy do wrzenia, gotujemy ok. 40 minut, studzimy, obieramy, rozdrabniamy palcami miąższ. Równolegle gotujemy do miękkości **groch** w 1,5 l **wody**, odczeczamy, nie wylewamy wody. Na dnie dużego garnka podgrzewamy na oliwie **ząbek czosnku**, wkładamy miąższ kasztanowy, dusimy przez parę minut, mieszając, dodajemy **gałązkę rozmarynu**, groch i zalewamy wodą w takiej ilości, by wyszła gęsta zupa. Gotujemy całość jeszcze kwadrans, wyjmujemy rozmaryn, na talerzach dodajemy nieco surowej **oliwy**. ©



Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



MICHAŁ ZIÓŁKOWSKI / MATERIAŁ PRASOWY INSTYTUT PILECKIEGO

Prof. Grzegorz Hryciuk, Kalina Błażejowska, Christopher Miller z Nagrodą Pileckiego 2024

O WOJNIE Z WRAŻLIWOŚCIĄ

KSIĄŻKI, KTÓRE TRZEBA PRZECZYTAĆ

Każdego roku na rynku wydawniczym ukazuje się wiele publikacji historycznych – z uwagi na trudną tematykę mają znikome szanse wybić się w rankingach czytelnictwa. Tymczasem są to świetnie napisane i doskonale udokumentowane książki ukazujące naszą przeszłość w najrozmaitszych, czasem zupełnie niespodziewanych aspektach. Aby zachęcić czytelników do tej niezwyklej lektury i docenić jej twórców, w 2021 r. ustanowiona została Międzynarodowa Nagroda im. Witolda Pileckiego. Znamy tegorocznych zwycięzców.

„Gratuluję wszystkim nominowanym, wierząc, że dzięki temu wyróżnieniu ich książki zostaną dostrzeżone nie tylko w wąskich kręgach specjalistów. Dziękuję Instytutowi Pileckiego za organizację nagrody i uważność na poszerzanie rozumienia świata, w którym żyjemy” – pisała w październiku tego roku ministra Hanna Wróblewska, szefowa resortu kultury i dziedzictwa narodowego, która objęła honorowym patronatem galę wręczenia nagród.

Pomysł ustanowienia takiej nagrody wziął się z potrzeby uhonorowania autorów, którzy nie boją się pisać o rze-

czach bolesnych, podtrzymując wiarę w fundamentalne wartości: godność człowieka, dążenie do prawdy, gotowość do poświęceń, solidarność z prześladowanymi. Wybór patrona nagrody był naturalny – Witold Pilecki jest autorem raportów, które poza wartością faktograficzną zawierają głęboką humanistyczną refleksję nad codziennym życiem w obozie zagłady.

Kapitułę Nagrody tworzą dr Piotr Cywiński (przewodniczący), dr Wojciech Kozłowski, dr Łukasz Adamski, prof. Richard Butterwick-Pawlikowski, prof. Marek Cichocki, prof. Patrycja Grzebyk, prof. Marek Kornat, dr Wojciech Stanisławski, prof. Claudia Weber, korespondent wojenny Jack Fairweather oraz Krzysztof Kosior, prawnuk Witolda Pileckiego. Kapituła nominuje kilkanaście najciekawszych tytułów w kategoriach: naukowa książka historyczna, reportaż historyczny, i tzw. nagroda specjalna, początkowo honorująca korespondentów wojennych, od 2022 r. przyznawana za najlepszą książkę na temat trwającej od 2014 r. agresji Rosji na Ukrainę lub od 2020 r. protestów na Białorusi i związanych z nimi represji. Laureaci każdej z kategorii dostają 40 tys. złotych oraz okolicznościową

statuetkę. Nagroda dla autorów wyróżnionych książek to 15 tys. złotych.

W tym roku Kapituła wyłoniła zwycięzców spośród trzynastu nominowanych publikacji. Nagrodę w kategorii „Naukowa książka historyczna” odebrał prof. **GRZEGORZ HRYCIUK**. Jego książka „Przesiedleńcy. Wielka epopeja Polaków 1944–1946” (Wyd. Literackie), opisująca przymusowe przesiedlenia 800 tys. Polaków z Kresów na Ziemię Zachodnie jest analizą istotnego, choć często otoczonego błędnymi przekonaniami rozdziału historii Europy Środkowo-Wschodniej, a także uniwersalną opowieścią o stracie i budowaniu życia na nowo. Opowiadając o tej monografii, Hryciuk wskazał ważny aspekt, z którego rzadko zdajemy sobie sprawę: „Zrozumienie, że pod zagregowanymi w tabelach liczbami kryją się ludzkie losy, każe w informacjach o wydarzeniach ze świata poszukiwać nie oblicza polityków, celebrytów, ale twarzy zwykłych ludzi, których życie kształtowane jest przez zapadające z dala od nich decyzje”.

W tej samej kategorii „Naukowa książka historyczna” kapituła wyróżniła dwie publikacje. Pierwsza to „Stermierze wolności i zakładnicy imperium. Emigracyjny dialog polsko-rosyjski w latach 1939-1956. Konfrontacje idei, koncepcji oraz analiz politycznych” (Wyd. IH PAN) dr. **ŁUKASZA DRYBLAKA**, który prześledził dialog między emigracyjnymi publicystami, koncentrując się na tematach dla nich najgorętszych, a zatem na polityce ZSRS wobec narodów pozostających w strefie jego wpływów. Zachęcając czytelników do przeczytania książki Dryblak zaznaczył: „Fascynowało mnie, w jaki sposób Rosji wciąż udaje się uwodzić ludzi, nawet w Polsce, gdzie postrzegana jest ona negatywnie. Niepokoiło mnie to, jak w gruncie rzeczy niewiele wiemy o Rosji, jak słabo rozumiemy jej strategię”.

Drugie wyróżnienie przypadło dr **KATARZYŃCE NOWAK** za książkę „Kingdom of Barracks. Polish Displaced Persons in Allied-Occupied Germany and Austria” (Wyd. McGill-Queen’s University Press). Na podstawie bogatego materiału źródłowego autorka opisała codzienność Polaków przebywających w obozach dla uchodźców po II wojnie światowej. W oczach aliantów i polskich elit miejsca te służyły „ponownemu ucywilizowaniu”, jednak w rzeczywistości ludzie z różnych środowisk i klas społecznych dzielili przestrzeń w pełnych robactwa barakach.

W kategorii „Reportaż historyczny” kapituła nie wyróżniła nikogo z nominowanych, a nagrodę główną przyznała reporterce i publicystce **KALINIE BŁĄŻEJOWSKIEJ** (wieloletniej redaktorce „Tygodnika Powszechnego”) za niezwykle trudną i poruszającą opowieść „Bezdušní. Zapomniana zagłada chorych” (Wyd. Czarne). Jest to oparta na nieznanych dotąd dokumentach, relacjach świadków i rodzin ofiar historia zapomnianej zagłady niepełnosprawnych dzieci, chorych psychicznie dorosłych i wymagających stałej opieki osób starszych. Niemieccy lekarze w ramach

programu „eutanazji” za tytułowych „bezduśnych” uznali co najmniej 20 tys. Polaków. „Jeden z moich bohaterów dopiero ode mnie dowiedział się, że jako sześciolatek przebywał ponad rok w nazistowskim domu dziecka – zupełnie wyparł to z pamięci. Mam nadzieję, że dzięki »Bezduśnym« uda mu się wreszcie znaleźć jakieś informacje o jego ojcu, fryzjerze Franciszku Lelonku z Katowic, rozstrzelanym w Auschwitz” – wyznała autorka.

Nagrodę specjalną otrzymał amerykański pisarz **CHRISTOPHER MILLER** za publikację „The War Came To Us: Life and Death in Ukraine” (Bloomsbury Publishing PLC). Przenikliwie i z niezwykłą wrażliwością spisał osobiste przeżycia, relacje z frontu oraz rozmowy z bohaterami, uwzględniając tło historyczne, w tym genezę trwającej wojny. Rozległa, zróżnicowana, zbuntowana i pełna nadziei – taki obraz Ukrainy wyłania się z książki Millera. „Wierzę, że książki naprawdę mają moc zmieniania rzeczywistości. Wierzę, że moja książka może wpłynąć na wydarzenia w Ukrainie, a zwłaszcza na wsparcie dla Ukrainy od jej zachodnich partnerów, w tym szczególnie mojego kraju, Stanów Zjednoczonych. Dzięki lepszemu zrozumieniu wojny i działań Rosji w Ukrainie czytelnicy w Polsce, innych państwach Unii Europejskiej czy Stanach Zjednoczonych mogą wyraźniej dostrzec, co jest stawką tej wojny i jak mogą pomóc. Wiele osób mówi mi po lekturze mojej książki, że nie zdawały sobie sprawy, od jak dawna trwa zbrojna agresja Rosji w Ukrainie, i że wojna zaczęła się w 2014, a nie 2022 roku” – tymi słowami autor podsumował pracę nad książką.

Do roku 2014 przenosi też czytelnika **OŁENA STIAŻKINA**, historyczka i dziennikarka wyróżniona w kategorii specjalnej za książkę „Ukraine, War, Love: A Donetsk Diary” (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute), dokumentującą rosyjską okupację Doniecka. Wspominając pracę nad książką, Stiażkina wzruszająco mówi o naszej postawie: „Wiem, że dla znacznej części Polaków nasza wojna zaczęła się w 2014 roku. Polska nigdy nie odwracała wzroku, nigdy nie zamykała oczu (...) Moje życie w Polsce jest niespodziewanym prezentem. To całkiem oczekiwana, pożądana i cenna sposobność, by powiedzieć: Dziękuję Wam za wszystko. Nigdy nie zapomnimy potęgi Dobra, które Polacy dali Ukrainie i Ukraińcom”.

W tym roku gala wręczenia Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego zbiegła się w czasie z wydarzeniem o szczególnym wymiarze naukowym – była jednym z punktów programu trzydniowej konferencji poświęconej przyszłości badań nad Europą Środkową i Wschodnią.



Szczegółowe informacje na temat Konferencji oraz Nagrody Pileckiego są dostępne na stronie www.instytutpileckiego.pl

Artykuł powstał we współpracy z Instytutem Pileckiego.



Leszek Szaruga, grudzień 2023 r.

ZMIANY PRZESĄDÓW

LESZEK SZARUGA, POETA:

Chciałbym odwlec koniec nie dlatego,
że się boję, tylko żeby pozamykać to, co zacząłem.
Moja mama mówiła, że trzeba pozawiazywać za sobą wszystkie kokardki.
Bardzo mi się to podobało.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Jak Ty się właściwie nazywasz?

LESZEK SZARUGA: Aleksander Wirpsza, ale to tylko dla fiksusa czy innych urzędów. Raz jeden jedyny opublikowałem wiersze pod tym nazwiskiem – to był debiut w 1967 roku, potem już używałem pseudonimu. Nie chciałem, zważywszy rolę ojca i rangę jego twórczości, żyć w jego cieniu i do końca życia być „młodym Wirpszą”. To dziś byłoby nawet zabawne.

W tym roku kończysz 77 lat, to dużo?

Relatywnie dużo. W mojej rodzinie nikt nie dożył siedemdziesiątki. Też byłem przekonany, że nie doczekam. Miałem już dwa zawały, mam cukrzycę, wszystko wskazuje na to, że powinienem się stąd już dawno zabrać... Ale jednak mi się nie chce, bo wewnątrz jestem dość młody, tkwię pomiędzy '68 a '80 rokiem ubiegłego stulecia. Jakoś w tych okolicach.

Czemu akurat tam?

Wtedy mi się żyło najmocniej i najszybciej. To nie tylko sprawa młodości. Też relacji międzyludzkich, które wtedy były bardziej bezpośrednie, bardziej spontaniczne, żywsze. Ja wtedy i z młodymi, i ze starszymi ludźmi miałem mnóstwo kontaktu. Żyłem w środowisku, w którym się człowiek angażował w działania publiczne, co mnie bardzo kręciło. I za tym bardzo tęsknię – że ludzie chcieli i umieli ze sobą współpracować, że mogło powstać coś takiego, jak np. „Agencja Solidarność”, gdzie nikt nikogo nie musiał gonić do roboty. To działało jakby siłą międzyludzkiego napędu, bardzo rzadko dochodziło do jakichś spięć. Mielśmy poczucie, że robimy coś ważnego, nowego, wspólnego. I wszyscy mieliśmy podobne odczucie, że tak się dalej nie da żyć.

W komunie?

W tamtym systemie. On naprawdę był już nie do zniesienia. I nie chodzi nawet o sprawy gospodarcze czy polityczne, tylko o zablokowanie wyobraźni. To jest coś najstraszniejszego. Cenzura knebłowała usta, a potem człowiek łapał się na tym, że sam się cenzuruje. To jest koszmarnie. Nie tylko dla twórcy. Ja to wtedy bardzo dotkliwie odczuwałem. Więc takie uczucie, że razem robimy coś, żeby to zmienić, było wspaniałe. Zresztą gdy chodzi o „podziemkę” – byłem w redakcji „Pulsu” [pismo literackie, wydawane nielegalnie poza cenzurą 1977-1981] – to wciąż powtarzałem, że robimy to po to, żeby tego nie robić.

A jak się czujesz dzisiaj?

Ciało jest ciałem, starzeje się, na to rady nie ma. Nie zrobię tu już salta z marszu, jak kiedyś robiłem, nie pójde się po wspinać, nie pobiegam nawet. Ta maszynka wysiada powoli. Ale to nie znaczy, że brak mi wigoru, żyję dość gęsto i szybko.

Można się z tymi utratami pogodzić?

Trzeba – to natura rzeczy, nie da się tego zablokować. Mam jednak szczęście – wciąż mogę pogodzić starość z pracą i apetytem na życie.

Ale jak?

Po prostu. Zwyczajnie. Tak to biegnie. Musisz przyjąć, że tak po prostu jest. Kolejne życiowe doświadczenie. Jak mnie kiedyś zamknęli do więzienia, to mnie zamknęli, to było moje ówczesne

sne doświadczenie. Jak teraz mam 77 lat, to mam 77 lat, moje dzisiejsze doświadczenie. Nie robię z tego problemu, takie jest życie.

Nie użalasza się.

Nie, a na co?

Mnie ciekawi, jak się przeżywa ten upływ czasu.

Żarty się z tego robi najchętniej.

Z czego?

Ze śmierci na przykład.

Można sobie robić ze śmierci żarty?

Czemu nie? Ja o niej nie myślę na co dzień, tylko czasem, jak mi serduszko mocniej zapika – o, kurczę, to już? Ale cały czas pracuję, bardzo to lubię, zajęty jestem. Pracuję na uczelni, piszę książki, cały czas mam szwung. Strasznie mnie to kręci, mam z tego frajdę. Ale żeby było jasne, to nie jest tak, żebym uważał to za superważne. Jak patrzę na katalogi i widzę tę nieprawdopodobną ilość książek, która się ukazuje na świecie, to jedna mniej, jedna więcej naprawdę nie robi nikomu różnicy. Kiedyś zachęcałem Ryszarda Przybylskiego do przeczytania jakiejś wtedy akurat głośnej powieści. Odparł: „Mikado, przypomnij mi o tym za pięć lat”. No i nie było czego przypominać...

W Polsce codziennie ukazują się około stu nowych książek.

Może to jest jakaś uniwersalna ludzka potrzeba, może musimy opowiadać sobie historie? Miałem kiedyś spotkanie autorskie we Wrzeniu Świata i przed spotkaniem Mariusz Szczygieł mówi, że tam rzadko przychodzą krytycy literaccy, zwykle reporterzy. Odpowiedziałem, że krytyk literacki też jest reporterem, bo zwiedza cudze światy. Uwielbiam tę krytyczną, literacką robotę, wyszukiwanie, badanie różnych konstelacji.

Freud mówił, że praca jest ważna, ale miłość też się liczy...

Ty mi tu Freuda nie wtrącaj do rozmowy.

Bo?

Bo dziada nie lubię.

Trudno, spróbujemy bez Freuda.

Nie, niech będzie, niech będzie.

To co tam nieświadomego puka od spodu do Ciebie?**Skoro o śmierci raczej nie myślisz.**

Żebym nie myślał, to za dużo powiedziane. Teraz, jak poleciał Jurek Kronhold, to sobie pomyślałem: o, jestem następny z paczki. I to trochę boli. Jest taka antologia poezji Nowej Fali wydana przez Tadeusza Nyczka, to się nazywa „Określona epoka”. Tam z tyłu jest spis nazwisk autorów podany w porządku alfabetycznym. Na dwudziestu moich kolegów i koleżanek jednemu już jest pod ziemią.

To jednak trochę przeraża?

Wiem, że każdemu gdzieś ten temat w tyle głowy siedzi. Pytanie, co z tym robić? Ja akurat się nie boję. Jakby to miało być

→ teraz, to może ciut za wcześniej, bo jeszcze mam parę rzeczy do zrobienia. Ale chciałbym odwlec nie dlatego, że się boję, tylko żeby pozamykać to, co zacząłem. Moja mama mówiła, że trzeba pozawiazywać za sobą wszystkie kokardki. Bardzo mi się to podobało.

Można wszystkie wstążki pozawiazywać?

Wiadomo, że nie: właśnie ukazał się tom wierszy mamy [Marii Kureckiej – tłumaczki i poetki] wydobyty z papierów w Książnicy Pomorskiej. Choć niektórym wychodzi to całkiem dobrze. Akurat w biurku mojego starego [Witolda Wirpszy – poety, tłumacza i prozaika] po jego śmierci był względny porządek. Aż się zdziwiłem jak się za to wziąłem. Na bieżąco wyrzucał wszystko, co było niepotrzebne. Nie zostawił po sobie żadnych notatek, zapisków, nic takiego, a jeśli, to niewiele tego, choć przyznam, że zdziwiła mnie wydobyta przez Marka Zyburę notatka o nocnej, zakrapianej wódeczką rozmowie z Paulem Celanem – nie wiedziałem, że się z nim spotkał.

Opowiedz mi o swoich studentach.

Uwielbiam prowadzić zajęcia. Jest coś w tym fantastycznego, że... jakby to powiedzieć, ciągle natykam się na nową wrażliwość. I między sobą się bardzo różnią! Oni czytają zupełnie inaczej niż ja. Co innego ich interesuje, co innego kręci, na co innego zwracają uwagę. Ja się od nich wiele uczę, bardzo mnie inspirują. Mam nadzieję, że ja ich też! Fascynujące jest to, że oczekują czegoś, co mi w ich wieku nawet nie wpadłoby do głowy i o ile ja sam akceptuję to, co nazywamy „zdobyciami” po roku 1989, to dla nich jest to, siłą rzeczy i wieku, coś raczej niezadowolającego – ale to zrozumiałe, od tego startują.

Na takie zajęcia to Ty za młody nie jesteś.

Normalnie to ludzi w moim wieku nie trzyma się na uniwersytecie, już powinienem dawno wypieprzać na emeryturę, ale bardzo mi zależy, żeby nadal pracować, właśnie ze względu na tę ich wrażliwość. Ale też bywały momenty zabawne, gdy zgłasza się dziewczyna, która chce pisać o powojennych relacjach polsko-niemieckich i po godzinnej rozmowie okazuje się, że nie ma pojęcia o tym, że istniała NRD. Lub inna, która w czasie wieczoru autorskiego w Szczecinie, w którym rozgrywa się akcja mojej powieści, pyta, jak w tym mieście zachowywali się Niemcy podczas okupacji.

Urodziłeś się w lutym 1946 r. Jak to na Ciebie wpłynęło, jak myślisz?

Bawiłem się na gruzach. Ewa Lipska w pierwszym tomie swoich wierszy napisała „a pamięć przestrzeloną dźwigamy już my”. Jakie to ma dla mnie znaczenie? Zastanawiam się. Mój stary przesiedziały wojnę w oflagu, miał tam jak u Pana Boga za piecem. Potem poszedł na Berlin i tam rzeczywiście mu coś groziło. Matka przeszła przez powstanie, jej ojca załuczono w Dachau. Rodzina ojca wszystko straciła, dziadek był współtwórcą i pierwszym dyrektorem stoczni Nauta w Gdyni, umarł tuż przed moim narodzeniem. Coś jednak jest z tą „przestrzeloną pamięcią”...

Stracili wszystko, stracili wielu, napatrzili się na straszne rzeczy i potem mieli dzieci...

Mieli dzieci właśnie po to, żeby odbić się od tego wszystkiego, na pewno tak. Matka mi mówiła, że chcieli koniecznie.

Z drugiej strony Tadeusz Różewicz wspomina w jednym z wierszy, że nie mieli dla nas czasu, bo byli zajęci swoim doświadczeniem. Jakby za to przepraszał.

Czy ta wojna jakoś Cię dotyczy?

Nie, chyba mnie ominęła. Z naciskiem na „chyba”.

Szczęściarz.

Tak. Ojciec przeżył wojnę dotkliwie, uważał, że stracił młodość za drutami. Matka z kolei dźwigała ból powstania. Nie nawidziła faktu, że wydano ten rozkaz. Pokłóciliśmy się kiedyś strasznie o to. Ja mówię, że to powstanie jest dla mnie takie ważne, a matka na to, a co w tym takiego ważnego, więcej, że to była zbrodnia?! Ja, że to był taki piękny zryw, że walczyliście... A ona mówi, to była zbrodnia na nas, na młodych! Ja na to, jak to, o co ci chodzi? Ona, przecież nie mieliśmy broni, nie było niczego... To mówię, jak uważałaś, że tak było, to dlaczego w to weszłaś? A matka mówi: „Bo się zaczęło”. Więc ich oboje to dotknęło, ale mnie już nie.

W Twoich żyłach nie płynie żadna trauma.

Ani trauma, ani bohaterstwo. Trauma mnie ominęła, a z bohaterstwa zostałem skutecznie wyleczony przez matkę.

Miałeś jeszcze innych znaczących nauczycieli życia?

Miałem wspaniałych nauczycieli w szkole! Dzięki temu jeszcze w szkole podstawowej wlałem w matematykę i logikę. Choć ostrzegali mnie: „Uważaj, to jest straszne, przez to się nie daje przejść, tam są słupki!”. Dla nich te słupki to było coś traumatycznego. A ja wracając kiedyś do domu, byłem wtedy w drugiej klasie, wykryłem ważne prawo matematyczne. Odkryłem, że parzysta plus parzysta równa się parzysta, parzysta plus nieparzysta równa się nieparzysta i nieparzysta plus nieparzysta równa się parzysta. Poszedłem z tym do nauczycielki i ona od tego czasu bawiła się ze mną matematyką. A potem, zupełnym przypadkiem spotkałem prof. Henryka Greniewskiego.

Matematyk, informatyk.

Uczył cybernetyki. Zaczął mnie wprowadzać w świat brył czasoprzestrzennych, fantastyczne to było. A później, już jako młody człowiek, spotkałem jeszcze innych nauczycieli, takich jak Leszek Kołakowski, Jacek Kuroń, Karol Modzelewski. No i książki, książki – ich autorzy często stają się naszymi nauczycielami. Ale jest jeszcze jedna szkoła, jaką przeszedłem we wczesnej młodości, gdy aktywnie uprawiałem sport, biegi średniodystansowe – byłem niezły, nauczyłem się dyscypliny, ale też... przegrywać: to żaden wstyd, to lekcja.

A tamtym? Co im zawdzięczasz?

Przestałem się przy nich bać mówienia tego, co myślę. Pomogli mi pozbyć się wstydu. To ważne. Większość ludzi wstydi się występować publicznie – że nie będzie się podobało, że może głupio, że nie wypada, że... wyśmieją... No i te wstydy wobec samego siebie, najtrudniejsze do przełamania, a to w pisaniu ważne.

Myślę też, że moi rodzice mnie wiele nauczyli.

Czyli jednak wracamy do Freuda.

LESZEK SZARUGA był poetą, krytykiem i publicystą; zmarł 15 października 2024 r. w Warszawie, w wieku 78 lat.

W latach 1979-89 był pracownikiem Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa. Przez pierwszą połowę lat 80. był redaktorem niezależnych pism („Puls”, „Opornik”, „Wybór”). Po 1989 r. powrócił z emigracji w Niemczech Zachodnich. Od 2003 r. wykładał historię literatury na Uniwersytecie Szczecińskim oraz w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie.

Na zdjęciu: Leszek Szaruga (w środku) Bohdan Zadura i Ryszard Krynicki na spotkaniu literackim w Teatrze Œsmego Dnia. Poznań, 12 marca 2008 r.



ANDRZEJ MONCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Po prostu bardzo mnie kochali. Choć nie okazywali mi jakiegoś specjalnego ciepła. Mama uważała, że zimny wychów cieląt jest najlepszy. Żadnego roztkliwiania się nie było, twarda szkoła. Myśmy po prostu bardzo dużo ze sobą siedzieli, rozmawiali. I w sumie na dobre mi wyszło. Naprawdę niczego w życiu nie żałuję. Że siedziałem w więzieniu? No dobrze, zobaczyłem, jak się siedzi, na szczęście to było krótko, mniej niż pół roku. W dobrym towarzystwie, w dobrym miejscu. Owszem, bałem się. Strach jest normalną rzeczą u człowieka, tylko idioci się nie boją.

Opowiedz mi więcej o tym, co dostałeś od rodziców.

Jak to jest być synem Witolda Wirpsy?

W dzieciństwie to nie miało większego znaczenia – czytałem sporo, ale jakoś nie kojarzyłem tego z faktem, że rodzice są pisarzami. Żyłem w tym towarzystwie, literatura, sztuka to było moje środowisko naturalne, a dla moich rówieśników to raczej niewiele znaczyło. Uświadomiłem sobie, że jestem synem człowieka „z nazwiskiem” gdzieś w połowie lat 50., ale nie miało to wiele wspólnego z literaturą – ojciec należał do redakcji „Po Prostu” i siłą rzeczy cały ten klimat Października ’56 oraz potem rozwiązania pisma, wreszcie kolejnych awantur politycznych kształtowały moją wrażliwość społeczną.

Kiedy dotarło?

To, że ojciec jest wybitnym poetą? Znacznie później, chyba dopiero na studiach. Bardziej niż „synem Wirpsy” byłem dzieckiem jego środowiska buntującego się – na ile potrafili i mogli – przeciw reżimowi. No ale też za sprawą ojca miałem ułatwione kontakty z jego kolegami, choćby Arnoldem Śluckim, który zechciał czytać moje próby poetyckie i o tym rozmawiać – ojcu nie dawałem tego do czytania – czy z Szymborską, pod której patronatem debiutowałem. Ale to jeszcze przed tym, zanim wybrałem ścieżkę literacką – w tym momencie rodzice zdecydowali się na emigrację, z czym zresztą miałem w środowisku problem. Gdyby wyjechali do Anglii czy Francji, to ok, ale do Niemiec?! Wciąż ta powojenna trauma: dopiero w stanie wojennym to się zmieniło, zaczęto Niemcy jako kraj wychodźstwa akceptować.

Ale co dostałem od rodziców... Gdybym powiedział, że wszystko, to byłoby chyba zbyt mało.

Podsumowujesz jakoś swoje życie?

Nie, po co mi to?

A co jest w życiu warte starania?

Życie. Samo życie. Ono jest fantastyczne, a przynosi same niespodzianki. Z tych ważnych rzeczy, które ci się w życiu przydarzają, nic nie jesteś w stanie przewidzieć. Bo to się okazuje ważne dopiero wtedy, kiedy jest. O co się warto starać? O ciekawość! Mnie na przykład ciekawi grzebanie w kosmologii. Wiesz, że podobno już zrobili tunel czasoprzestrzenny między dwiema czarnymi dziurami? O co się warto starać, to nie wiadomo do końca, natomiast wiadomo, czego nie powinno się robić. Nie można się zamykać w jednym świecie.

60 lat temu byłem na wykładzie prof. Kotarbińskiego. Mówił wtedy o różnicy, która dzieli naukowca od uczonego. Naukowiec to jest ten wyspecjalizowany, a uczony ten, który ma szerokie horyzonty i zastanawia się nad tym, co zrobił, nad konsekwencjami. Zapamiętałem do dziś.

Czyli mówił o różnicy między wiedzą a mądrością.

Dokładnie. Może być mądrość bez wiedzy, ale mądrość z wiedzą to jest to, co ładuje człowieka. Ten świat jest tak różnorodny, że ciekawie jest się po nim przemieszczać, oglądać to wszystko, badać, próbować.

Dzisiaj miałem wykład do studentów o pograniczach. Mówię: słuchajcie, nie patrzmy na mapę, to jest nudne, opisane i płaskie. Patrzmy, jak pogranicza się na siebie nakładają, ząbnią w czasie i w przestrzeni. Popatrzcie na atlas historyczny, jak państwa powstają, znikają, jak granice się poruszają, jak to wszystko jest cały czas w ruchu, jest dynamiczne.

Nie jesteś przekonany do swoich przekonań?

W żadnym stopniu. Nienawidzę nudy. To zresztą do pewnego stopnia po ojcu, który, gdy trafiał na jakiś nowy trop poetycki, mawiał, że przyszedł czas na zmianę przesądów.

A o miłości coś mi powiesz?

Miłość jest albo jej nie ma. Faluje, powraca, ucieka. Jednego nie powiem: że wiem, czym miłość jest. Kiedy się zjawia, wiem, że to ona, ale to odczucie, a nie coś, co można opisać i zdefiniować. No i wiem, po latach, że wymaga ograniczenia własnej suwerenności.

Można ją złapać?

Można. Są tacy, którzy to robią – gonią za nią, łapią, często zresztą złudę. Ja się zdaję po prostu na bieg spraw. Jest to jest, nie ma to nie ma. Przeżyłem parę miłości, myślę że udanych i chyba nikogo nie skrzywdziłem. I to jest najważniejsze.

© Rozmawiała JUSTYNA DĄBROWSKA, 7 GRUDNIA 2023

STANISŁAW

Mancewicz:

Czas muchomora



TRZEBA PRZYZNAĆ, ŻE W KRAJU NASZYM nie bardzo już wiadomo, komu o co chodzi. Weźmy ludzi u władzy – sporo z tego, co mówią, mogłoby świadczyć, że chcieliby rychło komuś ją oddać. Ci, którzy chcieliby ją odzyskać, nie robią nic poza tym, co ongiś spowodowało

jej utratę. By zdobyć i utrzymać władzę w Polsce, trzeba być populistą, ale sprawnym, bo – co ciekawe – populizm musi być jednak serwowany spójnie i logicznie, bez tego ani rusz. Czy poza tym coś się w Polsce w ogóle dzieje?

Owszem, więzienia się zapełniają. Celebrytami. Niekoniecznie jednak tymi, których za kratkami widziałaby opinia publiczna. Widać, że chęci są, że wsadzanie się zaczęło, ale rzecz trzeba szczerze: nie takiego wsadzania – jak tu ponuro siedzimy – chcieliśmy. Cóż nam z tego, że gniją po aresztach ludzie gibcy i ongiś biznesowo skoczni? Nic. Poza chwilowym odczuciem satysfakcji nie działa to na nas tak dobrze, jak byśmy chcieli.

Bo pamiętać trzeba, że więzienie w polskim imaginariu zajmuje miejsce centralne. Jedną z klasycznych wizji łączących nas ponad dowolnymi podziałami to wróg polityczny, wyprowadzany, najlepiej o zmroku, ze swej willi, w kajdankach, z zarzuconą na głowę kurtką. Fajnie, gdy ma także skute nogi, bo wtedy bardzo pociesznia kica. „Będziesz siedział!” – brzmi najłatwiej przechodzące przez gardło zdanie w polszczyźnie. Siedzą dziś jednak ludzie nieatrakcyjni, ciamajdy. Są goli, więc można by ich tak naprawdę wypuścić.

Poza regularnym przeglądem aresztów śledczych i wydobywczych, najważniejszą tematyką poruszaną i komentowaną

w krajowych mediach w ostatnich dniach jest grzybobranie. Co roku o tej porze ta odmiana obłędu opanowuje cały kraj, wielką Polskę, od morza do morza. W lasach codziennie dochodzi do sensacyjnych pojawów grzybów jadalnych i niejadalnych, także na tym tle do aktów przemocy, do bójek, do kradzieży i konfiskat – koszy i kozików. Do obław urządzanych przez lokalsów na przyjezdnych i na odwrot. Ludzie (*Homo sapiens*) biją się o podgrzybki (*Imleria badia*). Dochodzi do starć pod brzoškami, przy łanach rydzów (*Lactarius deliciosus*), do okrutnych okaleczeń przy kupach maślaków (*Boletus luteus*). Do rzezi w siedliskach prawdziwków (*Boletus edulis*). Padają wyzwiska i przekleństwa, groźby zarówno karalne, jak i niekaralne. Są ofiary.

Ten rok jest pod tym względem szczególnie, być może z powodu obecności na niebie licznych komet, o których wiemy niewiele poza tym, że działają na Polaków szczególnie mocno. Oto SOR-y w miejscowościach graniczących z kompleksami leśnymi nie wyrabiają. W lasach stoją mobilne punkty opatrunkowe, mające służyć pomocą okaleczonym grzybiarzom, grzybiarkom i osobom grzybicznym. Ktoś powie, że jednak są to zjawiska cykliczne, cojesienne, korelujące z Marszem Niepodległości, z orędziami prezydenta A. Dudy, a więc z ciężkim okresem i momentami dla Polaków niełatwymi.

Ten rok się jednak wyróżnia na tle lat poprzednich, a różnicę robią muchomory (*Amanita muscaria*). Polacy masowo rzucili się na te grzybki należące tradycyjnie do krasnoludków. Muchomorki są więc ścinane, suszone i ścierane na proszek. Wchłaniane dla zdrowia drogą doustną i donosową oraz innymi drogami i sposobami, o których nie chcemy tu wspominać. Jedni lekarze biją na alarm, że to szkodzi, inni wygłaszają w internecie prelekcje o dobroczynnym wpływie muchomorków na organy i układy. Słuchamy tego zafascynowani, z zachwytem. Karol Darwin był jednak profetycznym geniuszem, rozumiejącym ludzkość, od jej dziwnego początku po jej spektakularny koniec. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilk Superbohater.



BILANS PO PIERWSZYM ROKU RZĄDÓW

 **Kraków**

105.

**URODZINY
TEATRU
BAGATELA**

**WYDARZENIE SPECJALNE:
PREMIERA SPEKTAKLU**

AMBROŻY GRABOWSKI,

**CZYLI WSZYSTKO,
CO CHCECIE
WIEDZIEĆ
O KRAKOWIE,
A SE NIE
WYGUGLACIE**

**W REŻYSERII
MIKOŁAJA
GRABOWSKIEGO**

**SPEKTAKLE
27, 29, 30, 31
PAŹDZIERNIKA**

**25, 26
PAŹDZIERNIKA
2024 R.**

**Teatr
Bagatela**

 Patronat Honorowy
Naczelnego Dyrektora
Archiwów Państwowych

Ambroży Grabowski

TEATR „BAGATELA” IM. TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

KRYMINALNY POZNAŃ

Najnowsza powieść kryminalna Piotra Bojarskiego, której akcja rozgrywa się upalnym latem 1938 roku. Ofiarą mordu na poznańskich Rybakach pada znany śpiewak.

Na miejscu zbrodni śledczy Zbigniew Kaczmarek znajduje zaskakującą informację. Wsparty przez podkomisarz Barbarę Przysługę wejdzie w świat jednej z największych polskich tajemnic okresu międzywojennego. Czy zdołają ocalić kolejnego artystę?

